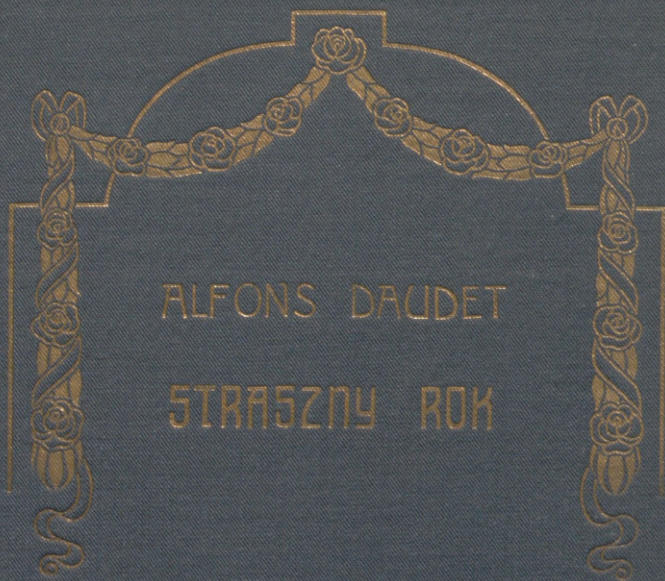


- CIEKAWY POWIEŚCI -



ALFONS DAUDET

STRASZNY ROK

□ WYDAWNICTWO GEBETHNER I WOLFFA □

Bezpłatny dodatek „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO”

Straszny rok.

CIEKAWY POWIEŚCI

MIESIĘCZNIK, POŚWIĘCONY NAJWYBITNIEJSZYM
POWIEŚCIOM I ROMANSOM POLSKIM I OBCYM.

Nr. 1 □ Styczeń 1911

Straszny rok.

Redaktor:
ARTUR OPPMAN (Or-Ot).



Wydawcy
GEBETHNER I WOLFF.

ALFONS DAUDET



Straszny rok

Opowiadania z wojny francusko-pruskiej
1870—1871 roku.

Z ILUSTRACYAMI



WARSZAWA, NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SP. □□□□ 1911

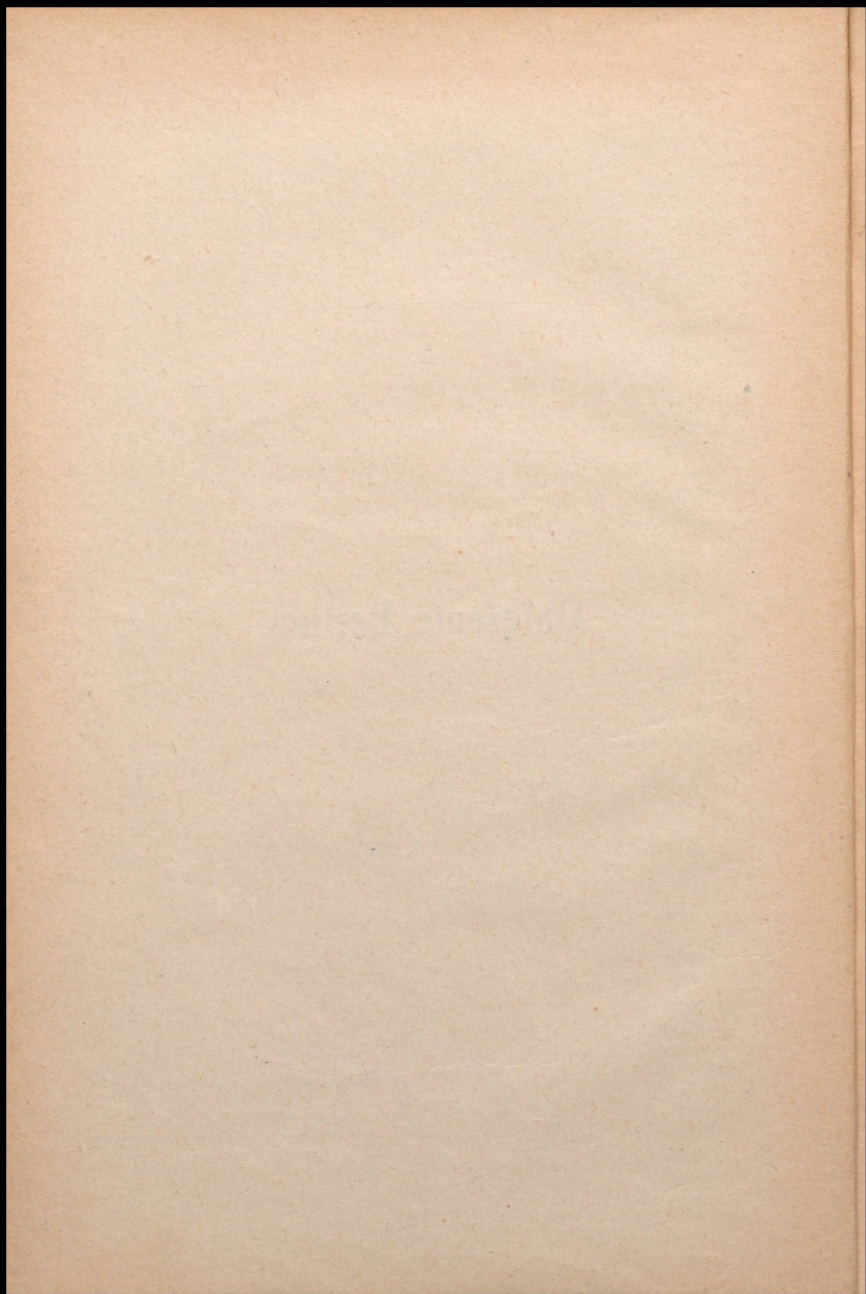
840-3 : 8(355)

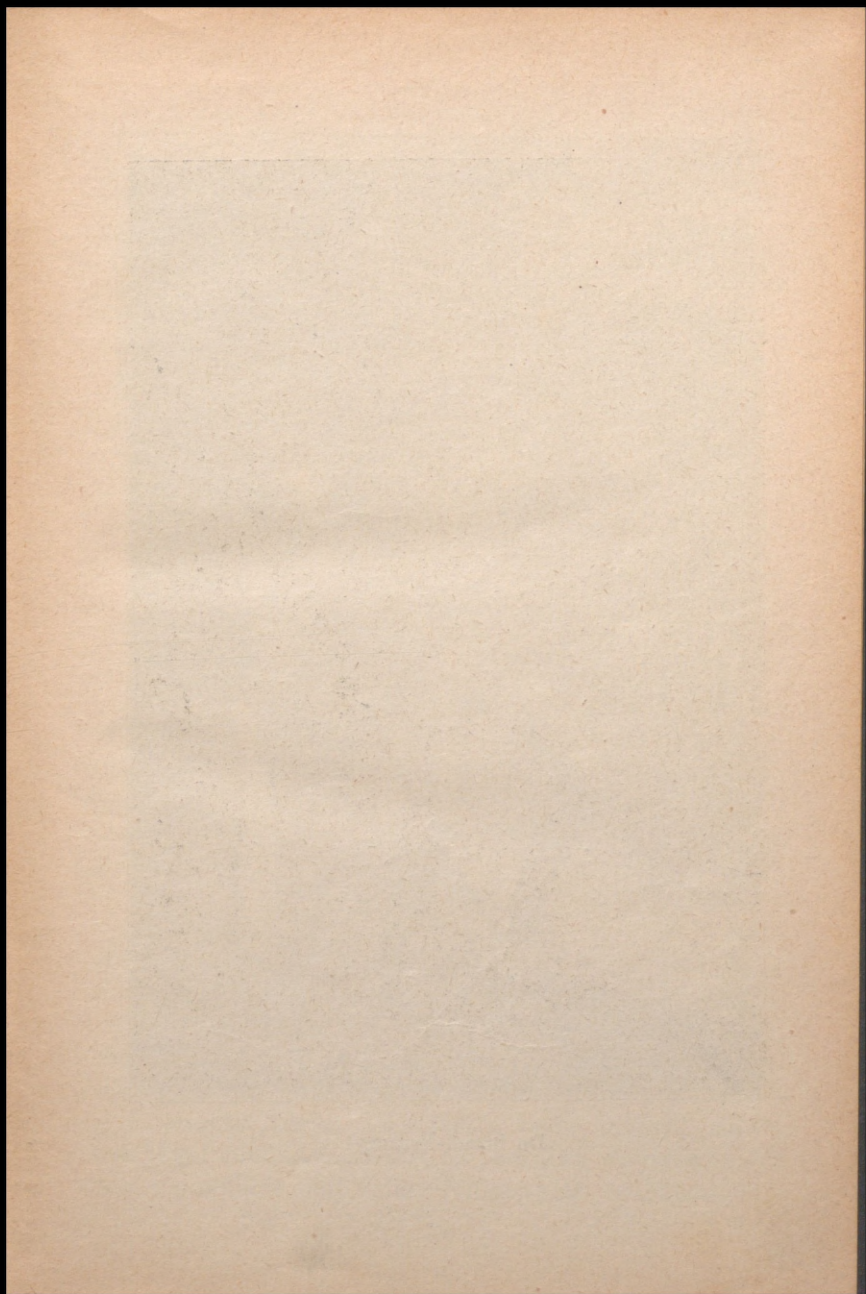
9805 / 1

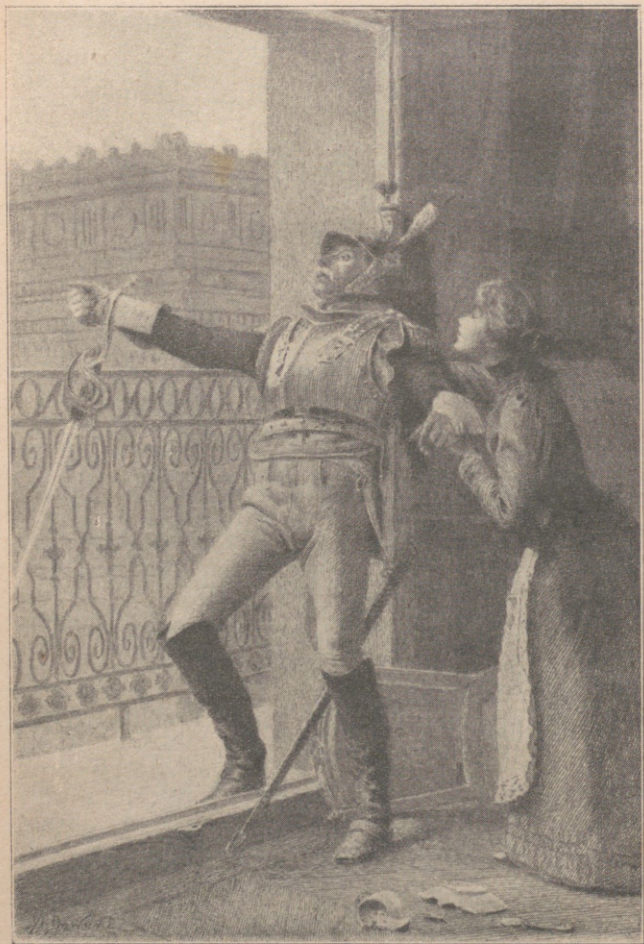


Druk Piotra Laskauera
Warszawa, Nowy-Świat Nr. 41.

Obleżenie Berlina.







Do bron! Prusacy!



Bitwa pod Rezonville 16 sierpnia 1870 roku.

Wyszedłem z doktorem V... na przechadzkę. Postępowaliśmy aleją Pól Elizejskich, wyczytując na podziurawionych murach i chodnikach, wyszczerbionych kartaczami, historię świeżego jeszcze wtedy oblężenia Paryża. Niedaleko placu Gwiazdy towarzysz mój zatrzymał się i ukazał mi na rogu jeden z domów ugrupowanych tak pretensjonalnie dokoła Łuku Tryumfalnego.

— Czy widzisz — rzekł do mnie — te cztery okna tam wysoko, na tym balkonie, zamknięte? W pierwszych dniach sierpnia, tego strasznego sierpnia 1870 r., w którym na nasz kraj spadło tyle nieszczęść, wezwano mnie tutaj do chorego, uderzonego atakiem apopleksyi piorunującej. Mieszkał tu pułkownik Jouve, kirasyer za pierwszego jeszcze cesarstwa, starzec oddychający sławą i patriotyzmem, który zaraz na początku wojny wynajął sobie mieszkanie na Polach Elizejskich, z balkonem...

Zgadnij dlaczego? Żeby widzieć tryumfalny powrót naszych wojsk... Biedny stary! Tylko co po obiedzie dowiedział się o bitwie pod Wissemburgiem. Kiedy przeczytał imię Napoleona pod buletynem o tej porażce, padł jakby rażony piorunem.

Wszedłem. Stary kirasyer leżał na kobiercu, z twarzą krwistą i bezwładną, jakgdyby go kto silnie uderzył maczugą w głowę. Musiał być bardzo wysoki: leżąc, wydawał się olbrzymem. Rysy twarzy piękne, zęby zdrowe, włosy białe, ale gęste i kędzierzawe: policzyłbyś mu co najwyżej sześćdziesiątkę, a miał lat osiemdziesiąt... Obok niego wnuczka, na kolanach, cała we łzach. Była do niego podobna. Wyglądali obok siebie, jak dwa piękne medale greckie, wykuwane podług jednego wzoru, tylko jeden antyk, matowy, nieco zatarty, a drugi świetny i wyraźny, z całym połyskiem i całą miękkością nowego odbicia.

Boleść tego dziecka wzruszyła mnie. Córka i wnuczka żołnierza niedawno pożegnała się z ojcem, który służył w generalnym sztabie Mac-Mahona. Patrząc na tego starca, leżącego prawie bez życia, miała też może przed oczyma duszy inny podobny obraz, niemniej straszny. Staralem się ją uspokoić, jak mogłem, ale w rzeczy samej niewiele miałem nadziei. Była to formalna hemiplegia, z której w osiemdziesięciu latach nikt prawie nie wychodzi. Jakoż trzy dni upłynęły, a chory był ciągle w tym samym stanie osłupienia i bezwładu... Tymczasem nadeszła do Paryża wiadomość o bitwie pod Reichshoffenem. Pamiętasz, jak to było. Do wieczora wszyscyśmy byli pewni wielkiego zwycięstwa: dwadzieścia tysięcy Prusaków zabitych, następca tronu pruskiego wzięty do niewoli... Nie wiem doprawdy, jakim cudem,

jakim prądem magnetycznym, echo radości narodowej obilo się o uszy tego paralityka głuchoniemego; dosyć, że nad wieczorem, zbliżywszy się do jego łóżka, zobaczyłem innego całkiem człowieka. Wzrok był prawie czysty, język daleko swobodniejszy. Miał tyle siły, że się uśmiechnął i dwa razy, jękając się, szepnął:

— Zwycięstwo!

— Tak, pułkowniku, wielkie zwycięstwo!

W miarę tego, jakem mu opowiadał szczegóły o powodzeniu Mac-Mahona, rysy jego twarzy odzyskiwały żywość, wyraz się rozjaśniał.

Kiedym wychodził, w przedpokoju czekała na mnie młoda dziewczyna, blada jak trup. Łkała.

— Nie płacz, pani — rzekłem, biorąc ją za rękę. — Będzie żyła.

Nieszczęśliwe dziecko zaledwie mi potrafiło odpowiedzieć. Właśnie przed chwilą rozwieszono po ulicach prawdziwy buletyn o bitwie pod Reichshoffenem. Mac-Mahon ucieka, cała armia rozbita... Spojrzeliśmy na siebie wzrokiem osłupienia. Ona była w rozpacz, myśląc o dziadku; ja zadrzałem, przypomniawszy sobie starca. Nie było najmniejszej wątpliwości, że to nowe wstrząśnienie zabije go... Cóż więc począć?... Utrzymać go w tej radości i tych złudzeniach, dzięki którym wrócił do życia?... Ale w takim razie trzeba kłamać...

— To dobrze, będę kłamała! — odpowiedziało mi heroicznie dziewczę i, szybko łyzy otarłszy, z uśmiechem powróciło do sypialni dziadka.

Niemalą ciężar wzięła ona na swoje barki. W pierwszych dniach było jeszcze jako tako. Starzec nie miał zupełnej przytomności umysłu: można go było zwodzić, jak dziecko. Ale z powrotem zdrowia wyobrażenia się doskonaliły. Trzeba mu było opowiadać o ruchach wojsk,

redagować buletyny wojenne. Litość brała, doprawdy, patrząc na tę piękną dziewczynę, jak dzień i noc ślezczała nad mapą, zatykała szpilki z chorągiewkami i obmyślała całą kampanię pomyślną: Bazaine szedł na Berlin, Frossard wkroczył do Bawaryi, Mac-Mahon posuwał się ku Bałtykowi... Co do tego wszystkiego odwoływała się nieraz do mnie o radę; pomagałem jej, jak mogłem. Najwięcej atoli sam starzec był nam pomocny w tym zmyślonym pochodzie. Tyleż-bo razy podbijał Niemcy za pierwszego cesarstwa! Wszystkie ruchy przewidywał z góry: „Teraz pójda tam... teraz zrobią to...” a przewidywania jego zawsze się sprawdzały, z czego był niezmiernie dumny.

Na nieszczęście atoli, chociaż zajęliśmy już bardzo wiele miast, wygrali kilkadziesiąt bitew, wszystko to zdawało mu się zbyt małą rzeczą, zbyt powolną. Nie-nasycony był ten starzec!... Każdego dnia, jakem tylko przyszedł, dowiadywałem się czegoś nowego z pola bitwy.

— Doktorze, wczoraj zajęliśmy Moguncję — mówiła mi w przedpokoju młoda dziewczyna z uśmiechem, rozdzierającym serce; jednocześnie z drugiego pokoju słyszałem głos wesoly:

— Nieźle idzie!... Nieźle idzie!... Za tydzień powinniśmy być w Berlinie.

W tym dniu Frusacy byli co najwyżej o tydzień drogi od Paryża...

Zastanawialiśmy się z początku, czy nie byłoby lepiej wywieźć go na prowincję; ale, gdyby choć na chwilę wyszedł z domu, sam widok Francyi byłby go wszystkiego nauczył. Zresztą, podług mojego zdania, był jeszcze zanadto złamany ostatnim atakiem, żeby mu mo-

zna wszystko powiedzieć. Postanowiliśmy tedy, że zostanie w Paryżu.

Pierwszego dnia oblężenia, pamiętam jak dziś, szedłem do niego rozdrażniony, wzruszony, niespokojny, jak byliśmy wszyscy wtedy, gdy bramy miasta zamknięto, kiedy bitwa była tuż pod murami, a rogatki stały się granicami. Zastąłem go rozradowanego i przejętego dumą.

— A cóż — rzecze do mnie — oblężenie się narzecie zaczęło!

Spojrzałem na niego z osłupieniem:

— Jakto, pułkowniku, wiesz już...?

Jego wnuczka zwróciła się szybko do mnie:

— A tak, doktorze... Już wiemy... Wielka nowina... Berlin oblężony.

Mówiła to schylona nad igielką, a mówiła z taką pewnością siebie, tak spokojnie... Czyż mógł powątpiewać? Działa fortów odzywały się, ale on ich nie słyszał. Paryż, ów Paryż nieszczęśliwy, posepny, wzburzony: on go nie widział. Z łóżka swego dostrzegał tylko część murów Łuku Tryumfального, a w pokoiku swoim, gdzie się obejrzał, oczy jego spotykały tylko różne drobne pamiątki po Napolenie I: wszystko sprzyjało podtrzymywaniu złudzeń. Portrety marszałków, obrazy batalijne, król rzymski jako dziecko; na konsolach brązowe trofea, medale, typy z r. 1806... Poczciwy pułkownik! Nie nasza to była zasługa, że wierzył tak naiwnie w oblężenie Berlina. Ta atmosfera zwycięstw i podbojów głównie usposabiała go do tego.

Od tego dnia nasze działania militarne znacznie się uprościły. Zdobyć Berlin to już tylko rzecz cierpliwości. Od czasu do czasu, kiedy już stary bardzo się nudził, przeczytano mu list od syna, rozumie się, zmyślony, bo

do Paryża nie już wtedy nie dochodziło, a po Sedanie adjutant Mac-Mahona był wysłany do jednej z fortec niemieckich. Można sobie wyobrazić rozpacz biednej dziewczyny, pozbawionej wszelkich wiadomości od ojca, wiedzącej o tem, że on zostaje w niewoli, może chory, która musiała pisać za niego listy, listy wesołe, lakoniczne, takie, na jakie stać było żołnierza, odbywającego zwycięską w kraju nieprzyjacielskim kampanię! Niekiedy zbywało jej na siłach; parętygodni listu nie było. Ale starzec niecierpliwił się, nie spał po nocach. Wtedy nagle zjawiał się list z Niemiec, który wnuczka odczytywała mu przy łóżku, wesoło, przez łzy. Pułkownik wsłuchiwał się w niego z uwagą religijną, uśmiechał się, chwalił, krytykował, objaśniał nam ustępy zawile. Ale kiedy nadewszystko okazywał się pięknym starcem, to w odpowiedziach, które rzucał swemu synowi: „Nigdy nie zapominaj, mówił, że jesteś Francuzem... Bądź szlachetny dla biednych ludzi. Oni i tak dosyć cierpią z powodu najazdu...” A uwag takich było bez końca, pełno cennych wskazówek o szanowaniu cudzej własności, o grzeczności dla kobiet, prawdziwy kodeks honoru militarne do użytku zwycięzców. Niekiedy wdawał się w ogólne rozumowania polityczne, mówił o tem, jakie być powinny warunki przyszłego pokoju. I nie był, muszę przyznać, wymagający: „Koszty wojenne i basta... Póco im zabierać ziemię?... Czyż można zrobić francuskiem to, co jest niemieckie?... Przerobić Niemcy na Francję?...”

Mówił to głosem silnym, a w słowach jego było znać tyle przekonania, taką głębokość wiary patriotycznej, że nie mogłeś go słuchać bez wzruszenia.

Tymczasem oblężenie szło ciągle dalej, nie oblężenie Berlina, niestety!... Nadeszły chwile wielkich mrozów,

bombardowania, chorób epidemicznych, głodu. Dzięki naszym staraniom, wysiłkom i niezmordowanej czułości, otaczającej starca, nie stracił on ani na chwilę pogody umysłu. Bułeczki, świeże mięso, wszystko miał codziennie. On sam tylko, naturalnie, i nie możesz sobie wyobrazić nic rzewniejszego nad te śniadania starego dziadka, tak niewinnie samolubne — on na swoim łóżku, bielutki jak gołąbek, uśmiechnięty, z serwetą pod brodą, a ona przy nim, trochę pobladła skutkiem prywacy, jak mu dopomagała w ruchach rąk, dawała pić, zachwalała najlepsze kąski, dla niej zakazane. Wtedy, ożywiony posiłkiem, rozgrzany ciepłem opalanej stancyjki, gdy na dworze wiatr świszczął i śnieg uderzał w okna, stary kirasyer przypominał sobie swoją kampanię północną i opowiadał nam po raz setny ów pogrzebowy odwrót z Rosyi, kiedy to wojska żywiły się tylko zmrożonymi sucharami i koniną.

— Czy ty to pojmujesz, aniołeczku? Jedliśmy końskie mięso.

Ma się rozumieć, że biedaczka to pojmowała. Od dwu miesięcy nic innego nie jadła...

Z każdym dniem, w miarę zbliżania się rekonwalescencyi, nasze zadanie względem chorego stawało się trudniejszym. Dotychczas pomagało nam obezwładnienie wszystkich jego zmysłów, wszystkich członków; teraz to znikало. Dwa czy trzy razy posłyszał był strzały, zerwał się, wyteżył ucho, jak wyżeł; musieliśmy zmyślić ostatnie tryumfy Bazaine'a pod Berlinem i salwy z tego powodu u Inwalidów. Pewnego dnia, gdy mu łóżko przysunięto do okna, zobaczył tłum gwardzistów narodowych w alei Wielkiej Armii.

— Co to za wojsko? — spytał pocziwiec, a gdyśmy



go objaśnili, mruknął pod nosem: — Niedoleżne to jakieś, niesforne!

Skończyło się na tem, ale przekonywaliśmy się coraz bardziej, że wielka ostrożność była konieczną. Na nieszczęście, niedosyć byliśmy ostrożni.

Pewnego wieczora, kiedym przyszedł, dziewczyna rzekła do mnie zmieszana:

— Jutro wchodzą.

Nie wiem, czy drzwi od pokoju dziadka były otwarte, dosyć, że, o ile sobie przypominam, fizyognomia jego w tym dniu miała jakiś wyraz niezwykły. Prawdopodobnie usłyszał słowa wnuczki. Tylko żeśmy mówili o Prusakach, a on, poczciwiec, myślał o Francuzach, o tem wejściu tryumfalnem, na które czekał tak długo — MacMahon zasypany kwiatami, przy dźwięku orkiestr wojskowych, jego syn tuż obok, a on, stary, na swoim balkonie, w paradnym mundurze, jak pod Lutzen, salutując podziurawione sztandary i poczerniałe od prochu orły...

Biedny ojciec Jouve! Musiał sobie wystawić, że chcemy mu przeszkodzić, żeby nie widział tego tryumfalnego powrotu naszych wojsk. Więc też nikomu nic nie mówił; ale nazajutrz, w tej samej chwili, gdy bataliony pruskie trwożliwie wchodziły na tę długą ulicę, która od bramy Maillot prowadzi do Tuileryów, to okno otworzyło się i na balkonie stanął nasz pułkownik w swoim starym kasku i mundurze. Dziś jeszcze nie pojmuje, co za wysilek woli i podskok życia postawił go odrazu na nogi i dał mu siłę do ubrania się. To pewna, że stał tam, wyprostowany, jak żołnierz, i dziwił się, że na ulicy pustki, okna pozamykane, Paryż ponury, jak wielki szpital, wszędzie chorągwie, ale jakieś dziwne, białe z czerwonym krzyżem, i nikt, nikt nie oczekuje na powrót wojsk naszych.

Przez chwilę może sądził, że się omylił...

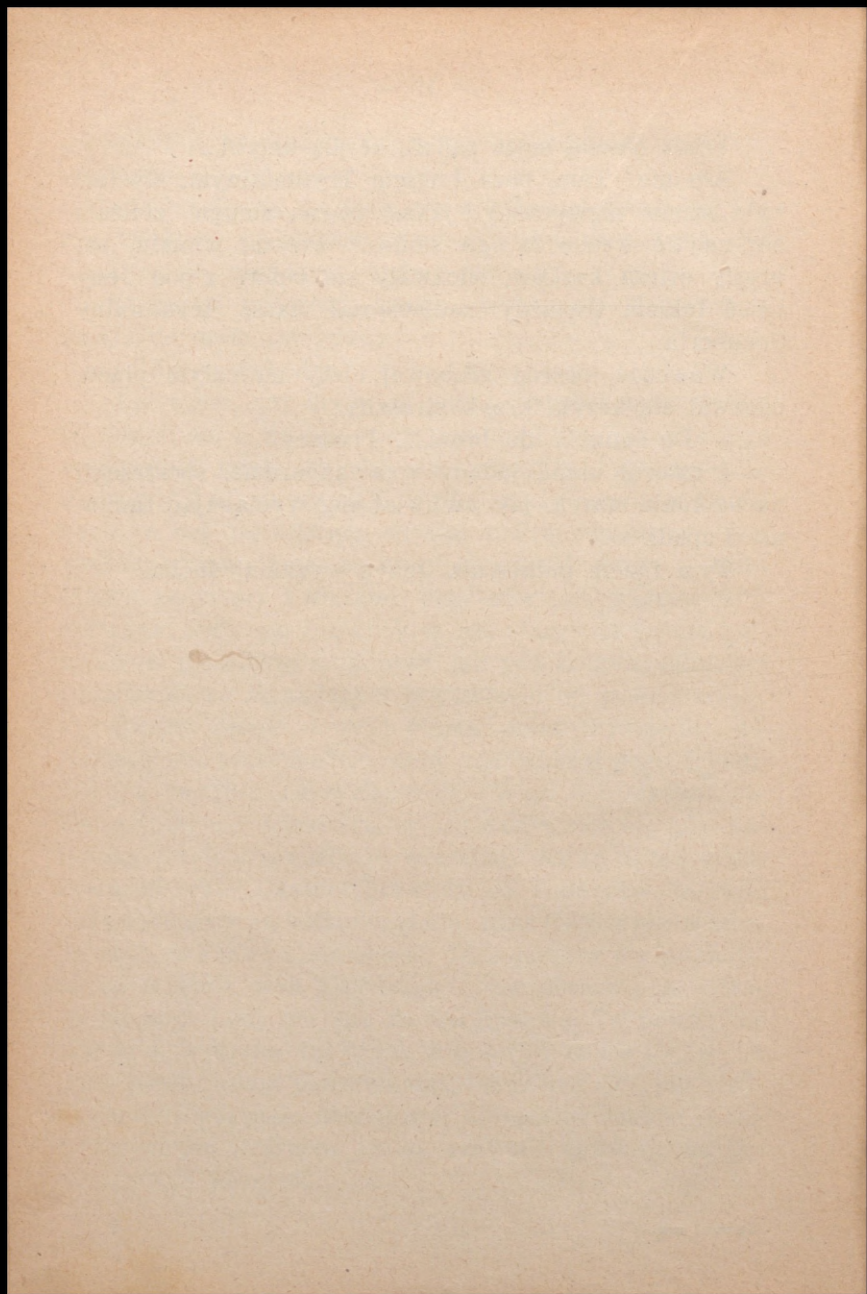
Ale nie! Tam, poza Łukiem Tryumfalnym, słychać było szmer niewyraźny: jakaś czarna smuga zbliżała się na tle wschodzącego słońca... Potem, pomału, zabłysły ostrza kasków, odezwały się bębny z pod Jeny i pod łukiem Gwiazdy zadźwięczał marsz tryumfalny Schuberta.

Wówczas, pośród grobowej ciszy na całym placu, odezwał się krzyk, krzyk straszny:

— Do broni!... do broni!... Prusacy!

I czterej ułani, jadący w awangardzie, spostrzegli na balkonie starca, jak zachwiał się, wyciągając ramiona, i upadł.

Tym razem pułkownik Jouve wyzionął ducha.



Chorağiew.

1870



Palenie sztandarów w Metz, w październiku 1870 roku.

Na stokach nasypu kolei żelaznej stał pułk jeden i bił się. Cała armia pruska, pod lasem, brała go na cel. Strzelano do siebie o osiemdziesiąt metrów. Oficerowie wołali do żołnierzy:

— Na ziemię!

Ale nikt nie chciał słuchać i lunny pułk stał nieporuszony, stał ciągle dokoła swojej chorągwi. Pośród tego widnokregu bez granic, o zachodzie słońca, między polami wykłoszonego zboża i pastwiskami, gromada tych ludzi w niedoli, otoczonych gęstym dymem, była podobna do stada zaskoczonego na otwartym polu pierwszymi porywami strasznej burzy.

Padał bo też deszcz żelazny na ten nasyp kolejowy! Nie było słycać nic więcej prócz dalekiego pęknięcia wystrzałów karabinowych, głuchego szelestu manierek, spadających do rowu, i świstu kul, przelatujących wzdłuż

całego pola bitwy z dźwiękiem strun posepnego a głośnego narzędzia śmierci. Od czasu do czasu obłok dymu zakrywał chorągiew, która ponad głowami trzepotała od wichru kul; wtedy odzywał się głos potężny i dumny, głośząc wystrzały, jęki i klątwy rannych:

— Do chorągwi, dzieci, do chorągwi!...

Wnet jaki oficer rzucał się, jak mara, w tę czerwoną chmurę, i znowu bohaterskie godło, odżywszy, unosiło się ponad bitwą.

Dwadzieścia dwa razy upadło!... Dwadzieścia dwa razy pochycono rękojeść tej chorągwi, jeszcze ciepłą, gdy wypadła z umierającej dłoni; a kiedy, po zachodzie słońca, reszta pułku — garstka ludzi — cofnęła się powoli, sztandar był już tylko szmatą w rękach sierżanta Hornusa, dwudziestego trzeciego chorążego w tej bitwie.

Ten sierżant Hornus był to sobie stary głupiec, za ledwie umiał się podpisać, a dwadzieścia lat służył, żeby się dosłużyć stopnia podoficerskiego. Na tem czole nizkiem i predestynowanym, w tym grzbiecie zgarbionym od tornistra i machinalnem zachowaniu się człowieka, co przywykł stać w szeregu, znać było wszelkie cierpienia dziecka podrzuconego i całe zezwierżenie życia w koszarach. Prócz tego, sierżant Hornus jękał się; ale do noszenia chorągwi nie trzeba wymowy.

Wieczorem po bitwie rzekł do niego pułkownik:

— Masz w ręku chorągiew, dzielny chłopcze; do brze więc, zatrzymaj ją.

Zaraz potem wiwandyerka przyszyła złoty galonik

podporucznika na nędznym mundurze, co bywał i w ogniu i na deszczu.

Było to jedyne zadowolenie dumy w życiu pokory. Odrazu stary szeregowiec wyprostował się, jak trzcina. Biedny ten człowiek, przywykły do marszu z oczyma spuszczone w ziemię, trzymał odtąd głowę do góry, żeby widzieć tę szmatę i nieść ją prosto, wysoko, ponad śmierć, ponad zdradę i ucieczkę.

Nie widzieliście nigdy człowieka tak szczęśliwego, jak Hornus podczas bitwy, kiedy trzymał chorągiew obiema rękoma. Nie przemówił do nikogo, nie poruszył się. Poważny, jak kapłan: sądziłbyś, że ma jakąś świętość w swojej pieczy. Całe jego życie, cała siła skupiały się w tych palcach, obejmujących rękojeść pięknego, przetykanego złotem sztandaru, dokoła którego kule świszczały, a w jego oczach, pełny zaufania i skierowanych w oczy Prusakom, można było czytać słowa:

— Spróbujcie mi ją odebrać!...

Ale nikt nie próbował, nawet śmierć. Boiny, Gravelotte minęły, najkrwawsze bitwy; a chorągiew szła ciągle dalej, podziurawiona, pocięta, przezroczyta od ran, i ciągle dźwigał ją stary Hornus.

Potem nadszedł wrzesień, armia pod Metzem, oblężenie i ten długi wypoczynek w kałuży, gdzie armaty ordzewiały i gdzie najpierwsze wojska na świecie, demoralizowane bezczynnością, brakiem żywności i nowin, umierały z gorączki i z nudów pod cieniem karabinów, ustawionych w kozły. Ani oficerowie, ani żołnierze, nikt już nie miał wiary; jeden tylko, jeden Hornus wierzył. Trójkolorowy strzępek płótna był dla niego wszystkim,

i dopóki go czuł przy sobie, zdawało mu się, że jeszcze nic nie przepadło.

Na nieszczęście, ponieważ bitwy ustały, pułkownik trzymał chorągiew u siebie, na jednym z przedmieść Metzu, i dzielny Hornus był prawie podobny do owej matki, której dziecko zostało powierzone mamce. Myślał ciągle o swoim porporcu. Jeśli już bardzo się stęsknił, to szedł do miasta, jednym tchem, a gdy zobaczył chorągiew na tem samem miejscu, spokojnie opartą o mur, wtedy wracał do obozu pelen odwagi i cierpliwości, wnosząc pod swój zmoczony szalas rozkoszne sny o bitwach, o zwycięskim pochodzie, o trójkolorowej chorągwi, powiewającej tam, na przykopach pruskich.

Rozkaz dzienny marszałka Bazaine'a rozproszył te marzenia. Pewnego rana Hornus, obudziwszy się, zobaczył cały obóz w ruchu, żołnierzy gromadkami bardzo ożywionych, unoszących się, z okrzykami wściekłości i pięściami zwróconemi ku miastu, jakgdyby tam znajdował się sprawca ich uniesienia.

— Schwycić go!...—wołano. — Rozstrzelać go!

Oficerowie nie przeszkadzali temu... Trzymali się na uboczu, ze wzrokiem utkwionym w ziemię, jakgdyby się wstydzili swoich ludzi. I było się czego wstydzić. Rozkaz dzienny marszałka wydawał w ręce wroga, bez walki, sto pięćdziesiąt tysięcy wojska, dobrze uzbrojonego i jeszcze dzielnego.

— A chorągwie? — spytał Hornus, pobladłszy.

Chorągwie były też wydane, razem z innemi rzeczami, z bronią ręczną, z amunicją, ze wszystkim.

— P... p... przez Boga! — jęknął podporucznik — m... mojej nie dostaną.

I pobiegł ku miastu.

Tam również wielki ruch panował. Gwardziści narodowi, mieszczanie, gwardziści ruchomi rozprawiali głośno, gestykulowali. Po ulicach przesuwały się deputacje, drżąc na całym ciele, dążyły do marszałka. Hornus nie widział, nie słyszał niczego. Idąc przedmieściem, rozmawiał sam z sobą.

— Zabrać mi moją chorągiew!... Cóż znowu? To niepodobna! Któżby miał prawo do tego? Niech sobie daje Prusakom to, co jest jego własnością, swoje karety, swoje srebra meksykańskie... Ale co moje, to moje... To mój honor. Nie pozwolę go dotknąć nikomu.

Szybki chód i głos jękliwy ćwiertowały ten frazes na kawałki, ale w gruncie rzeczy stary miał silne postanowienie. Postanowienie niezłomne: schwytać chorągiew, unieść ją do swego pułku i przedrzeć się przez kariki pruskie wraz z tymi, co za nią pójdą.

Kiedy przyszedł, nie wpuszczono go nawet. Pułkownik, także uniesiony gniewem, nie chciał się z nikim widzieć. Ale Hornus nie poprzestał na tem.

Chodził przed bramą, tupał nogami, kłął, prawie krzyczał:

— Chorągiew... oddajcie mi moją chorągiew...

Nareszcie otworzyło się okno.

— To ty, Hornus?

— Tak, pułkowniku, przychodzę...

— Wszystkie chorągwie są już w Arsenale... Idź tam, dadzą ci pokwitowanie...

— Pokwitowanie?... Na co?..

— Taki rozkaz marszałka...

— Ale, pułkowniku...

— Daj mi święty spokój!

I okno się zatrzasło.

Stary Hornus potaczał się, jak pijany.

— Pokwitowanie... pokwitowanie....—wymawiał, jak automat.

Nakoniec ruszył dalej, nie pojmując nic więcej nad to, że chorągiew była w Arsenale i że on powinien był odzyskać ją za jakąbądź cenę.

Bramy Arsenalu były otwarte na rozcież dla przepuszczania stojących na podwórzu furgonów pruskich. Hornus zadrzał, wchodząc. Byli tam już zgromadzeni wszyscy inni chorążowie, pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu oficerów, każdy zrozpaczony, milczący; przytem owe posępne wozy na deszczu, ci ludzie obok nich z gołemi głowami, istny pogrzeb.

W jednym kącie leżały wszystkie chorągwie armii Bazaine'a: maczały się w błocie. Nie mogło być nic smutniejszego nad te strzępy jaskrawego jedwabiu, złotych frendzli, i te rzeźbione rękojeści, słowem, cały ten tabor sławy, rzucony na ziemię, zmoknięty, zbłocony. Jakiś oficer z wydziału administracyjnego podnosił jedną chorągiew po drugiej, wywołując pułk odpowiedni, poczem zbliżał się chorąży i otrzymywał pokwitowanie. Dwaj oficerowie pruscy, sztywni, nieporuszeni, mieli nadzór nad ładowaniem sztandarów.

Taki był wasz koniec, o święte proporce sławy! Rozpościerając przed wrogiem swoje rany, zamiatając bruk błotnisty, jak ptaki ze złamanymi skrzydłami, uniosłyście daleko hańbę zbrudzonych rzeczy wielkich i każdy z was zabrał z sobą cząstkę Francyi. W fałdach waszych zostały promienie słońca długich marszów wojennych. Wasze ślady kul to pamiątki po nieznanym

ofiarach... co zginęły przypadkiem, gdy sztandar brano na cel...

— Hornus, na ciebie kolej... Wołają cię... Odbierz pokwitowanie...

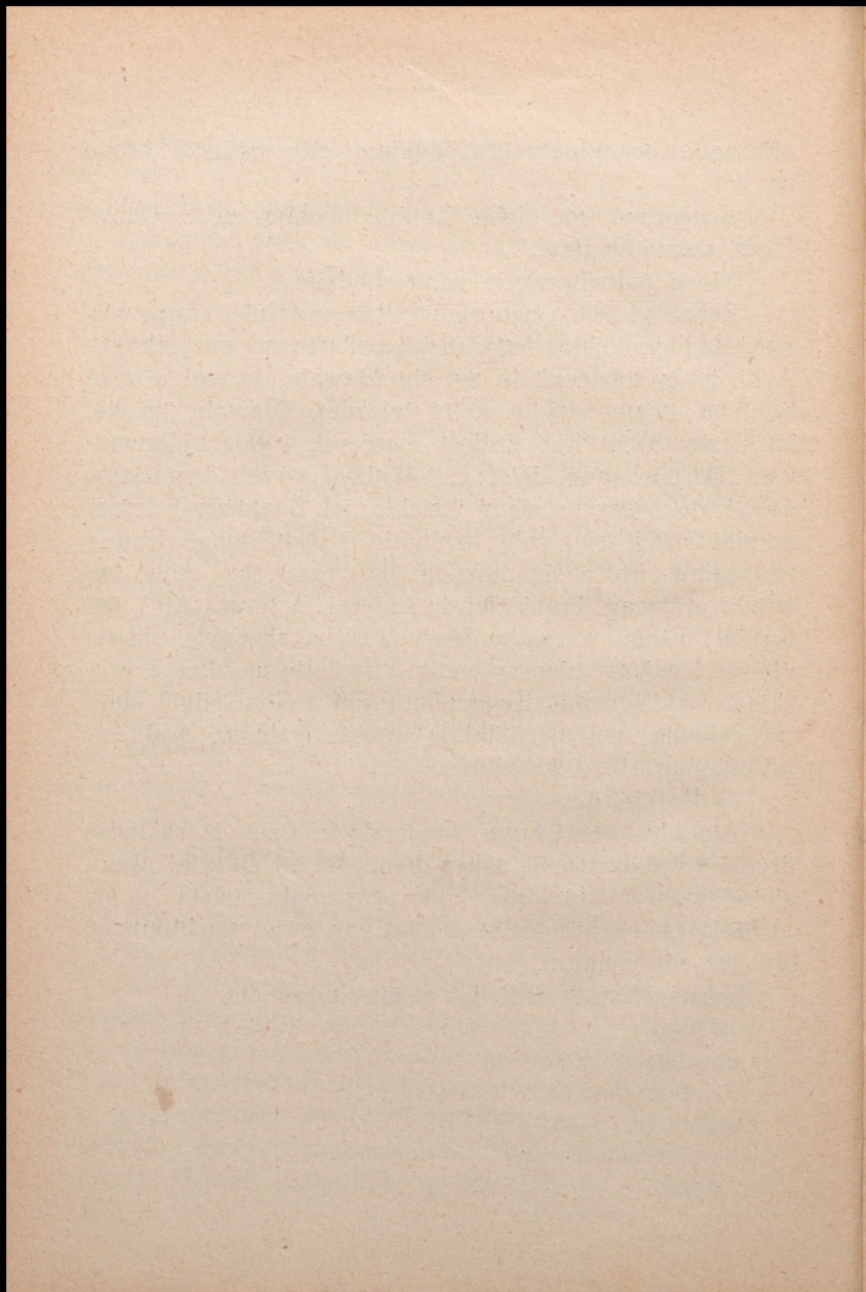
Nie o pokwitowanie jemu chodziło.

Zobaczył swoją chorągiew. Rzeczywiście, swoją własną, najpiękniejszą, najbardziej podartą ze wszystkich... A kiedy ją zobaczył, to mu się zdawało, że stoi jeszcze tam, na owym nasypie kolei żelaznej. Zdawało mu się, że słyszy świst kul, szelest manierek i głos pułkownika: „Do chorągwi, dzieci!...” Widział swych dwudziestu dwu towarzyszy na ziemi i siebie, jak dwudziesty trzeci z kolei rzucił się, żeby podnieść i podtrzymać biedną chorągiew, która się chwiała dla braku rąk. Ach! On wtedy przysiągł bronić jej do śmierci. A teraz... Gdy pomyślał o tem, wszystka krew z serca skoczyła mu do głowy. Upojony, nieprzytomny, rzucił się na oficera pruskiego, wyrwał mu drogą chorągiew i objął silnie obie rękoma; potem chciał ją jeszcze podnieść, podnieść wysoko, prosto, i krzyknąć:

— Do chorągwi...

Ale głos zamarł mu w piersiach. Czuł, iż rękojeść drżała i wysuwała się mu z dłoni. W tej ciężkiej atmosferze śmierci, która tak silnie przygniata miasta, co się poddają, chorągiew nie mogła już powiewać, nie dumnego żyć już nie mogło...

I stary Hornus padł, jak rażony piorunem.



Turkos komuny paryskiej.

Printed by the Government Printer, Ottawa, Ontario, Canada.



Atak turkosów pod Wissemburgiem 4 sierpnia 1870 roku.

Był to muzykant z pułku piechoty algierskiej. Nazywał się Kadur, pochodził z pokolenia Dżendel i należał do tej garstki turkosów, która wpadła do Paryża za korpusem generała Vinoy.

Odbył on całą kampanię od Wissemburga do Champigny, przebiegając pola bitwy, jak ptak burzy, ze swym trójkątem żelaznym i swoją derbuką (bębenkiem arabskim), a był tak pełen życia, tak ruchliwy, że kule nie wiedziały gdzie go dotknąć.

Gdy jednak przyszła zima, ten bronz afrykański, złożony w ogniu bitew, nie mógł znieść nocy warty, czuwania bez ruchu, na zimnie i śniegu, i pewnego ranka, w styczniu, znaleziono go nad brzegiem Marny, z nogami odziezionymi, skulonego od zimna. Długo leżał on chory w ambulansie. Tam to widziałem go po raz pierwszy.

Smutny i cierpliwy, jak chore psisko, biedny turkos rozglądał się dokoła wzrokiem łagodnym i spokojnym. Jeżeli kto odzywał się do niego — uśmiechał się i pokazywał białe swe zęby. To było wszystko, na co się mógł zdobyć; język francuski był mu bowiem zupełnie obcy, zaledwie mówił językiem, zwanym *sabir*, językiem, którym mówią w ogólności w Algierze. Język ten jest mieszaniną prowansalskiego narzecza i języków: włoskiego i arabskiego; wyrazy, w nim zestawione obok siebie, zbierane są, jak muszle, na całej długości wybrzeży mórz łacińskich.

Za całą rozrywkę Kadur miał tylko swoją *derbukę*. Od czasu do czasu, kiedy widziano, że nuda go męczy, przynoszono mu jego bębenek arabski do łóżka i pozwalano mu grać na nim, ale nie zbyt długo i nie bardzo mocno, z powodu innych chorych. Wtedy czarna jego twarz, taka smutna, taka znużona w dni chmurne i tak dobrze odwzorowująca smutny widok ziny, roztaczający się pod oknami — ożywiała się, rozweselała i gra fizyognomii towarzyszyła tej muzyce. Czasem bębnił on, jak do ataku: w okrutnym uśmiechu zęby jego białe ukazywały się błyskawicznie, to znowu oczy jego zachodziły łzami przy dźwięku jakiejś dumki muzulmańskiej, nozdrza mu się wzdymały i w zaduchu szpitalnym, pośród lekarstw i kompresów, ukazywały się oczom jego imaginacyi lasy Blidah, pełne drzew pomarańczowych, chyłących się ku ziemi pod ciężarem owoców, i młode Maurytanki, wychodzące z kąpieli, owinięte w bieliznę i perfumowane werweną...

Tak upłynęły dwa miesiące. W Paryżu tymczasem działy się rozmaite rzeczy, których Kadur ani się nie

domyślał. Słyszał on przechodzące pod oknem szpitala wojsko zmęczone i rozbrojone, które wracało; potem słyszał, jak od rana do wieczora przetaczano armaty, słyszał odgłos dzwonów, bijących na trwogę, potem słyszał kanonadę... ale z tego nic nie rozumiał. On wiedział tylko, że wojna trwa ciągle i że niedługo i on będzie mógł się bić, ponieważ widział i czuł, że nogi jego są już prawie wyleczone.

Wyszedł nareszcie ze szpitala z bębenkiem w rękę i poszedł na Paryż, szukać swojego batalionu. Niedługo szukał. Przechodzący żołnierze komuny zaprowadzili go do komendanta placu.

Generał owej chwili, gdyż generałowie wtedy zmieniali się co chwila, po długiej indagacji, nie mogąc od niego nic się dowiedzieć i nie usłyszeć oprócz niezrozumiałych wykrzyków: bono bezef, makasze bono, kazał mu dać dziesięć franków, konia, wziętego od omnibusu, i przyłączył go do swego sztabu.

W tych sztabach z czasów komuny było wszyskciego potrosze. Były tam czerwone koszulki garibaldzistów, czamarki, dołmany węgierskie, kaftany marynarzy, złoto, aksamity, szychy, hafty i szamerunki. Kadur w swoim kaftaniku szafirowym z żółtymi lamówkami, w turbanie, z bębenkiem arabskim, dopełnił maskarady.

Zachwycony tem, że się znajduje w tak pięknem towarzystwie, upojony słońcem, ruchem ulicznym, kanonadą, rozmaitością broni i mundurów, przekonany o tem, że to trwa dalej wojna przeciw Prusakom, ożywiona nowym jakimś zapałem, nową nieznaną mu siłą, ten dezertter mimo woli i wiedzy zamieształ się w tę bachanalię

paryską i był również mimo woli i wiedzy swojej jedną z ciekawości owej chwili.

Wszędzie, gdzie tylko się pokazał, gdzie przechodził, żołnierze komuny witali go okrzykami radości, pokazywali go sobie nawzajem. Komuna dumna była z posiadania turkosa w swoich szeregach, chełpiła się nim, pokazywała go wszędzie, nosiła, jak świętą chorągiew. Dwadzieścia razy na dzień posyłano go z placu do ratusza, z ratusza do ministerium wojny. Tyle już nagadano, że marynarze komuny są tylko przebrani za marynarzy, że ich artylerzyści są tylko improwizowanymi artylerzystami, a tu mogli pokazać prawdziwego turkosa! A że był prawdziwy, łatwo się było przekonać; dosyć było spojrzeć w tę półmałpią czarną twarz, pełną życia i młodości, i przypatrzeć się tym dzikim ruchom, z jakimi mała ta osoba wykonywała na wielkim swym koniu najfantastyczniejsze zwroty.

Coś jednak brakowało do szczęścia Kadura. Onby był chciał się bić, prochem i kulami swoje uczucia wyrażać. Na nieszczęście za czasów komuny było zupełnie tak, jak za czasów cesarstwa: sztab rzadko bardzo bywał w ogniu. Czas, wolny od posylek i rewii, biedny turkos przepędzał na placu Vandôme albo na podwórzu ministerium wojny, pośród obozowisk nieporządných, pełnych baryłek wódki, ciągle odszypuntowanych, beczek słoniny otwartych, pośród tych uczt pod gołem niebem, w których czuć było jeszcze wygłodzenie z czasów oblężenia. Kadur, zbyt dobry muzułmanin, żeby w tych ucztach miał brać udział, trzymał się na uboczu, spokojny i wstrzemięźliwy, odbywał swoje ablucye w kąciku, żywił się swem kuskussu i garstką sago; poczem, po brzdąkawszy trochę na bębenku, owijał się w swój bur-

nus i zasypiał u jakiego przedsonka, przy ogniu biwaków.

Pewnego majowego poranku obudziła turkosa straszna kanonada. Całe ministerium było w ruchu. Wszyscy biegli, każdy w inną stronę, wszyscy uciekali. Machinalnie uczynił, jak i inni, wskoczył na konia i poszedł za sztabem, do którego należał.

Na ulicach działy się dziwne rzeczy. Trębacze różnych batalionów trąbili każdy inny sygnał, sami nie wiedząc, co robią; bataliony całe w rozsypce uciekały w różne strony. Wyjmowano bruk z ulic, stawiano barykady. Widocznie stało się coś nadzwyczajnego... W miarę jak zbliżał się do brzegów Sekwany, kanonada stawała się coraz wyraźniejsza, tumult coraz większy. Na moście de la Concorde Kadur zgubił swój sztab. Nieco dalej odebrano mu konia, który potrzebny był dla jakiegoś dygnitarza, ustrojonego w kepi o ośmiu złotych sznurkach, któremu bardzo pilno było dowiedzieć się, co się dzieje w ratuszu.

Wściekły turkos zaczął biedz w stronę, gdzie wrzała bitwa.

Biegając, nabijał swój karabin i mruczał sobie pod nosem: *Makasze bono, Brisien...* jemu się bowiem zdawało ciągle, że to Prusacy wchodzą do Paryża. Już kule świstały dokoła obelisku między gałęziami drzew ogrodu tuileryjskiego. Na barykadzie, zamykającej ulicę Rivoli, bili się zacięcie tak nazwani „mściciele Flourensa“. Ci, zobaczywszy turkosa, zaczęli go wołać:

— Turkos! turkos! dokąd tak pędzisz, chodź tu do nas.

Było ich już tylko dwunastu; ale Kadur sam jeden wart był tyle, co cała armia.

Na szczytce barykady, widoczny jak sztandar, Kadur bił się, jak prawdziwy mahometanin-fatalista, w ciągłych skokach i krzyku, pod gradem kul. Na jedną chwilę zasłona dymu rozdarła się i ukazała mu czerwone spodnie piechoty francuskiej w zbitej kolumnie na Polach Elizejskich; lecz natychmiast zawarła się znowu i nie już rozpoznać nie było można. Pomyślał, że mu się zdawało, i nanowo, jeszcze z większym zapalem, rozpoczął swoją muzykę prochem i kulami.

Wtem barykada umilkła. Ostatni artylerzysta uciekł po ostatnim strzale, turkos tylko jeden został sam, nie pojmując co to jest uciekać. Za wałem barykady, przycajony, gotów rzucić się naprzód z bagnetem, jak do ataku, oczekiwał śpiczastych kasków... Nie kaski jednak nadeszły, ale francuska piechota!... W głuchym odgłosie kroków wojska, idącego do szturmu, oficerowie krzyczeli:

— Poddajcie się!

Turkos na chwilę oniemiał ze zdziwienia, potem wybiegł ze swej kryjówki naprzeciw nich z bronią do góry, krzycząc:

— Bono, bono Francèse!

Przez głowę, jak iskra, przeleciała mu myśl niewyraźna, że ta piechota to oswobodziciele, generał Faidherbe albo Chanzy, ze swoją armią, której Paryżanie oczekiwali od tak dawna. To też Kadur był uszczęśliwiony, śmiał się i w śmiechu pokazywał wszystkie swoje białe zęby.

W jednej chwili barykada została zajęta. Otoczono go, popychano...

— Pokaż karabin! — zawołano.

Karabin jego był jeszcze od strzałów gorący.

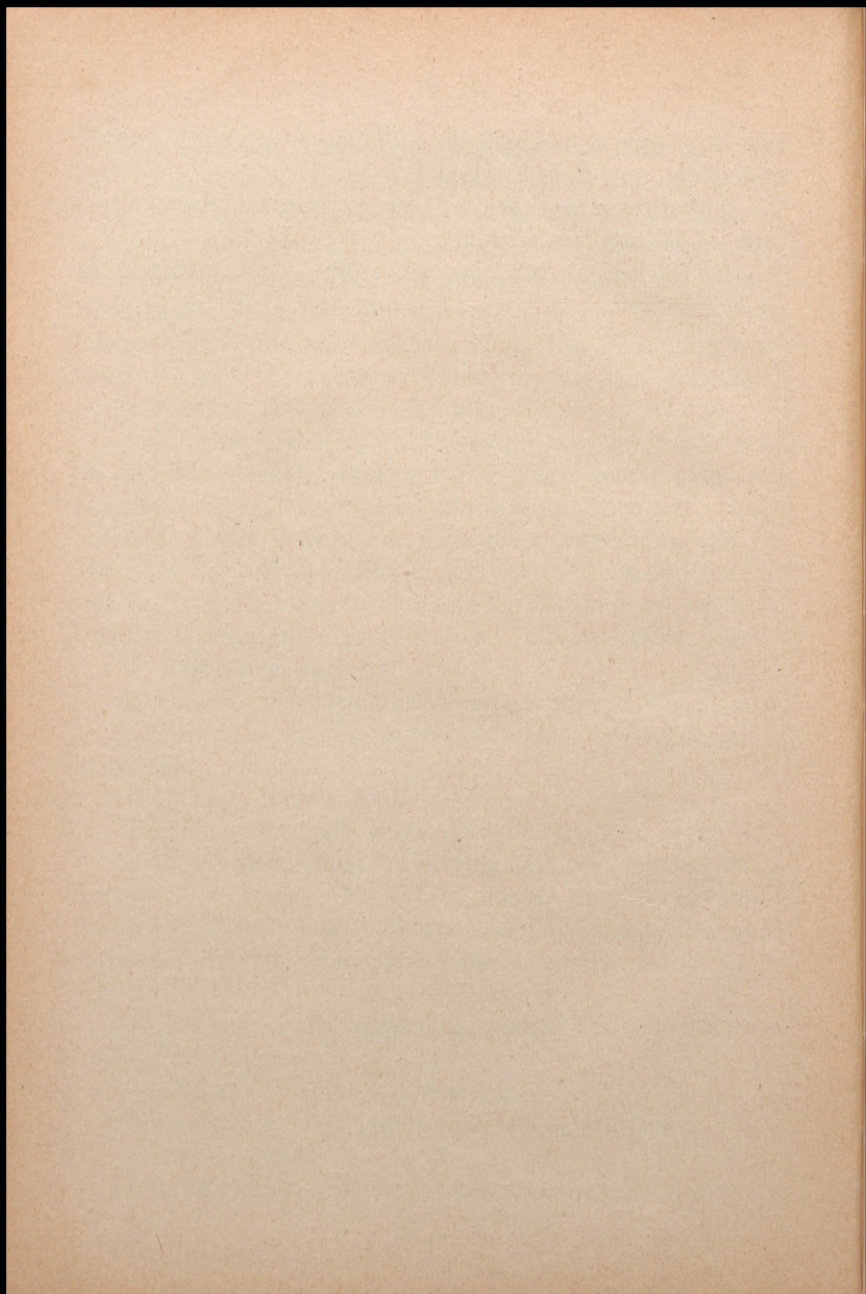
— Pokaż ręce!

Czarne jego ręce były jeszcze czarniejsze od prochu.

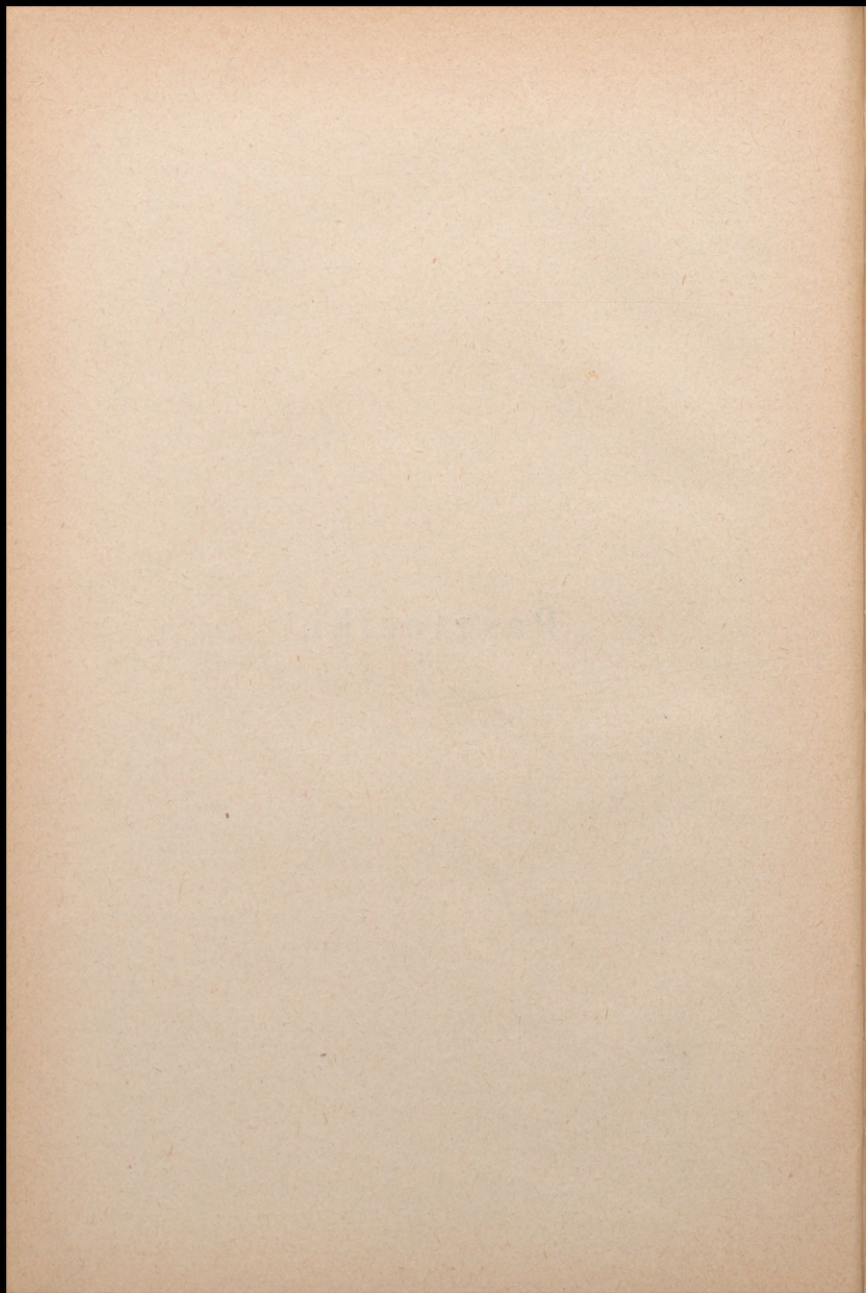
I biedny turkos pokazał je z dumą, śmiejąc się ciągle śmiechem szczęścia i radości.

Gdy zobaczono karabin i ręce, poprowadzono go pod mur — strzały się rozległy...

Kadur zginął tak, jak się i bił — nie wiedząc za co i dlaczego...



Paszteciki.





Paryż podczas oblężenia.

I.

Było to w niedzielę rano. Pasztetnik Sureau z ulicy Turenne zawołał kuchcika swego i rzekł mu:

— Masz tutaj, mały, paszteciki dla pana Bonnicara... odnieś je i wracaj jak najprędzej... Podobno Wersalczycy weszli do Paryża.

Mały, który na polityce nic a nic się nie rozumiał, włożył gorące jeszcze paszteciki w dużą blaszaną rozgrzaną puszkę, zawinał ją w wielką białą serwetę i wszystko to razem postawiwszy na białej okrągłej czapce płóciennej, głowę sztywno trzymając, dla utrzymania równowagi, pobiegł pędem w kierunku wyspy Ś-go Ludwika, gdzie mieszkał pan Bonnicar.

Poranek był prześliczny. Słońce majowe zapełniało horyzont. Sklepiki i stragany ogrodników zawalone były rozkwitłymi białymi liliami w bukietach i doniczkach i pęczkami wisien świeżo dojrzałych.

Mimo dającej się zdala słyszeć kanonady i trębaczy na apel trąbiących po rogach ulic, starożytny ten okrąg Paryża, zwany Marais, zupełnie spokojną zachował fizyognomię. Niedzielę czuć było w powietrzu. Po podwórkach dzieci bawiły się w ptaszka, starsze panienki grały w wolanta. Mała biała sylwetka kuchcika, biegnąca kłusem przez środek puste ulicy i roztaczająca dokoła siebie zapach gorących pasztecików, nadawała jeszcze bardziej temu porankowi walnej bitwy, pozór spokoju i święta.

Ruch cały zdawał się być skoncentrowany na ulicy Rivoli. Ciągniono armaty, stawiano barykady. Na każdym kroku widać było grupy ludzi, żołnierzy gwardyi narodowej, krzątających się, zakłopotanych. W tem wszystkim jednak kuchcik od paszтетnika Sureau nie tracił głowy. Dzieciaki te tak są przyzwyczajone do przeciskania się przez tłum i ruch uliczny! Największa ich latanina bywa zawsze w dni najruchliwsze, w święta i uroczystości, w dzień nowego roku, gdyż Paryż cały zastawiony jest budami jarmarczными, w ostatki, gdy masek pełne są ulice — dlatego też rewolucye nie mają dla nich nic zadziwiającego.

Z prawdziwą przyjemnością można było patrzeć, jak biała czapeczka przesuwiała się pomiędzy mnóstwem kepi i bagnetów, unikając wszelkich spotkań, popchnięć i uderzeń, kołysząc się w biegu, to bardzo szybkim, to znowu forsownie powolnym, w którym czuć jednak było gwałtowną chęć pośpiechu. Co jego tam bitwa obchodziła!? Dla niego głównym celem było przybiedz punkt na dwunastą do pana Bonnicara i porwać jak najprędzej zawinięte w papier „na piwo“, które na niego czekało na stoliku w przedpokoju.

Wtem tłum gwałtownie się rozstał i środkiem drogi przebiegła klusem kompania dzieci Rzeczypospolitej, śpiewając Marsylianę. Byli to chłopcy, mający po lat 12 do 15, przystrojeni w czerwone pasy i długie buty, dźwigający karabiny systemu Chassepot i w tem przebraniu za żołnierzy tak dumni, jakgdyby w tłusty czwartek, w czapkach z papieru, z drewnianymi pałaszami biegali po błocie paryskim, pośród maskarady karnawałowej.

Tym razem, wśród tego ogólnego popychania się nie łatwo było malcowi utrzymać równowagę; ale wiele to razy z puszką na głowie ślizgał się on po lodzie, wiele figlów napłatał nieraz, i tym więc razem na strachu się tylko skończyło — puszka z pasztecikami została na głowie. Na nieszczęście ruch ten ogólny, śpiew, czerwone pasy, podziw powszechny, ciekawość sama upoiły go nieco i zbudziły w nim ochotę pobiedz kawałek drogi w tak pięknem towarzystwie, a mijając, nie spostrzegłszy się nawet, Ratusz i most, prowadzący na wyspę, biedny kuchcik porwany został i uniesiony, sam nie wiedząc gdzie i jak, przez wir i kurz tego szalonego marszu.

II.

U pana Bonnicara od lat dwudziestu pięciu istniał zwyczaj jedzenia świeżych pasztecików przy śniadaniu w niedzielę. Punkt o dwunastej, gdy cała rodzina — wielcy i mali — zebrana była w salonie, rozlegał się zwykle w przedpokoju silny i wesoły odgłos dzwonka i każdy mówił:

— A!... otóż i paszteciki!...

I zaraz cała ta mieszczańska rodzina, po swojemu

szczęśliwa, przy hałasie przestawianych krzeseł, szeleście sukien świątecznych i głośnym śmiechu rozradowanych dzieci, zasiadała dokoła stołu, na którego środku stały paszteciki symetrycznie ułożone na srebrnym piecyku do odgrzewania.

Tej niedzieli dzwonek się nie odezwał. Pan Bonnicar, zgorszony, co moment spoglądał na zegar, a zegar to był stary, który się nigdy w życiu nie pośpieszył ani opóźnił na sekundę nawet. Nad zegarem stał sokół wypchany.

Dzieci, znudzone oczekiwaniem, ziewały w oknach, wyglądając na róg ulicy, z którego zwykle skręcał kuchcik od pasztecznika. Rozmowa wlokła się leniwie, a głód, za każdym z dwunastu uderzeń zegara coraz większy, sprawiał, że sala jadalna wydawała się tego dnia wszystkim bardzo wielką i bardzo smutną, mimo stołu zastawionego pośrodku, mimo starych sreber, świecących się na holenderskim obrusie, i serwetek dokoła, zwiniętych w trąbki sztywne i białe.

Już kilka razy stara służąca przychodziła szeptać coś do ucha panu domu:

— Pieczeń się spali!... Groszek się przegotuje!

Ale pan Bonnicar uparcie nie chciał usiąść do stołu bez pasztecików i, wściekły na Sureau z ulicy Turenne, postanowił sam pójść zobaczyć, co ma znaczyć to spóźnienie niesłychane.

Gdy wychodził w wielkiej złości, machając laską, sąsiedzi zatrzymywali go i ostrzegali:

— Ostrożnie, panie Bonnicar... ostrożnie; powiadają, że Wersalczycy weszli do Paryża.

On jednak nie chciał słuchać i nic nie słyszał, nawet kanonady, której odgłos po powierzchni wody przy-

biegał aż z Neuilly, nawet wystrzałów na alarm z armat placu ratuszowego, od których wszystkie szyby w całej części miasta się trzęsły. Powtarzał tylko:

— Och! ten Sureau... ten Sureau! Dam ja jemu!

I biegł szybko, prosto przed siebie, mrużąc pod nosem i wywijając laską, i widział się już, jak wpada do sklepu przy ulicy Turenne, jak krzyczy, jak uderza laską o kamienną podłogę, aż się trzęsą szyby wystawy i talerze z ciastkami.

Barykada, stojąca na moście Ludwika Filipa, zatrzymała go w jego zapędzie i gniew cały nagle rozproszyła.

Na barykadzie było kilku federalistów strasznej postaci, grzejących się na słońcu na ziemi, z której bruk wyjęto.

— A to dokąd, obywatelu? — zapytali go.

Obywatel powiedział, dokąd idzie, ale cała ta historia o pasztecikach wydawała się nieprawdopodobną i podejrzaną, tembardziej, że pan Bonnicar, ubrany w tużurek świąteczny i złote okulary, miał minę prawdziwego reakcyonisty.

— Musi to być jakiś szpieg — rzekli federaliści — trzeba go posłać do Rigaulta.

Zaraz też znalazło się czterech ludzi na ochotnika, zadowolonych bardzo, że znalazła się sposobność opuszczenia barykady, którzy otoczyli biedaka i, popychając go kolbami przed sobą, uprowadzili nieszczęśliwego.

Nie wiadomo którądy poszli i jak to tam w drodze było, to tylko pewna, że w pół godziny później, wszyscy razem, prowadzony i prowadzący, przytrzymani przez patrol piechoty, znaleźli się w długiej kolumnie więźniów, oczekując rozkazu wymarszu do Wersalu. Pan Bonnicar protestował, jak mógł, a podnosząc w górę laskę, po raz setny opowiadał swoją historię. Na nieszczę-

ście takie zajęcie się pasztecikami zdawało się wymysłem tak niedorzecznym, tak nieprawdopodobnym wobec strasznego przewrotu, że oficerowie, przed którymi się tłómaczył pan Bonnicar, śmieli się tylko z niego.

— Dobrze już, dobrze, jużemy słyszeli — mówili. — Wytłómaczysz się pan w Wersalu.

I cała kolumna, otoczona dokoła przez batalion strzelców węsęńskich, ruszyła w drogę przez Pola Elizejskie, pełne jeszcze białego dymu od strzałów, jakie padły rano podczas bitwy.

III.

Więźniowie szli po pięciu, rzędami ścieśnionymi w ścieśnionej kolumnie. Żeby się konwój nie rozciągał długo i szeroko, kazano im wziąć się pod ręce; i tak długie to stado ludzkie, krocząc w kurzu drogi, czyniło w powietrzu odgłos podobny do szmeru, jaki czyni kroplisty deszcz podczas burzy.

Nieszczęśliwy Bonnicar zdawał się marzyć. Zapocony, zadyszany, zahukany ze strachu i zmęczenia, ciągnął się na tyle kolumny między dwiema staremi czarownicami, od których rozchodził się odór petrolu i wódki. Kto słyszał, idąc niedaleko, słowa: „paszteciki“, które powracały ciągle w jego lamentacjach bez związku, mógł pomyśleć, że ten człowiek zwaryował.

I rzeczywiście pan Bonnicar stracił głowę. Wyobraźcie sobie, że, gdy szli pod górę lub z góry schodzili i gdy w ten sposób szeregi kolumny rozluźniały się nieco — zdawało mu się, że widzi tam dalej w kurzu, który próżnię wypełniał, biały kaftan i białą czapkę malca od Sureau z ulicy Turenne. I tak mu się zdawało dziesięć razy podczas drogi! To białe widzenie błyskawicznie ukazy-

wało się oczom jakby na drwiny umyślne, i znikalo natichmiasz pośród niezliczonej liczby mundurów, bluz i łachmanów.

Nareszcie, na schyłku dnia, cała ta zbita masa stanęła w Wersalu, a tłum, patrząc na tego starca w złotych okularach, zakurzonego, zmęczonego, z oczyma w przestrzeń wpatrzonemi, chciał w nim koniecznie dopatrzeć jakiegoś wielkiego zbrodniarza politycznego.

Odzywały się głosy:

— To musi być Feliks Pyat.

— Nie! to pewno Delescluze!

Strzelcy, którzy eskortowali kolumnę, z trudnością pomiędzy tą masą narodu doprowadzić go zdołali cało i zdrowo na podwórzec pomarańczarni. Tam dopiero biedne to stado ludzkie mogło się nieco rozproszyć, powyciągać na ziemi znużone członki, odetchnąć swobodniej. Byli pomiędzy nimi tacy, którzy spali, inni przeklinali, inni znów kaszlali, inni płakali; Bonnicar nie spał i nie płakał. Siedząc na schodkach jakiegoś przedsionka, z głową wspartą na rękach, umierający prawie z głodu, wstydu i zmęczenia, przebiegał on pamięcią dzień ten nieszczęsny: wyjście swoje z domu, pozostali tam współbiedniacy, ten stół nakryty na środku sali, który tak miał stać do wieczora, który pewno jeszcze go tam czeka, następnie upokorzenia, wymysły, popychanie kolbami, i to wszystko dlatego jedynie, że jakiś tam pasztecznik nie stawiał się na słowie!

Wtem głos jakiś odezwał się obok niego:

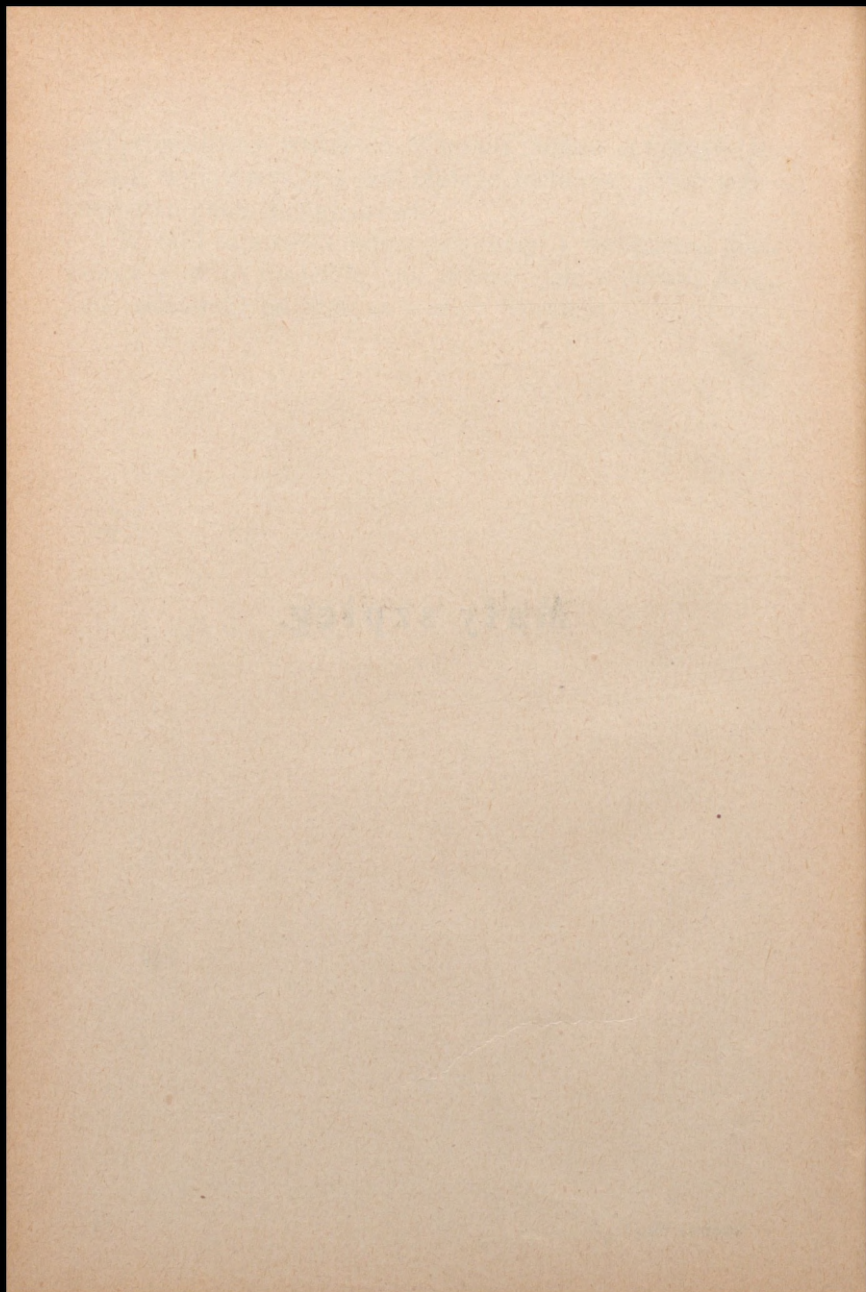
— Panie Bonnicar, oto są pańskie paszteciki!

Poczciwiec podniósł głowę i ujrzał ze zdziwieniem kuchcika od Sureau, który, przytrzymany razem z kompanią dzieci Rzeczypospolitej, równie jak inni,

przyprowadzony został do Wersalu. Malec otworzył puszkę i, wyjąwszy ją z pod białego fartucha, podał zgłodniałemu panu Bonnicarowi.

W taki to sposób, mimo rewolucyi i uwięzienia, pan Bonnicar w tę niedzielę, tak dobrze, jak w każdą inną, jadł paszteciki od Sureau z ulicy Turenne.

Mały szpieg.





Bombardowanie Paryża.

Nazywał się Stenne.

Było to dziecko Paryża, wątłe i blade, mogące mieć lat dziesięć, może piętnaście — z tymi malcami to już taka sprawa, że nigdy dokładnie wiedzieć nie można, ile mają lat. Matka jego już umarła; stary ojciec, niegdys żołnierz marynarki, był stróżem porządku na jednym ze skwerów dzielnicy Temple. Dzieci, niańki, stare matrony, wychodzące na spacer ze składanem krzeselkiem, biedne matki, wszyscy ci z całego Paryża, co, piechotą zmuszeni chodzić, chronią się przed powozami na te trawniki, otoczone chodnikami asfaltowymi — wszyscy ci znali starego ojca Stenne'a i lubili go bardzo.

Wiadomo było powszechnie, że pod tym wąsem srogim, który był postrachem psów i złodziei, kradnących ławki, ukrywał się poczciwy uśmiech, łagodny, prawie macierzyński. Wiedzano także, że, kto chciał ten uśmiech zobaczyć, potrzebował tylko zapytać starego :

„Jak się ma wasz chłopiec, ojczcie Stenne?”

On tak kochał swego malca, stary ojciec Stenne! szczęściem prawdziwym dla niego było, kiedy po lekcjach w szkole, wieczorem, mogli tak we dwu, razem z malcem, obejść wszystkie aleje skweru, zatrzymując się przed każdą ławeczką dla powitania zwykłych gości i usłyszenia od każdego dobrego słowa!

Na nieszczęście, gdy nadeszło obłężenie, wszystko się zmieniło. Skwer ojca Stenne'a został zamknięty, postawiono na nim beczki z naftą, i biedny stary, zmuszony do nieprzerwanej i czujnej straży, pędził smutne życie w klombach pustych i zniszczonych, sam jeden, nie mogąc palić, a z chłopcem widując się w domu tylko wieczorem, bardzo późno. To też trzeba było widzieć wasy jego, kiedy mówił o Prusakach!...

Mały Stenne ze swojej strony nie bardzo się skarżył na ten nowy rodzaj życia.

Obłężenie! Czy mogło być dla chłopców w jego wieku co zabawniejszego. Niema lekcyi! Niema szkoły! Wakacje cały czas, a ulice jak pole jarmarczne!

Po całych dniach malec w domu nie bywał, biegając po mieście. Towarzyszył on zwykle batalionom, idącym z koszarów na wały, wybierał z pomiędzy nich te, które miały dobrą muzykę. Na tem znał się doskonale. Napewno mówił, że muzyka 96-go batalionu nie wiele warta, ale za to w 55-ym mają muzykę aż miło. To znowu innym razem chodził patrzeć na mustrę rekrutów, a oprócz tego były jeszcze inne miejsca, bardzo zabawne, a mianowicie długie „szeregi“ ludzi, zwane pospolicie *queues*.

Przede drzwiami rzeźników i piekarzy, w te mgliste i ciemne poranki zimowe, bez latarń gazowych, tworzyły się długie rzędy oczekujących na swoje porceye, i on

też z koszykiem na ręku między nie się mieszał. Tam, na błocie i w wodzie po kostki, zawiązywały się znajomości, rozmawiano dużo, mówiono o polityce, a ponieważ malec był synem ojca Stenne'a, każdy go się pytał o jego zdanie.

Najzabawniejsza jednak ze wszystkiego była gra w korki, ta gra, którą rekruci bretońscy wprowadzili w modę w Paryżu podczas oblężenia. Jeżeli mały Stenne nie był na wałach, ani u wrót jatki lub piekarni, to napewno znaleźć go można było na „partyi korków“ na placu Château-d'Eau. Rozumie się, że sam nie grywał — na to potrzeba więcej pieniędzy, niż on posiadał. Dla niego dosyć było patrzeć na grających... ale też zato trzeba było widzieć jakimi patrzył oczyma!

Jeden szczególnie z grających, wysoki, w niebieskiej bluzie, wzbudzał podziw malca. Nie stawiał nigdy mniej, niż pięć franków, a gdy biegł, to słychać było, jak duże srebrne pięciofrankówki brzęczały mu w kieszeni.

Pewnego dnia, podnosząc pięciofrankówkę, która potoczyła się aż pod nogi małego Stenne'a, ten w bluzie niebieskiej szepnął do malca pocichu:

— Oczy cię bołą, widzę, patrzeć na takie piękne pieniądze!... Jeśli chcesz, to ci powiem, gdzie ich dostać można.

Gdy się gra skończyła, zaprowadził on małego w pusty kącik placu i zaproponował mu, żeby z nim poszedł sprzedawać dzienniki Prusakom. Za każdą podróż obiecywał trzydzieści franków.

Zrazu Stenne, oburzony, odmówił, odszedł z gniewem i przez trzy dni nie wrócił na Château-d'eau.

Były to trzy dni straszne. Przez te trzy dni ani jadł,

ani spał. W nocy stawały mu przed oczyma sterty korców, usypane u stóp łóżka, a pięciofrankówki błyszcząco biegały dokoła tych stert.

Pokusa była zbyt silna.

Na czwarty dzień wrócił na plac patrzeć na grających, zobaczył się z tym w bluzie niebieskiej i... dał się namówić.

Pewnego śnieżnego poranku wybrali się w drogę. Na plecach mieli worki płócienne, a pod bluzami ukryte dzienniki. Gdy przyszli do bramy, zwanej bramą Flandryi, dzień był już jasny. Starszy wziął malca za rękę i, podszedłszy do stojącego na warcie żołnierza — a był to szeregowiec z gwardyi miejskiej, o nosie czerwonym i łagodnej fizyognomii — rzekł, naśladując żebraka:

— Pozwólcie nam przejść, dobry panie. Matka nam jest chora, ojciec zmarł. Chcieliśmy, ja i mój mały braćciszek, wyjść trochę na pole, może trochę kartofli uzbieramy.

Gdy to mówił, łzy miał w oczach. Mały, zawstydzony bezczelnością starszego, zarumienił się i spuścił głowę.

Żołnierz popatrzał na nich przez chwilę, rzucił okiem na drogę pustą i białą, i odpowiedział, usuwając się:

— Przechodźcie prędko!

I tak chłopcy znaleźli się na drodze do Aubervilliers.

Starszy dusił się od śmiechu.

Niewyraźnie, jakby przez sen, mały Stenne widział po obu stronach drogi: fabryki zamienione na koszary,

barykady opuszczone, na których schły po praniu lachmany jakieś, wysokie i wysmukłe kominy, przerywane mgłą i wznoszące się ku niebu puste i powyszczerbiane. Tu i owdzie żołnierze na warcie, oficerowie zziębnięci w baszlykach na głowach, przypatrujący się czemuś w dali przez lunety, wreszcie biedne namioty, rzędami stojące w topniejącym śniegu, a przed nimi jakiś umierający ogień...

Starszy znał doskonale drogę i prowadził manowcami dla uniknięcia tłómaczenia się przed strażami i patrolem. Mimo to jednak natrafili na tak umieszczoną grand-gardę, złożoną z wolnych strzelców, że ominąć jej nie mogli. Małe ich namioty stały jakby zaczajone w pełnym wody rowie, ciągnącym się wzdłuż drogi do Soissons.

Tu sprawa okazała się trudniejszą, aniżeli przy bramie Flandryi. Na nic się nie przydało powtórzenie przez starszego tej samej historyi, z towarzyszeniem jeszcze obfitszych łez,—nie chciano ich puścić.

Wtem, gdy tak płakał i lamentował, z domku strażnika rogatekowego wyszedł na drogę stary jakiś sierżant, siwiuteńki, z twarzą pomarszczoną, podobny do ojca Stenne'a:

— No! nie płakać mi tutaj! nicponie!—krzyknął.— Puszczę was na kartofle, ale wprzódę wejść mi zaraz do izby i rozgrzać się trochę przy ogniu!... Ten malec tak wygląda, jakby był zmarznięty!

Mały Stenne drżał rzeczywiście, ale drżał, niestety! nie z zimna, lecz ze strachu i ze wstydu.

Wszedłszy do izby, znaleźli kilku żołnierzy, skurczonych przed skromnym ogniem. Ogień ten, prawdziwy ogień wdowi, ledwo tyle dawał ciepła, że mogli przy nim ci biedni rozgrzewać zmarznięte suchary, na koń-

cu bagnetów zatknięte. Ściśnięto się cokolwiek i zrobiono chłopcom miejsce. Dano im wódki, trochę kawy gorącej...

Kiedy pili, do drzwi podszedł oficer, owinięty w płaszcz, a raczej w pelerynę, wywołał sierżanta, rozmawiał z nim coś po cichu i odszedł szybko.

— Wiara! do góry uszy! — zawołał sierżant, wracając rozpromieniony z tej rozmowy z oficerem. — Będzie ciepło tej nocy! Znają nasi hasło Prusaków... Może nareszcie tym razem odbierzemy im ten wściekły Bourget *).

Na tę wiadomość wszystko się ożywiło. Słowa sierżanta zagłuszono wybuchem radości, śmiechy rozległy się dokoła. Tańczono, śpiewano, czyszcząc broń i ostrząc bagnety.

Korzystając z tego wybuchu radości i powstałego stąd zamieszania, chłopcy znikli.

Gdy przeszli wał, już wszystkie przeszkody były zwalczone. Przed nimi rozciągała się pusta płaszczyna, a w dali widać było długi biały mur forteczny, z otworami do strzelania. Do tego muru właśnie dążyli, zatrzymując się na każdym kroku, jakby zbierali kartofle.

— Wróćmy się!... Nie chodźmy tam! — odzywał się co chwila mały Stenne.

Starszy za całą odpowiedź wzruszał ramionami i szedł dalej.

Nagle posłyszeli szczęk odwodzonych kurków.

— Na płask! — krzyknął starszy i sam rzucił się na ziemię.

Leżąc już, gwizdnął przeciągle. Taką odpowiedź

*) Jeden z fortów Paryża, który Prusacy najpierw zajęli i na którym stoczono niejedną bitwę. (*Przyp. tłóm.*)

doleciała do nich po śniegu. Czołgając się po ziemi, sunęła naprzód... Przed murem, równo z ziemią, ukazała im się para żółtych wąsów pod wielką czapką, zatłuszczoną i bez daszka. Starszy skoczył do rowu i stanął przy Prusaku:

— To mój brat! — rzekł, pokazując swego towarzysza.

Prusak spojrział na malca ciekawie i, widząc go tak małym i szczupłym, roześmiał się tylko, a wzięwszy go na rękę, przeniósł przez rów i podsadził do wyłomu.

Za murem widać było wielkie przekopy ziemne, drzewa poprzewalane, w białym śniegu czarne przepaście, w każdej z nich taką samą dużą czapkę bez daszka, zawalaną i zatłuszczoną, a pod nią także same żółte wąsy, śmiejące się na widok nadchodzących chłopców.

W rogu, na boku, stał domek ogrodnika, ufortyfikowany pniami drzew. W domku tym na dole pełno było żołnierzy, grających w karty. Na wielkim jasnym ogniu stał ogromny kocioł zupy. Zapach kapusty przyjemnie rozchodził się po izbie. Jakiż kontrast w zestawieniu z biwakiem wolnych strzelców!

Na pierwszym piętrze oficerowie. Słyszać było, jak grali na fortepianie, odkorkowywali z hukiem szampana. Tam weszli chłopcy. Powitano ich wesoło. Odebrano od nich dzienniki, dano im pić i zaczęto z nimi rozmawiać.

Wszyscy ci oficerowie mieli miny dumne i złe. Ale bawiła ich werwa, zwykła mieszkańcom przedmieść Paryża, werwa starszego z chłopców i jego szwargot łobuzerski. Śmieli się, powtarzali sobie dla pamięci jego wyrażenia, tarzali się z rozkoszą w tem błocie paryskim, które im przyniesiono.

Mały Stenne byłby był także chciał coś powiedzieć,

pokazać, że i on także niegłupi, ale coś mu przeszkadzało, był jakiś nieswój.

Wprost przed nim, przy stoliku, osobno, siedział jakiś oficer pruski, starszy wiekiem od innych, poważniejszy, i czytał, a przynajmniej książkę miał przed sobą, ale oczu z malca nie spuszczał. We wzroku tym malowała się czułość jakaś i coś jakby wyrzut; jakgdyby ten człowiek w swoim rodzinnym kraju zostawił synka w tym samym wieku, co mały Stenne, i jakby sobie mówił:

„Wolałbym umrzeć, niż widzieć moje dziecko takim rzemiosłem zajęte...”

W tej chwili Stenne'owi zdawało się, że jakaś ręka chwyciła go za serce i nie pozwala mu uderzać.

Chcąc się pozbyć tego bolesnego uczucia, malec zaczął pić. Niedługo zaczęło się wszystko kręcić koło niego. Słyszał niewyraźnie, jak jego starszy towarzysz żartował z gwardyi narodowej, drwił z ich znajomości służby wojskowej, naśladował apel w środkowych cyrkulach Paryża, alarm w nocy na wałach... Potem słyszał jeszcze, że tanten zaczął mówić ciszej, kółko oficerów się zacieśniło dookoła niego. Zaczęto słuchać poważnie.

Nędznik przestrzegali ich właśnie o ataku wolnych strzelców.

W jednej chwili otrzeźwiony, mały Stenne zerwał się z miejsca, poskoczył ku niemu rozwścieczony i zawołał:

— O! co to, to nie!... milcz!

Ale tanten, nie zważając na niego, mówił dalej. Nie skończył jeszcze, a już wszyscy oficerowie byli na nogach. Jeden z nich pokazał chłopcom drzwi.

— No! teraz precz! — zawołał.

I poczęły rozmawiać z sobą bardzo prędko, po niemiecku. Starszy wyszedł, dumny, jak doża wenecki, brzęcząc pieniędzmi w kieszeni. Stenne poszedł za nim z gło-

wą spuszczoną, a gdy przechodził koło tego Prusaka, którego wzrok tak go dziwnie przejmował, usłyszał głos jakiś smutny, który mówił po francusku łamanym z niemieckiego akcentem:

— Bas chôli, ça... Bas chôli...

Na ten głos łzy mu w oczach stanęły.

Wydostawszy się na płaszczyznę, chłopcy zaczęli biedz kłusem i szybko wrócili. Worki ich były pełne kartofli, których im dali Prusacy. Z workami na plecach przeszli bez przeszkody przez obóz wolnych strzelców. Przygotowywano się tam do ataku nocnego. Wojska przybywały milczące, zbijając się w masy poza murem. Stary sierżant między nimi zajęty był rozmieszczaniem swoich ludzi. Cały promieniał radością i nadzieją. Gdy chłopcy przechodzili, poznał ich, uśmiechnął się do nich łagodnie i serdecznie.

O! jakże bolesnym dla małego Stenne'a był ten uśmiech dobrotliwy starego żołnierza. W tej chwili chciał pobiedz do niego i powiedzieć mu:

„Nie chodźcie tam... zdradziliśmy was!”

Ale starszy tłómaczył.

— Jeśli słowo piśniesz, rozstrzelają nas!

Bojaźń wstrzymała małego.

W Courneuve weszli do jakiegoś opuszczonego domu i podzielili się pieniędzmi.

Miłość prawdy zmusza mnie do powiedzenia, że podzielili się uczciwie, i że mały Stenne, poczuwszy pod bluzą piękne duże pięciofrankówki, myśląc o tem, wiele to partyi, wiele zabaw za te pieniądze jest w perspektywie, w mniej czarnych kolorach widział swoją zbrodnię.

Dopiero potem, gdy bramy miasta minęli, gdy starszy poszedł w inną stronę, gdy został sam, nieszczęśliwy! wtedy dopiero kieszenie z tymi pieniędzmi ciężkie mu się wydały i wtedy ta ręka niewidzialna, którą czuł na sercu, coraz bardziej ścisnąć je poczęła.

Paryż wydał mu się jakiś inny. Zdawało mu się, że ludzie, których spotykał, patrzą na niego surowo i ostro, jakby wszyscy wiedzieli, skąd wracał. W turkocie kół po bruku, w szumie wody, w uderzeniach bębna egzercytujących się nad brzegiem kanału doboszów, słyszał jeden tylko wyraz: szpieg!

Nareszcie przybiegł do domu, ojca nie zastał jeszcze i, ucieszony tem, schował pod poduszkę te pieniądze, które mu tak ciążyły.

Rzadko stary Stenne bywał tak wesoły i tak dobry, jak tego wieczora! Wiadomości z prowincyi, doszłe do obłożonego Paryża, były lepsze nieco; zdawało się, że jakoś lepiej idzie Francuzom. Siedząc przy obiedzie, stary żołnierz spoglądał z pod oka na swój karabin, wiszący na ścianie, i mówił do syna, śmiejąc się łagodnie:

— Tybyś dopiero bił Prusaków, gdybyś był większy, nieprawdaż, mały?

Około ósmej dały się słyszeć strzały armatnie.

— To w Aubervilliers... Biją się pod Bourget — rzekł starowina, który znał doskonale forty Paryża.

Mały zbladł, jak ściana, i pod pretekstem zmęczenia, pożegnawszy ojca, położył się do łóżka, ale nie mógł usnąć.

Strzały armatnie ciągle się rozlegały.

Wyobrażał sobie wolnych strzelców, jak nocą, po ciemku, podeszli, chcąc napaść Prusaków niespodzianie, i sami wpadli w zasadzkę. Przypomniał sobie poczciwego

sierzanta, który się do nich uśmiechnął tak pocziwie, i widział go w swej wyobraźni, tam na śniegu, zabitym i koło niego innych wielu!... A cena tej krwi leżała tu, pod poduszką. A zdradził on! Syn starego ojca Stenne'a, syn żołnierza! Łzy dusiły go.

Słyszał, jak w drugim pokoju ojciec chodził, okno otwierał. Na dole, na placu, trąbiono na apel, batalion gwardyi miejskiej zbierał się i przygotowywał do wymarszu. Była to więc bitwa na seryo. Nieszczęśliwy nie mógł wstrzymać się od głośnego łkania.

— Co tobie? — zapytał stary, wchodząc.

Biedny mały nie mógł już wytrzymać, wyskoczył z łóżka i rzucił się do nóg ojcu. Przy tem gwałtownem poruszeniu pięciofrankówki z pod poduszki spadły na ziemię.

— Co to jest? Tyś ukradł te pieniądze? — wykrzyknął stary, drżąc z gniewu.

Wtedy, jednym tchem, mały Stenne powiedział ojcu, że chodził do Prusaków z tamtym drugim, i opowiedział, co tam robili. W miarę, jak się wywnętrzał, czuł, że mu z serca ciężar spada. Oskarżając się, czuł, że sobie ulgę przynosi.

Stary ojciec słuchał, a oblicze miał straszne.

Gdy już wszystko było powiedziane, zakrył twarz rękoma i zapłakał.

— Ojcie! ojcie!...—wołał chłopczyna.

Stary odepchnął go, nic nie mówiąc, i zebrał pieniądze.

— Czy to wszystko? — zapytał.

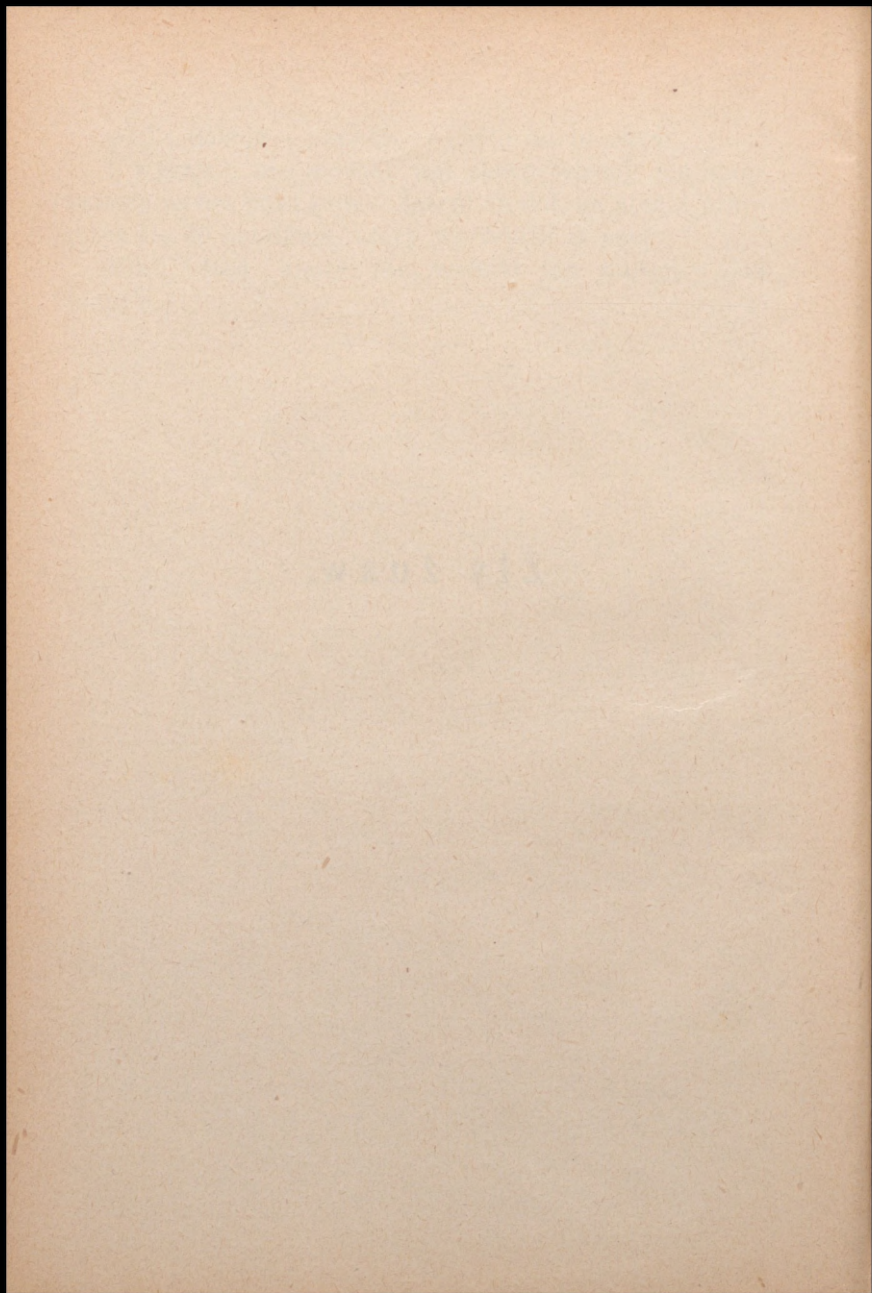
Mały skinieniem głowy odpowiedział, że wszystko. Ojciec zdjął ze ściany karabin i ładownicę i włożył pieniądze do kieszeni.

— To dobrze — rzekł — pójdę im to oddać.

I wyszedł, nie mówiąc ani słowa więcej, nie spojrzawszy nawet poza siebie. Zszedł na dół, na plac, i przyłączył się do batalionu, który wychodził w nocy.

Nikt odtąd nigdy nie widział już starego ojca Stenne'a.

Zły żuaw.





Sedan 1 września 1870 roku. Ostatni nabój

Właściciel wielkiej kuźni, Lory z Sainte Marie-aux-mines, zły był jakiś tego wieczora.

Zwykle, jak tylko ogień w kuźni zgaszono, po zachodzie słońca, siadywał on na ławce przede drzwiami, ażeby wyprostować członki i wypocząć pocziwie z tego znużenia, jakie daje uczciwa praca w skwarny dzień letni. Tam, na owej ławce, przed rozpuszczeniem uczniów i czeladzi, wypijał z nimi kilka dobrych szklanic świeżego piwa i przyglądał się z przyjemnością ruchowi, jaki powstaje na ulicach przy wyjściu robotników z fabryk.

Tego wieczora jednak stary kowal pozostał wewnątrz swej kuźni aż do kolacyi, do której przyszedł jakiś niechętny i namarszczony. Żona jego, krzątając się około zastawienia stołu, spoglądała na niego z pod oka i myślała sobie:

— Co mu się zrobiło?... Musiał pewno odebrać jaką

złą wiadomość z pułku i nie chce mi nic powiedzieć... Może nasz syn najstarszy zachorował w jakimś tam Sidi-bel-Abbes...

Nie śmiała jednak o nic zapytać. Sama milczała i starała się utrzymać ciszę pomiędzy trzema chłopaczkami o jasnych włoskach koloru kłosów dojrzałego zboża, którzy, cisnąc się ze śmiechem dokoła białego obrusa, z apetytem chrupali świeżutką i doskonałą sałatę z rzodkwi czerwonej ze śmietaną.

W końcu stary kowal odepchnął od siebie talerz z gniewem, wykrzykując sam do siebie:

— A łotry! a łajdaki!

— Komu ty to tak wymyślasz, mój Lory? — zapytała żona.

— Wymyślam — odpowiedział, wybuchając gniewem — pięciu czy sześciu bałwanom, którzy co rano włóczą się po mieście w mundurach francuskich żołnierzy i bratają się z Bawarami... To znowu kilku takich, którzy... jak mówią urzędowym stylem... wybrali narodowość pruską, a poprostu Prusakami zostali. I powiedzieć, że codzień widzimy wracających takich fałszywych Alzaczyków!... Jakiego tam dyabła z piwem, czy z winem pić im dają gałganom!

Stara matka chciała ich bronić.

— Mój stary, cóż mieli robić, niezupełnie to ich samych wina... Widzisz, to tak daleko ten Algier afrykański, gdzie ich posyłają!... Tam tęsknią za rodzinną stroną i wielką dla nich pokusą jest sposobność powrócenia do domu i porzucenia służby wojskowej.

Lory uderzył silnie pięścią w stół i zawołał:

— Cicho bądź, stara!... wy, kobiety, nie się na tem nie rozumiecie. Ciągle z dziećmi i żyjąc dla nich jedynie,

wszystkobyście rade ich miarą mierzyć... A ja ci powiadam, ja stary kowal z Sainte-Marie-aux-mines, że ci nowopruscy poddani, to łajdaki, renegaci, najpodlejsi z ludzi, i że, gdyby nieszczęśliwym jakim wypadkiem mój syn pierworodny, mój Chrystyan, dopuścił się takiej infamii, zaręczam ci, jak prawda, że się nazywam Jerzy Lory i że lat siedem służyłem w strzelcach francuskich, zaręczam ci, na nic nie zważając, tą starą szablą moja zabiłbym go, jak psa!

Straszny, na pół wyprostowany stary kowal pokazał przytem wyciągniętą ręką szeroki pałasz dawnych strzelców, wiszący na ścianie pod portretem tego właśnie Chrystyana Lory. Portret ten robiony był w Afryce i przedstawiał przystojnego chłopaka w mundurze 3-go pułku żuawów. Na widok tej poczeiwej fizyognomii alzackiej, zczerniałej od słońca afrykańskiego, stary kowal uspokoił się nagle i, śmiejąc się głośno, zasiadł napowrót za stołem.

— Dobry ja sobie jestem z temi głupimi przypuszczeniami!... Jakby to naszemu Chrystyanowi mogła przyjść myśl taka podła — zostać Prusakiem; jemu, który ich tylu nazabijał podczas wojny!

Myśl ta wróciła mu dobry humor, dokończył więc kolacyi wesoło, potem wstał i poszedł wypróżnić kilka kufelków piwa w kawiarni „pod Strasburgiem“.

Matka Lory została w domu sama.

Ułożywszy do snu trzech swoich blondynków, których jeszcze słyhać szepczących w sąsiedniej izbie, jak ptaki świergoczące w gniazdku przed usnięciem, wzięła swoją robotę i, wyszedłszy odetchnąć przed dom, usiadła na ławeczce od strony ogrodu i wzięła się do cerowania. Od czasu do czasu powtarzała sobie, wdychając po cichu:

— Niech tam sobie i tak będzie! Łajdaki renegaci, najpodlejsi z ludzi... niech tam! Ich matki są bardzo szczęśliwe, mając ich przy sobie.

Przypomniała sobie czasy owe, kiedy syn jej, zanim poszedł do wojska, o tej samej godzinie dnia był tu, koło niej; i pod jej opiekuńczym wzrokiem bawił się w ogrodnika. Widziała go w swej wyobraźni, jak przy studni napełniał wodą swoje polewaczki, ubrany w bluzę niebieską; włosy długie spadały mu na ramiona, te śliczne włosy blond, które mu obcięto, gdy przystał do żuawów...

Nagle stara matka zadrżała.

Mała furtka w głębi ogrodu, ta furtka, którą się wychodzi na pole, skrzypnęła na zawiasach. Psy nie szczekały, a jednak ten, który wszedł tą furtką, jak złodziej, przesuwając się wzdłuż muru między ulami...

— Matko! to ja!

I stanął przed nią Chrystyan, w mundurze porożpinanym, zawstydzony, niepewny jakiś, jakby pijany... Nędznik wrócił w rodzinne strony z innymi i od godziny przeszło czaił się około domu, czekając i nie śmiejąc wejść, aż ojciec wyjdzie.

Chciałaby się na niego gniewać, ale nie ma odwagi. Już tak dawno go nie widziała, tak dawno nie ucałowała!

A zresztą on jej tak tłómaczy, takie dobre daje racye! Tak mu tam tęskno było za rodzinną stroną, za nimi, za kuźnią, tak żyć od nich daleko było smutno! Przytem karność w pułku coraz silniejsza, a jego wszyscy przezywali Prusakiem, dlatego, że mówił po francusku akcentem alzańskim. Ona wierzy wszystkiemu, co on mówi. Dostyc jej spojrzeć na niego, żeby mu uwierzyć.

Tak rozmawiając, weszli do dolnej izby. Mały rozbudzeni poprzybiegali boso, w koszulkach, przywitając starszego brata. Chciano mu dać jeść, ale on nie głodny; pić tylko mu się chce, pić i pić, i pije wodę wielkimi szklanicami po tych wszystkich kuflach piwa i kieliszkach wina białego, które wypił od rana w szynku z towarzyszami.

Wtem odgłos ciężkich kroków rozległ się w podwórku. To kowal wraca do domu.

— Ojciec idzie! Schowaj się, chłopcze, jak najprędzej. Ja mu sama powiem, ja mu wytłomaczę.

I popchnęła go za wielki piec fajansowy, usiadła i schwyliła w drżące ręce robotę. Na nieszczęście szeroki i jaskrawy pas od munduru żuawa został na stole i pierwszą rzeczą, którą spostrzegł, wchodząc, stary Lory, był ten pas. Matka zbladła, zmieszala się... Stary wszystko odrazu zrozumiał.

— Chrystyan jest w domu! — wykrzyknął strasznym głosem i, porwawszy szablę ze ściany, z szalonym ruchem rzucił się ku piecowi, gdzie siedział żuaw skurczony, wybladły, wytrzeźwiony, oparty o mur, drżący ze strachu.

Matka rzuciła się między nich:

— Lory! ojciec! mężu! nie zabijaj go. To ja winna jestem wszystkiemu, ja do niego pisałam, żeby wrócił, ja pisałam, że ty go potrzebujesz przy kuźni!...

I schwyliła go za rękę, łkając i tarzając się po ziemi. Dzieci w swoim pokoju, w nocy, po ciemku, przerażone, słysząc płacz i głosy tak zmienione, że ich rozpoznać nie mogły — płakały...

Kowal stary wstrzymał się, patrząc na żonę.

— A! to ty pisałaś do niego, żeby wrócił... Ty!... No, dobrze, niech idzie spać. Jutro zobaczę, co mi zrobię wypada.

Nazajutrz Chrystyan, budząc się z ciężkiego snu, pełnego strasznych marzeń i zmor okrutnych — znalazł się w swoim dzieciennym pokoiku. Przez szyby, zwyczajem miejscowym w olów oprawne, przeplecione chmielem kwitnącym, przeciskało się słońce, już wysokie na horyzoncie i gorące. Na dole młoty dzwonią o kowadła... Matka siedzi w głowach łózka; nie opuściła ona tego miejsca przez całą noc, tak ją przeraził gniew ojca. Stary kowal także całą noc nie spał, nawet się nie położył. Do rana chodził po domu, płacząc, wzdychając, otwierając szafy, i oto w tej chwili wchodzi do pokoju swego syna, poważny, spokojny, ubrany jak do podróży, w długich butach z cholewami, w szerokim kapeluszu, w rękę ma kij górski, mocny, gruby i okuty u dołu. Zbliża się wprost do łózka syna.

— Dalej, prędko!... wstawaj! ubieraj się!

Chłopiec zerwał się zmieszany, nie wiedząc, co to będzie, i chwycił za swój mundur żuawski.

— Nie rusz tego!... — rzecze ojciec groźnie.

A matka, przelękniona, patrząc w oczy mężowi, odpowiada bojaźliwie za syna:

— Ależ mój kochany, cóż on ma włożyć na siebie? On nie ma innego ubrania.

— Daj mu moje... Mnie już ubranie niepotrzebne.

Kiedy się chłopak ubierał, Lory złożył starannie cały jego mundur, kaftan brązowy żółto lamowany, i szerokie szarawary czerwone, i pas, i turban. Zwinął to wszystko w pakiet, blaszaną puszkę, w której była marszruta, założył sobie na szyję...

— Teraz, kiedyś gotów, chodźmy na dół! — rzekł, i wszystko troje zeszli, milcząc, do kuźni.

Tam miechy dną, wszyscy są przy pracy.

Zobaczywszy tę wielką jakby wozownię otwartą,

ten ruch, tę działalność, to wszystko, o czym tak często myślał tam w Afryce, żuaw przypominał sobie dzieciństwo swoje i czas, kiedy się bawił tak długo między gorącym słonecznym na drodze i iskrami kuźni, błyszczącymi w czarnym dymie i sadzy. Serce mu się ścisnęło, zdjęła go jakaś nieopisana czułość, pragnienie nieskończone otrzymania przebaczenia ojca—ale ile razy podniósł oczy na niego, spotykał zawsze spojrzenie srogie i nieubłagane.

Nakoniec stary kowal zaczął mówić:

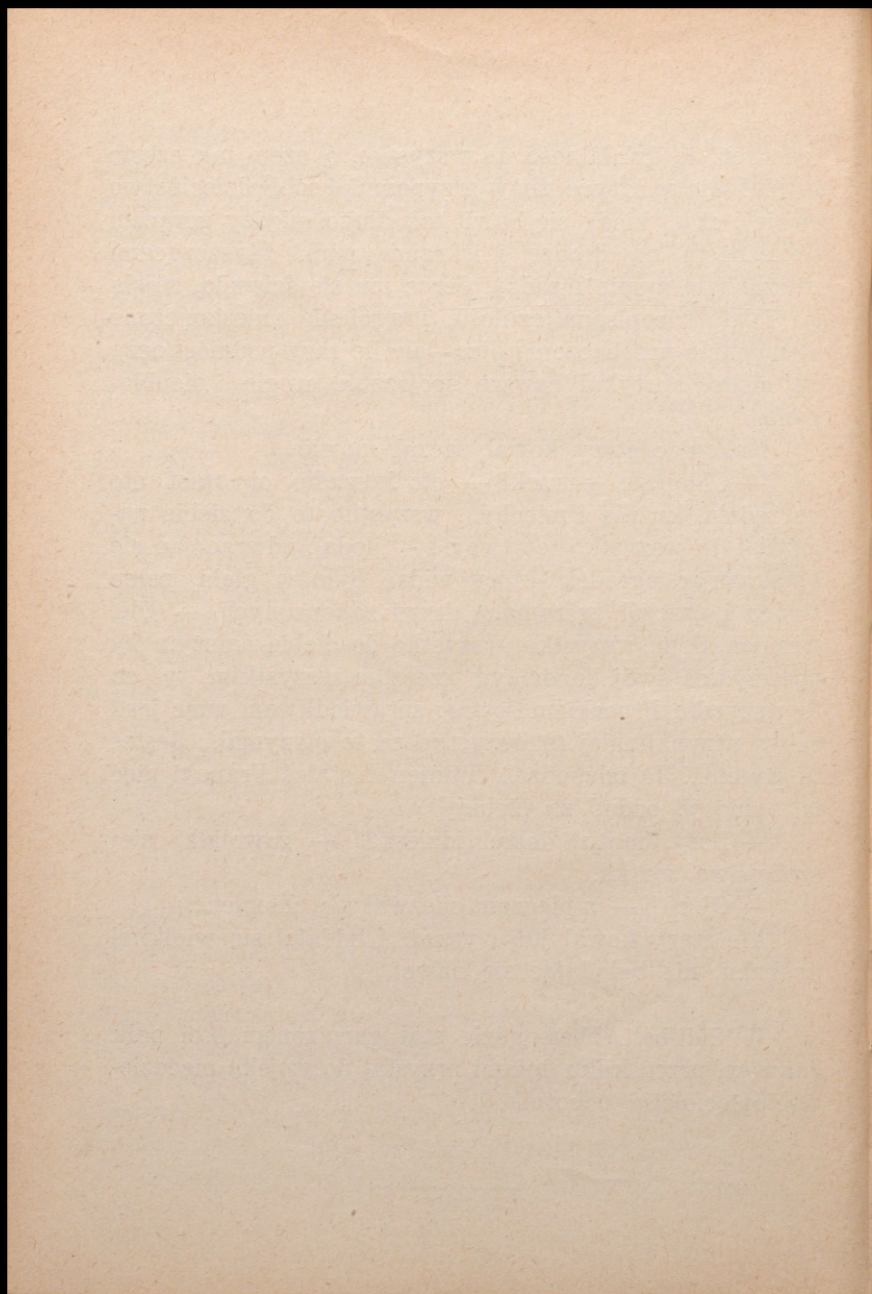
— Chłopcze — rzekł — oto kowadło, oto młot, oto narzędzia, kuźnia i miechy... wszystko to do ciebie należy! I to wszystko też twoje! — dodał, odwracając się i wskazując ogródek, który widać było w głębi, pełen słońca i pszczoł, w ramach drzwi zakopcanych. — Ule, winnica, dom, wszystko, wszystko do ciebie należy... Ty poświęciłeś swój honor tym rzeczom wszystkim, tyś za to wszystko Prusakiem został; sprawiedliwym więc jest, żebyś przynajmniej to wszystko za to otrzymał... Jesteś tu panem... Ja odchodzę... Winien zostałeś Francyi pięć lat... idę je oddać za ciebie.

— Lory, mężu! dokąd idziesz?! — zawołała nieszczęśliwa matka.

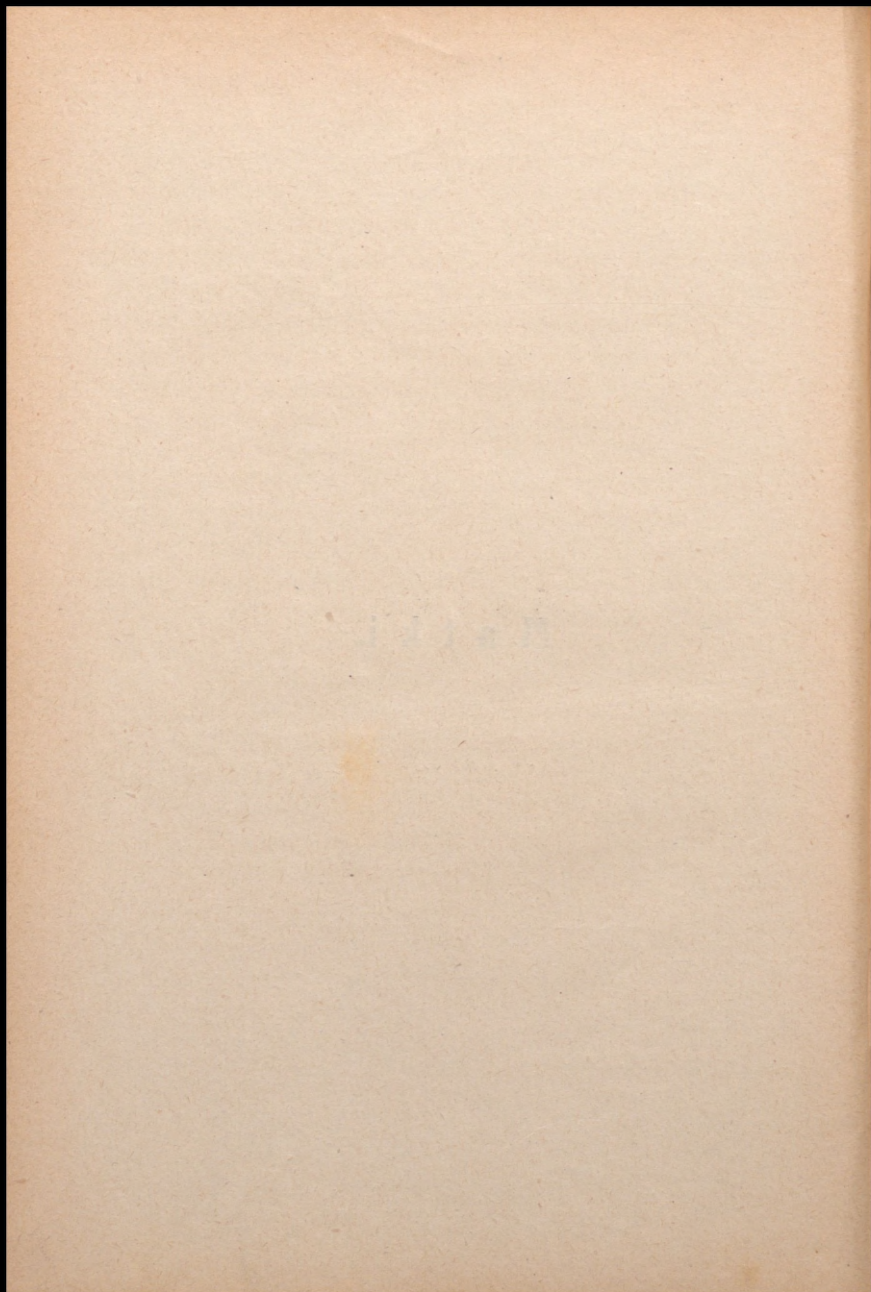
— Ojcie! — z płaczem odezwał się chłopiec...

Ale stary kowal już wyszedł i oddalał się wielkimi krokami, nie oglądając się nawet.

W Sidi-bel-Abbes, gdzie stał garnizonem 3-ci pułk żuawów, przed kilku dniami przystał do wojska pięćdziesięciopięcioletni ochotnik.



M a t k i.





Epizod z oblężenia Paryża.

Tego ranka poszedłem do fortu Mont Valérien odwiedzić przyjaciela swojego, malarza Br..., porucznika gwardyi narodowej departamentu Sekwany. Trafiłem tak nieszczęśliwie, że poczciwy chłopiec był na warcie. Nie można było ruszyć się z miejsca. Trzeba było za całą rozrywkę kontentować się przechadzką tam i napowrót, jak majtek na pokładzie, przed bramą fortu, rozmawiając o Paryżu, o wojnie, o najukochańszych nieobecnych przyjaciółach naszych...

Wtem pan porucznik, który pod swoim mundurem gwardzisty pozostał zawsze znakomitym karykaturzystą, przerwał naszą rozmowę, stanął jak pies do kuropatwy i, biorąc mnie za rękę, rzekł:

— Patrz! jakie przepyszne typy dla ołówka Daumiera! — a szepcząc mi to do ucha, oczyma swemi siwemi, w których błyszczał zapal, jak u wyżła, gdy zwierzyne tropi, wskazywał mi z boku dwie przepyszne

sylwetki, które dopiero co właśnie ukazały się na wzniesieniu pagórka Valérien.

I rzeczywiście typy były przepyszne. Mężczyzna w długim surducie kasztanowego koloru z kołnierzem z aksamitu zielonego, który się zdawał zrobiony ze starego mchu drzewnego. Suchy, mały, czerwony na twarzy, z czołem ściętnionem, z oczyma okrągłemi, nos miał zakrzywiony, jak dziób sowy. Cała głowa, jak głowa ptasia, uroczyście i głupia. Dla dokończenia obrazu dodać trzeba, że w ręku miał worek, kryty haftem krzyżową robotą, wyobrażającym jaskrawych kolorów bukiet. Z worka wyglądała szyjka butelki. Pod drugim ramieniem widać było puszkę konserw, nieodstępną naówczas puszkę blaszaną, której Paryżanie nigdy już nie będą mogli widzieć bez wspomnienia owej pięciomiesięcznej blokady.

Z postaci kobiety naprzód i przede wszystkim uderzał w oczy olbrzymi kapelusz, przypominający swoimi kształtami kabryolet, i szal stary, który, jakby obraz jej nędzy, obciśle ją okrywał od góry do dołu. Czasami pomiędzy zmiętymi falbankami marszczonemi, zdobiącemi niegdyś kapelusz, ukazywał się nos spiczasty i kilka włosów siwiejących i rzadkich.

Gdy weszli na płaskie wzniesienie pagórka, mężczyzna zatrzymał się chwilkę, chcąc odetchnąć i obetrzeć spotniałe czoło. W końcu listopada we mgłach na tej wysokości nie bywa tak bardzo gorąco, ale oni przyszli tak szybko...

Kobieta nie zatrzymała się ani chwili, ona nie potrzebowała wypoczynku. Idąc prosto ku bramie, patrzyła na nas przez chwilę, jakby chciała się do nas odezwać, ale onieśmielona zapewne galonami oficerskimi mego

towarzysza, wołała udać się do stojącego na warcie żołnierza i słyszałem, jak mówiła mu, że chciałaby się widzieć z synem swoim z gwardyi Paryża, z szóstej kompanii trzeciego pułku.

— Poczekajcie tu — rzekł żołnierz — pójde, zawołam go.

Ukontentowana tą odpowiedzią staruszka odetchnęła swobodniej i wróciła ku swemu mężowi, a oboje poszli usiąść na ustroniu na brzegu wału.

Czekali tam długo. Ten fort Mont Valérien jest tak wielki, tak skomplikowany, tyle podwórz, tyle ulic, bastyonów, koszar, kazamat! Szukaj-że tu gwardzisty Paryża z 6-ej kompanii 3-go pułku w tem mieście wojny, zawieszonem między niebem a ziemią i wznoszącem się spiralnie ku chmurom, jak wyspa Laputa. A dodać jeszcze trzeba do tego, że o tej właśnie godzinie fort pelen jest zawsze doboszów bębniących, trębaczy różne pobudki trąbiących, żołnierzy biegających tam i sam, blaszanek na wodę i na żywność, dzwoniących i brzęczących w tym ruchu, oficerów wydających rozporządzenia i t. d. Tu wartę zmieniają, na roboty wysyłają dyżurnych, rozdają żywność; tam znowu wolni strzelcy prowadzą, popędzając uderzeniami kolb, zakrwawionego szpiega; wieśniacy z sąsiedniej wioski, zwanej Nanterre, idą na skargę do generała, sztafeta przybiega na koniu galopem, człowiek zziębnięty, koń spieniony, tam znowu doktorzy i felczerzy wracają z awangard z rannymi, leżącymi na poprzek na mułach i jęczącymi łagodnie, jak chore jagnięta, majtkowie, zamienieni na artylerzystów, wciągają na wały świeże działo przy sygnałach piszczałki i wołaniu „hissa! ho!“; gdzieindziej stado, zapas fortu, wraca z pastwiska; pędzi je przed sobą pasterz

w czerwonych spodniach, mając kij pasterski w rękę, a karabin na ramieniu — wszystko to idzie, rusza się, wchodzi, wychodzi, krzyżuje się, mija w podwórzach i ginie pod bramami, jak pod niskimi sieniami karawan-serajów wschodu.

— Żeby tylko nie zapomnieli o moim chłopcu! — mówiły tymczasem oczy biednej matki i co pięć minut podnosiła się, zbliżała się do wejścia dyskretnie, rzucała nieśmiałe spojrzenie w pierwsze podwórze, słaniając się pod murem, ale nie śmiała nikogo o nic więcej pytać, bojąc się, żeby w ten sposób nie ośmieszyć swego syna.

Mężczyzna, jeszcze bardziej nieśmiały, niż ona, nie ruszał się ze swego miejsca, i za każdym razem kiedy ona wracała z sercem wezbranem, z miną, jakby straciła odwagę i nadzieję, widzieliśmy, że ją łajał łagodnie za jej niecierpliwość, i że jej dawał elokwentnie moc wielką różnych wywodów o koniecznościach i wymaganiach służby wojskowej, gestykulując przytem, jak głupiec, udający mądrego.

Zawsze byłem bardzo ciekawy tych drobnych scen cichych i serdecznych, które się więcej odgaduje, niż widzi i słyszy, tych pantomin, które na ulicy, gdy idziesz, potracają cię łokciem i jednym gestem całą egzystencję przed tobą zdradzają; tutaj jednakże najbardziej mnie zajmowała i przykuwała moją uwagę niezdarność, naiwność obserwowanych typów i z prawdziwym wzruszeniem, pośród ich mimiki wyrazistej i czystej, jak dusze dwu aktorów z teatru marynetek Serafina, śledziłem wszystkie przejścia tego przepysznego dramatu familijnego.

Widziałem tedy naprzód myślą starą matkę, jak sobie powiedziała pewnego poranku:

— Nudzi mnie już ten pan Trochu tymi tam swymi

planami i rozkazami... Już trzy miesiące nie widziałam swego syna... Muszę go przecież iść ucałować!

Ojciec, bojaźliwy, niepewny jakiś siebie w całym życiu, zatrwożony myślą przedsięwziąć się mających starań, żeby uzyskać pozwolenie, próbował naprzód wyperswadować jej tę zachciankę.

— Ależ, kochanie moje, co ci się też zachciało, to niepodobna! Ten fort Mont Valérien tak jest daleko... Nie zajdziesz, a dorożek teraz niema podczas oblężenia. Zresztą, to cytadela ten fort, kobiet tam nie puszczają!

— Oho! mnie muszą puścić! — odpowiedziała matka; a ponieważ on zawsze robił i robi wszystko, co ona chciała i chce, ruszył więc w drogę starać się o pozwolenie. Chodził do wydziału wojskowego, do mera, do sztabu głównego, do komisarza, potniał ze strachu i kostniał od zimna; wszędzie potrącany, popychany w tłumie, mylił się ciągle, czekał po parę godzin na swoją kolej przed jakim biurem, które się później pokazało nie tem właśnie, do którego potrzebował się dostać — aż nareszcie pewnego wieczora, zmęczony, zziębnięty, wrócił do domu z pozwoleniem naczelnego wodza w kieszeni...

Nazajutrz oboje wcześniej podnieśli się z łóżek, jeszcze przy świetle lampy. Stary zakąsił coś dla rozgrzania się; zimne bowiem bywają poranki w Paryżu w listopadzie, matka jednak nic jeść nie chciała. Syciła się naprzód myślą śniadania ze synem, tam przy forcie. I z tą też myślą, żeby uraczyć biednego żołnierza, zabrała w ów wielki worek krzyżową robotą, z ogromnym na wierzchu bukietem w jaskrawych kolorach, wszystkie zapasy, jakie tylko mieć mogła w czasie oblężenia, więc czekoladę, konfitury, wino bordoskie, wszystko, wszystko, aż do puszek konserw, puszek za osiem franków, którą dotąd przechowywali starannie na najcięższe dni głodu.

Tak uprowadzeni puścili się w drogę.

Gdy przybyli do wałów, właśnie otwierano bramy. Trzeba było okazać pozwolenie. Biedna staruszka drżała ze strachu... Ale nie! Wszystko widać było w porządku.

— Przepuścić! — zawołał oficer służbowy.

Wtedy dopiero odetchnęła swobodniej.

— Jaki on grzeczny, ten oficer — rzekła, zwracając się do męża.

I drobnym kroczkiem, jak kuropatwa, pośpieszyła naprzód prędko, prędko, tak, że stary z trudnością podążał za nią.

— Jakże ty śpieszysz, kochanko!

Ale ona go nie słuchała. Tam na górze na mgle porannej Mont Valérien ciągnął ją ku sobie i zdawało jej się, że ją wołał:

„Przybywajcie prędzej... on tu jest!”

A teraz, kiedy już przyszli, nowa troska.

— A jeżeli go nie znajdą! Jeżeli nie będzie mógł przyjść!

Wtem, gdy tak sobie odbudowywała w myśli ten dramat, spostrzegłem, że zadrżała, porwała się z miejsca i uderzyła męża po ramieniu... Zdaleka, pod sklepieniem, rozpoznała odgłos jego kroków.

Nadchodził.

Gdy się ukazał, dla niej, biednej, cała fasada fortu jakby wielkim blaskiem zajaśniała.

Był to rzeczywiście przystojny chłopiec; dobrze zbudowany, na plecach miał tornister, w ręku karabin... Przystąpił do nich, i powitał ich spojrzeniem wesołym, głosem męskim i rozradowanym:

— Dzień dobry, matko!

I w jednej chwili żołnierz, tornister i karabin zniknęli pod wielkim kapeluszem w kształcie kabryoletu. Potem przyszła kolej na starego, ale to krótko trwało. Wielki kapelusz okazał się egoistą, wszystkiego mu było za mało, był nienasycony!

— Jakże mi się masz?!... Nie zimno ci?! Jakże tam z bielizną!?

I pod zmiętymi falbanami marszczonemi kapelusza czułem to długie, przeciągłe spojrzenie miłosne, którym go obejmowała całego, i które zastąpić miało deszcz pocałunków, lez, pieścizot... całą zaległość trzymiesięczną czułości macierzyńskiej wyplacała mu tem spojrzeniem. Ojciec był również mocno wzruszony, ale nie chciał tego okazać. Czuł dobrze, że my na nich patrzymy, i mrugał ku nam oczyma, jakby chciał powiedzieć:

— Wybaczcie jej, panowie... wszak to kobieta.

Dziwna prośba! któżby matce nie wybaczył miłości do syna!?

Nagle sygnał jakiś trębacza zdmuchnął niespodzianie całą tę radość olbrzymią.

— Trąbią na apel — rzekł chłopak. — Muszę już odejść!

— Jakto! nie zjesz z nami śniadania?

— Nie, mammo! nie mogę!... Dziś mój dyżur, na całe dwadzieścia cztery godziny, tam, u samego wierzchu fortu!

— O! — wykrzyknęła biedna kobieta, i nie mogła wymówić ani słowa więcej.

Zostali tak chwilę wszystko troje, patrząc na siebie, jakby skamienieli. Potem ojciec:

— Weź-że przynajmniej ze sobą puszkę — zawołał głosem zrozpaczonym, z wyrazem jednocześnie wzruszającym i komicznym poświęconego łakomstwa.

Ale, jak na nieszczęście, w zamieszaniu i wzruszeniu przy pożegnaniach, przekłeta puszka gdzieś się zapodziała, i litość brała patrzeć na te drżące febrycznie ze wzruszenia i ze starości, ręce, które wszystkiego dookoła dotykały, szukając puszeki, słyszeć te głosy, łzami przerywane, wołające:

— Gdzież jest puszka!? gdzie puszka?! — nie wstydząc się do tak wielkiej boleści dołączać taki drobny szczegół gastronomiczny.

Po znalezieniu puszeki nastąpiło ostatnie, długie pożegnanie: syn śpiesznie wrócił do fortu.

Pomyślcie teraz, że ci biedni ludzie przyszli z bardzo daleka na to śniadanie, że miało ono być dla nich wielkiem świętem, wielką uroczystością, że myśląc o o niem, stara matka noc całą nie spała, i powiedzcie mi, co może być bardziej żalosego, jak nieudanie się takiego zamysłu, jak takie gwałtowne zamknięcie na chwilkę otwartych drzwi raju.

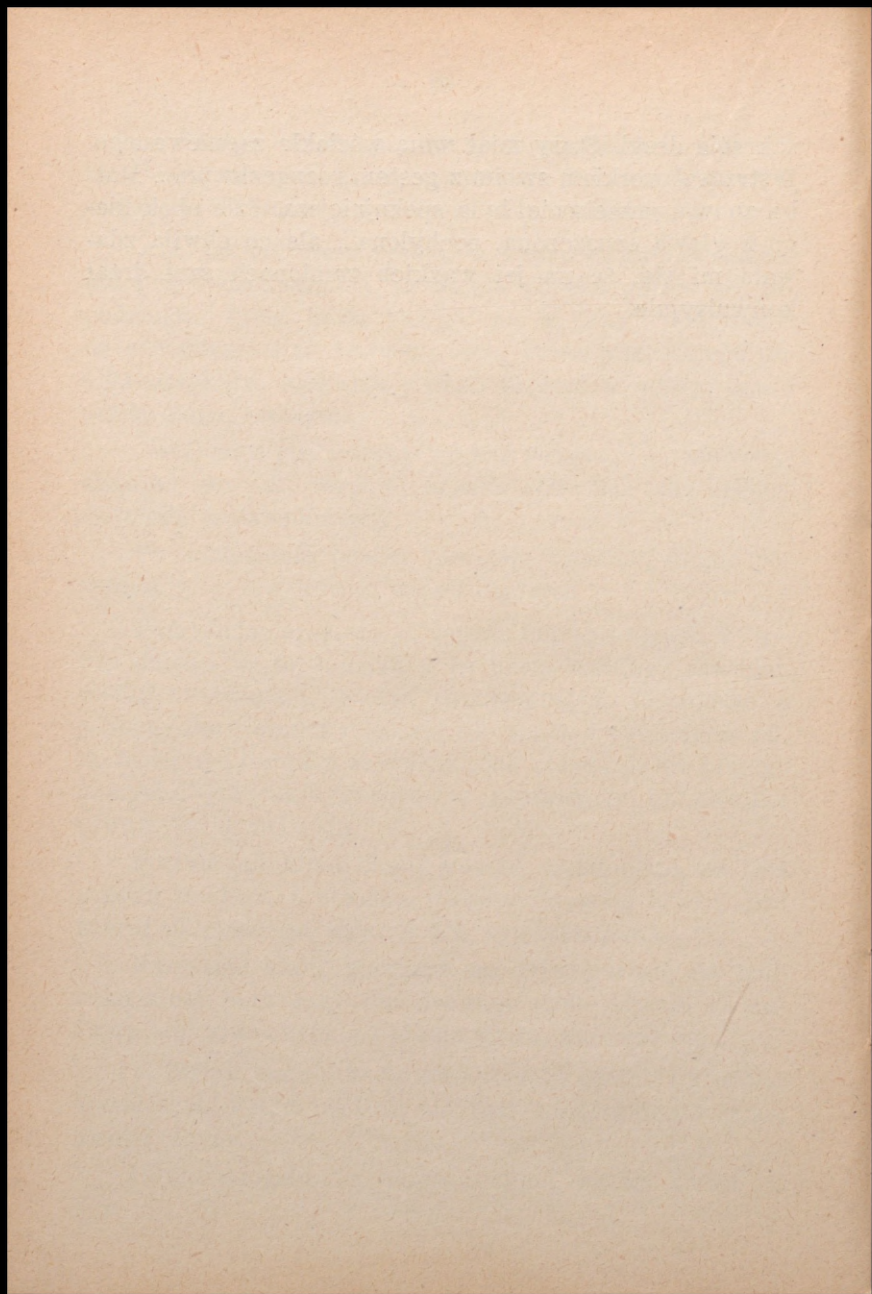
Postali tak kilka chwil jeszcze, nieruchomi, na tem samem miejscu, z oczyma wlepionemi w tę bramę, pod której sklepieniem zniknął ich syn ukochany.

Nareszcie stary poruszył się, odwrócił się na bok, odkasznął parę razy dla dodania sobie odwagi i, starając się powstrzymać drżenie głosu, odezwał się:

— Dalej, matko, w drogę — rzekł głośno i z udaną wesołością. Potem uklonił się nam nisko i podał ramię swojej żonie.

Długo wiodłem za niemi oczyma, aż mi znikli na

zakręcie drogi. Stary miał minę wściekle zagniewanego. Wstrząsał workiem swoim z gestem rozpaczliwym... Matka znowu, przeciwnie, była spokojniejsza. Szła obok niego z głową spuszczoną, pochyloną... ale co chwila zdawało mi się, że na jej wązkich ramionach szal drżał konwulsyjnie.



Salvette i Bernadou.

Science & Technology



Wyjście rozbitej armii francuskiej do Szwajcaryi (w lutym 1871 r.).

I.

Było to w wigilię Bożego Narodzenia, w jednym z większych miast Bawaryi. Po ulicach białych od śniegu, w gęstej mgle, pośród odgłosu toczących się po bruku powozów i dźwięku rozbijanych dzwonów, tłum narodu ciśnie się wesoło do sklepów ciastkarzy, handlarzy pieczonego drobiu i magazynów zabawek dziecinnych.

Gałązki niewielkie zielonego ostrokrzewu i ogromne choiny, przystrojone złożonymi orzechami, cukierkami, przebiegają we wszystkie strony, przenoszone ponad głowami przechodniów, potrącając o szyldy sklepów i wystawy, ubrane kwiatami i wstążkami. Dziecinne te zabawki wyglądają jakby cień lasów w Turyngii, jakby wspomnienie natury pośród sztucznego życia zimowego.

Dzień ma się ku schyłkowi. Tam, poza ogrodami zamku, przedzierają się jeszcze przez mgłę promienie zachodzącego słońca. Zamek cały czerwony od nich stoi,

jak w ogniu, a w mieście tyle jest wesołości, tyle przygotowań do święta, że każde światło, które się zapala poza szymbami, zdaje się wisieć u choinki.

Bo też to jutro nie zwyczajne Boże Narodzenie!

Dziś... żyjemy w roku pańskim tysiąc osiemset siedemdziesiątym, i święto Narodzenia Bożego jest tylko pretekstem do uczt i toastów na cześć sławnego von der Thana i walecznej armii bawarskiej.

Święto! kolęda! Nawet Żydzi, zamieszkujący niższą część miasta, są rozradowani i weseli. Oto tam na rogu ulicy, gdzie szynk „pod niebieskiem winogronem“, stary Augustus Cahn biegnie gdzieś pośpiesznie. Nigdy jego lisie oczy nie błyszczały tak świetnie, jak dzisiaj, nigdy jego broda, krzaczysto rozwinięta, nie trzęsała się tak wesoło. Na ręku, tam, gdzie rękaw zniszczony najbardziej od sznurów sakiew z pieniędzmi, dziś oparty jest pałak uczciwego małego koszyczka, napelnionego po brzegi i przykrytego białą serwetką, z pod której wylęga tylko szyjka butelki i gałązka bukszpanu.

Co, u licha, stary lichwiarz myśli z tem zrobić? Czy i on obchodzi święto Bożego Narodzenia? Czyżby i on sprosił rodzinę i przyjaciół dla uczczenia święta narodowego?... Ale nie! wszyscy wiedzą dobrze, że stary Cahn nie należy do żadnej narodowości i nie zna ojczyzny. Jego Vaterland to kasa ogniotrwała. Augustus Cahn nie ma ani rodziny, ani przyjaciół; on ma tylko dłużników. Jego synowie, a raczej jego współnicy, przed trzema miesiącami wyszli za armią. Kręcą się tam oni poza furgonami landwery i spekulują, sprzedają wódkę, kupują zegary i zegarki, a po bitwie, wieczorem, wychodzą na pole rannymi i zabitymi pokryte, rewidują i ra-

bują ich kieszenie i tornistry i zbierają worki, spadłe z koni u rowów drogi. A kto jest ten trup — nie pytają! Za stary już, żeby iść razem z synami, ojciec Augustus Cahn pozostał w Bawaryi i robi znakomite interesy na jeńcach francuskich. Ciągłe go można widzieć około ich namiotów; on to odkupuje od nich zegarki, akselbanty, szlify, medale, bony na pieniądze do odebrania na poczcie, on wciska się do szpitali i ambulansów, i on to zbliża się do łoża rannego i zadaje mu cichym szeptem pytanie, w złamanym i prawie niezrozumiałym języku:

— A fez-fous guelgue jösse à fentre? (Możepan ma co do sprzedania?)

I patrzcie! w tej chwili, gdyśmy go widzieli na rogu ulicy z koszykiem na rękę, on śpieszył tak dlatego, że bramy szpitala wojennego zamykają się o piątej godzinie i dwu Francuzów oczekuje na niego w tym wielkim czarnym budynku, o oknach wązkich i zakratowanych, gdzie wigilii Bożego Narodzenia przyświecają jedynie lampki, bladym światłem migocące u wezglawia rannych i umierających...

II.

Ci dwaj Francuzi nazywają się Salvette i Bernadou. Są to dwaj strzelcy piesi, dwaj Prowansalczycy, obadwaj z jednej wsi, a następnie z jednego batalionu, ranieni obaj odłamkami jednej bomby. Ta tylko zachodziła między nimi różnica, że Salvette, silniejszej budowy i silniejszego zdrowia, łatwiej przyszedł do siebie; zaczyna już wstawać i może zrobić kilka kroków od swego łożka szpitalnego do okna. Bernadou zaś przeciwnie, słabszy, nie chce jakoś wyzdrowieć. Między zblakłemi firankami,

wiszącemi już pewno oddawna nad łóżkiem w szpitalu, twarz już blada wydaje się jeszcze szczuplejszą i każdego dnia bardziej wynędzniała, niż wczoraj; a kiedy zacznie mówić o swojej rodzinnej wiosce, o powrocie, to mówi o tem z tym uśmiechem, jak się często uśmiechają chorzy, tym uśmiechem, w którym widać więcej rezygnacyi, niż nadziei.

Dziś jednakże biedak ożywił się trochę, myśląc o tem pięknem święcie Bożego Narodzenia, które tam na południu Francyi, w pięknych wioskach Prowancyi, obchodzone bywa z taką uroczystością, że wydaje się wielkim wybuchem radości pośród smutnej zimy; ożywił się, przypominając sobie wyjście z kościoła po pasterce, która się tam odbywa o północy, przypominając sobie sam kościół przystrojony i tysiącami świateł błyszczący, ulice wioski ciemne, napełnione ludźmi, a potem długi wieczór, spędzony zwykle około stołu, na którym trzy tradycyjne palą się świeczniki, kolendy, wieczerzę psotną, ślimaki i śliczną ceremonię palącej się główki, zwanej miejscowym językiem *cacho-fio*, którą głowa rodziny obnosi około domu i polewa winem.

— Ach! kochany Salvette, mój dobry towarzysz, co za smutne Boże Narodzenie spędzić nam przyjdzie w tym roku!... Gdyby chociaż było za co wyprawić sobie ucztę, któraby nam naszą domową przypomniała, za co kupić wina białego... i orzechów trochę, albo naszych kasztanów pieczonych! Toby mi prawdziwą przyjemność zrobiło, tak, żeby, nim przyjdzie sprezentować broń przed śmiercią, raz jeszcze obchodzić tę uroczystość razem z tobą!

Gdy tak mówi o winie białem i kasztanach i o *cacho-fio*, oczy biednemu choremu ogniem jakimś zabłyśły.

Ale jakby tu zrobić? Nie im już nie zostało, biedacy nie mają już nic, ani pieniędzy, ani zegarków. Wprawdzie Salvette ma zaszytą w podszewce munduru asygnacyę na pocztę na czterdzieści franków, ale to jest przeznaczone na dzień ten, kiedy będą wolni, i na ucztę w pierwszej karczmie, jaką spotkają znowu na ziemi francuskiej. To święte pieniądze. Nie można ich ruszyć... Jednakże znowu, ten poczciwy Bernadou jest taki chory! Kto wie, czy kiedykolwiek wróci on do swej ojczyzny? A ponieważ dziś jest oto takie piękne i wielkie święto, i ponieważ to przynajmniej na pewno mogą jeszcze we dwu razem obchodzić, czy nie lepiejby więc korzystać z czasu?

Tak wyrozumowawszy, nie mówiąc nic swemu towarzyszowi, Salvette rozpruł swoją kamizelkę i wyjął z pod podszewki kwit pocztowy, a gdy stary Cahn przyszedł, jak zwykle rano przychodził, obejść sale szpitalne, po długich debatach i cichych szeptach, wcisnął mu w rękę ten świstek papieru żółtkły i zgnieciony, przejęty zapachem prochu i krwią z ran poplamiony.

Od tej chwili poczciwy Salvette tajemniczą przybrał minę. Zaciera ręce i uśmiecha się, spoglądając z pod oka na biednego Bernadou. I teraz właśnie, kiedy dzień się ma ku schyłkowi, niespokojny jakiś zbliża się często do okna, przykładając czoło do szyby; aż oto we mgle na pustym placu dojrzał starego Augustusa Cahna, zadyszanego, zdążającego śpiesznym krokiem ku szpitalowi z koszyczkiem na rękę.

III.

Ta północ uroczysta, którą wydzwanianą na wszystkich dzwonach całego miasta, ponuro jakoś dźwięczy w korytarzach szpitalnych i u wezłowi czuwających

chorych. Sałę szpitalną cisza zalega, przyćmiona lampka nocna, u sufitu wisząca, słabe bylko rzuca światło. Na łóżkach widać się wielkie cienie ludzkie; mury nagie, a pośród tego wszystkiego rozlegają się odgłosy wahadła zegarowego, jakgdyby w ten jeden odgłos skupiały się wszystkie ciężkie oddechy chorych, na łóżkach tych bojących. Od czasu do czasu odzywa się z pomiędzy nich to głos niezrozumiały mówiącego przez sen, to jęk znowu ciężej chorego, którego zmora jakaś dusi, a z ulicy tymczasem do okien dobiega szmer jakiś niewyraźny, odgłos kroków, głosy jakieś, rozlegające się w ciszy nocnej po placu, jakby pod stropem akustycznej nawy kościoła. Czuć w tem wszystkim pośpiech tych, którzy pragną wznieść ducha ku niebu; czuć tajemnicę religijnego święta, przerywającą godzinę snu, i w ciemnym mieście, w cieniach nocy, zapalającą nikłe światła latarek i jarzące się światłem wielkie kolorowe szyby kościołów.

— Czy ty śpisz, Bernadou?...

I po cichutku, na małym stolyczku przy łóżku swego przyjaciela, Salvette postawił butelkę Lunelu, chleb okrągły, piękny chleb karbowany, jaki pieką zwykle na Boże Narodzenie, w którym wpięta gałązka bukszpanu stała prosto, jak kwiat w doniczce.

Ranny otwiera oczy gorączką zmęczone. Przy migającym świetle lampki nocnej i pod srebrnym odbłyskiem księżyca, odbijającego się w śniegu, pokrywającym dachy domów sąsiednich, ta zaimprovizowana uczta wigilijna wydała mu się czemś fantastycznym.

— No, rozbudź się, kolego!... Nie będzie powiedziane, że dwu Prowansalczyków ominęło dzień tak uroczysty! Nie może być, żebyśmy się w takie święto szklanami nie trącili!

I Salvette ze starannością i troskliwością jakby ma-

cierzyńską. podniósł go, posadził, poduszkami obstawił, nalał wina do szklanki, chleb złamał i pija, trącąc się szklankami, i rozmawiają o Prowancyi, o rodzinnym kraju...

Powoli Bernadou ożywia się, rozczula... wino białe, wspomnienia... Z dziecinnością, jaką chorzy odnajdują pośród swego osłabienia, prosi on swego towarzysza, żeby mu zaśpiewał jaką pieśń pobożną, jaką kolendę, z tych, które śpiewają w Prowancyi. Salvette długo się prosić nie daje i pyta:

— No, dobrze, powiedz tylko, którą wolisz, którąbyś chciał usłyszeć: czy „Zagrzmiało“, czy „Trzej królowie“, czy jaką inną?

— Nie! ja najlepiej lubię tę pieśń, co to „Pasterze...“ już wiesz. Tę, którąśmy zawsze w domu śpiewali.

— No, niech będzie, poczekaj!

I półgłosem, z głową wsuniętą między firanki łóżka, Salvette począł nucić. Wtem przy ostatniej zwrotce, kiedy pasterze, którzy przyszli odwiedzić nowonarodzone dziecko w jego żłobku, złożyli dary swoje, świeże jaja i twaróg świeży, i kiedy, żegnając ich z przyjemnym uśmiechem:

Rzekł do nich Józef: „W rozsądku i wierze
Wróćcie—niech podróż szczęśliwą się stanie.

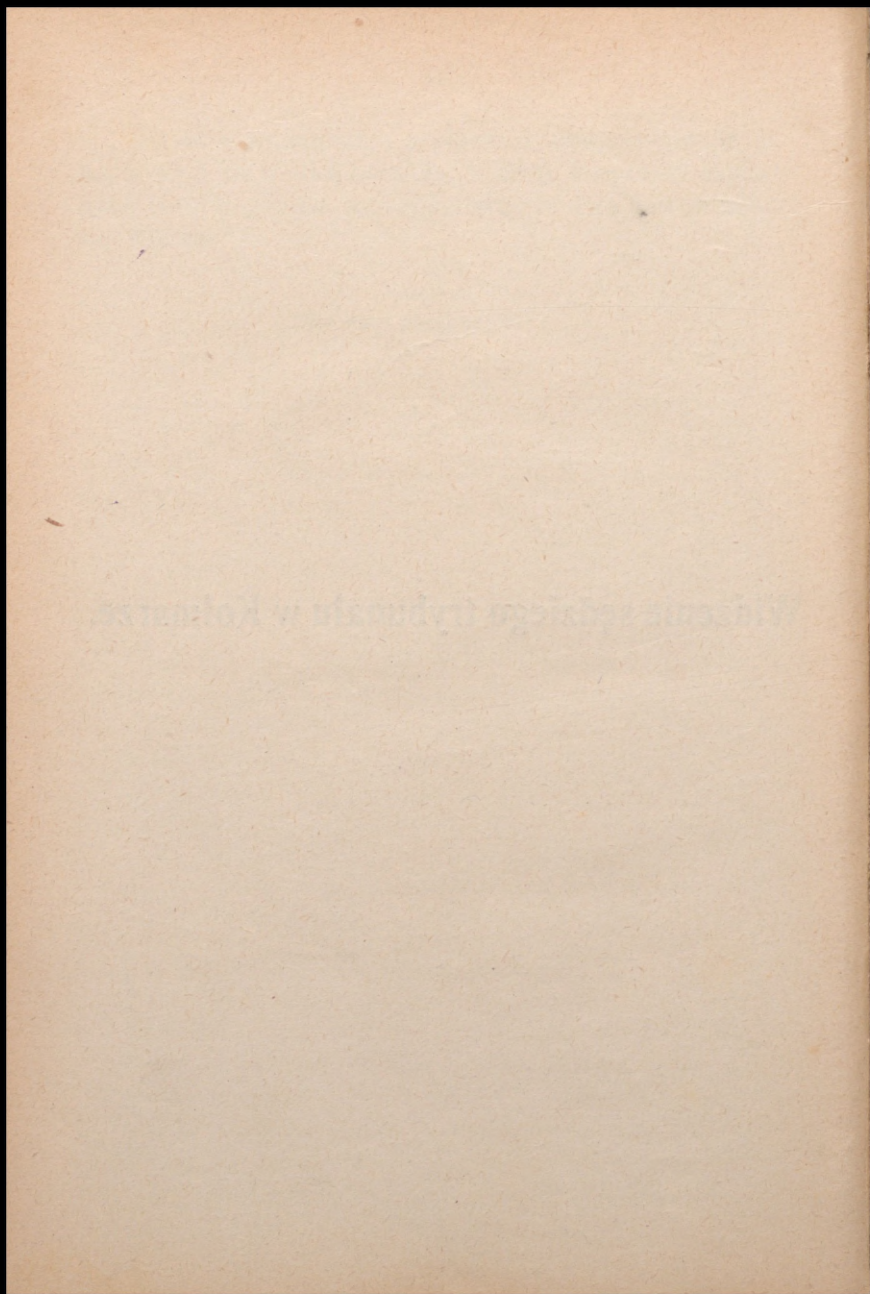
Pasterze,
Ślę wam pożegnanie!“

biedny Bernadou osunął się jakoś i upadł ciężko na poduszki. Jego towarzyszu, myśląc, że on zasnął, woła go po imieniu, trąca, ale raniony pozostaje bez ruchu, i gałązka bukszpanu, która leży na sztywnym prześcieradle, już się wydaje palmą zieloną, którą kładą zwykle u wezgłowi umarłych, razem z zapaloną gromnicą.

Salvette zrozumiał, i z płaczem, upojony trochę samą ucztą i tą wielką boleścią, w ciszy korytarzy szpitalnych pełnym głosem zaczął śpiewać te dwa powtarzające się wiersze:

Pasterze,
Śię wam pożegnanie!“

Widzenie sędziego trybunału w Kolmarze.





Bohater z Bougivalu.

Nim złożył przysięgę cesarzowi Wilhelmowi, malutki Dollinger, sędzia trybunału w Kolmarze, był najszcześliwszym z ludzi pod słońcem. Trzeba go było widzieć, jak wchodził na audyencyę w berecie na bakier, z dużym brzuchem, karminowemi ustami i trzema podbródkami, jeden na drugim, wspartymi na muślinowym, sztywnym kołnierzyku.

— Ach! jakże sobie drzemną przepysznie! — zdawał się mówić sam do siebie, siadając, i doprawdy przyjemnie było patrzeć, jak, wyciągnawszy tłuste swoje nóżki, wcisnął się w swój ogromny fotel z poduszką czyli „kółkiem skórzanem“, miękkim i elastycznym, któremu winien był swój zawsze równy i wesóły humor i cerę świeżą, mimo trzydziestu lat zasiadania w trybunale.

Nieszczęśliwy Dollinger!

To właśnie „kółko skórzane“ go zgubiło. Tak mu było dobrze siedzieć na niem, miejsce jego było tak do-

brze odgniezione na tej poduszeczce safianowej, że wolał zostać... Prusakiem, niż miejsce to opuścić.

Cesarz Wilhelm powiedział mu:

— Zostań pan nadal sędzią trybunału, panie Dollinger!—i Dollinger został sędzią trybunału, a dziś jest asesorem sądu apelacyjnego w Kolmarze i wydaje wyroki w imieniu cesarza Wilhelma.

Dokoła niego nic się nie zmieniło; zawsze ta sama sala posiedzeń sądowych, jednostajna i zniszczona, ten sam przedsiónek sądowy ze świecącymi ławkami, golemi ścianami, wrzawą adwokatów, to samo półświatło, wpadające przez wysokie okna o roletach z grubego płótna, ten sam krzyż wielki, a na nim Chrystus z kości słoniowej, zakurzony, z głową pochyloną i wyciągniętymi ramionami.

Przechodząc pod pruskie panowanie, wysoka magistratura Kolmaru nie popełniła megalomanii: jak była, tak jest cesarską, i biust cesarza stoi, jak stał, na najwidoczniejszym miejscu. Mimo to wszystko jednak sędzia Dollinger nie czuje się swobodnym; czegoś mu nie dostaje, sam nie wie, czego mu brak. Nic nie pomaga wygodne wciskanie się w fotel, na nie kółko safianowe—dawne drzemki rozkoszne uciekły bezpowrotnie, a jeżeli teraz zdarza się czasami, że sędzia Dollinger zaśnie na posiedzeniu, to mu wtedy straszne przed oczy stają widziadła.

Śni mu się, że siedzi na wysokiej górze, takiej, jak np. Honec, albo jaki inny z wysokich szczytów wogeskich, przerzynających Alzacyę... Co on tam robi sam jeden w todzie sędziowskiej, siedząc na swoim wielkim fotelu na tej wysokości, gdzie już rosną tylko skarłowaciałe drzewa i gdzie brzęczą roje małych muszek?

Dollinger sam nie wie. On czeka, drżący, zimnym potem oblany... zmora go dusi!

Wtem słońce wschodzi z drugiej strony Renu, słońce czerwone, jak kula, z poza sosen Czarnego Lasu, i w miarę jak słońce to wznosi się ku górze, tam, na dole, w dolinach Tannu i Münsteru, z jednego końca Alzacyi aż do drugiego, słychać jakiś chaotyczny wrzask, odgłos kroków, furgonów w marszu wojennym, i wielki ten hałas wzmagają się ciągle i zbliża się coraz bardziej— a Dollingerowi serce się ściska.

Niedługo na długiej i krętej drodze, pnącej się po stropie góry, sędzia z Kolmaru widzi zbliżający się ku niemu kondukt żalobny, długi, nieskończony... Zdaje mu się, że cała ludność Alzacyi naznaczyła sobie schadzki w tem przejściu Wogezów i że stąd rozpoczyna się uroczyste emigracya.

Naprzód ciągną długie i ciężkie wozy, zaprzężone w cztery woły, te długie wozy drabiniaste, które w czasie żniw spotkać można zbożem naladowane i przeladowane, a które teraz ciągną, pełne mebli, narzędzi rolniczych, rzemieślniczych i różnego dobytku. Widać na nich wielkie łóżka, wysokie szafy, kanapy, krzesła, fotele perkalikiem kryte, siekiery, kołowrotki, dziecinne krzeselka, fotele dziadków, stare relikwie nagromadzone, wyciągnięte ze swoich odwiecznych kątów i rozpraszające na cztery wiatry świętą powłokę kurzu domowego ogniska. Całe domy jadą w tych wozach.

To też wozy z jękiem postępują naprzód, woły ciągną je z trudem, jakgdyby droga czepiała się kół, jakgdyby grudki ziemi, przyschłe do pługów, bron, łopat i motyk, czyniące i tak ciężki ładunek jeszcze cięższym, sprawiały, że wyjazd ten mógł się wydawać wyrwaniem z korzeniami.

Za wozami ciśnie się w cichości tłum narodu, bez różnicy stanu i wieku. Od staruszków w trójgraniastych kapeluszach, którzy drżą i ze starości opierają się na kijach, aż do małych o jasnych kędzierzawych włosach chłopczyków, których cały ubiór stanowią spodeńki płócienne i jedna szelka; od prababek sparaliżowanych, niesionych przez wnuków dumnych dźwiganym ciężarem, aż do niemowląt, które matki do piersi cisną, wszyscy: silni i słabi, ci, którzy w przyszłym roku pójdą do wojska, i ci, którzy w roku przeszłym przebyli straszną wojnę, kirasyerzy bez nóg, wlokący się na kulach, artylerzyści wybledli, wynędzniali, na których podartych mundurach znać jeszcze pleśń kazamat Spandawy—wszystko to z dumnie podniesionemi głowami ciągnie drogą około góry, gdzie siedzi sędzia z Kolmaru, i, przechodząc koło niego, każdy odwraca twarz z wyrazem gniewu i wzgardy.

O! nieszczęśliwy Dollinger! Onby chciał schować się, uciec, ale niepodobna. Fotel jego jest jakby inkrustowany w skale, kółko safianowe inkrustowane w fotelu, a on w kółku safianowem!

Wtedy rozumie pan sędzia z Kolmaru, że jest on tu jak pod pręgierzem, i że pręgierz ten postawiony został tak wysoko dlatego, żeby hańba jego dalej była widzialna.

A tu tymczasem ludzie ciągną i ciągną, jedni za drugimi, wieś za wsią, ci z nad granicy szwajcarskiej, pędząc przed sobą niezliczone stada, i ci z nad Sarry, popychając węglarki ładowne narzędziami górniczemi. Dalej idą miasta, cały naród rzemieślniczy, przedzarze, tkacze, garbarze; dalej mieszczenie, księża, rabini, nauczyciele, urzędnicy, sądy, togi adwokackie czarne, sędziowskie czerwone. Wreszcie nadchodzi cały skład są-

downictwa z Kolmaru ze starym prezesem na czele. A Dollinger na ich widok, ze wstydu bez czucia już prawie, chce zasłonić sobie twarz rękoma, ale ręce również nieposłuszne, nie pozwalają na to.

Musi patrzeć, i muszą go widzieć—i żadne ze spojrzeń wzgardliwych, które mu rzucają jego koledzy, nie może ujść jego uwagi.

Ten sędzia pod przegierzem — to straszne i okropne! Ale jeszcze straszniejsze jest to, że w tłumie tym widzi wszystkich swoich i żadne z nich nie zdaje się go poznawać. Żona, dzieci przechodzą koło niego z głowami popuszczanymi. Zdawałoby się, że i oni się go wstydzą. Najmłodszy nawet z jego synów, mały Michałek, którego on tak kocha, przechodzi również, nie spojrzawszy nawet na niego. Jeden tylko stary prezes trybunału zatrzymał się chwilę przed nim i szepnął mu po cichu:

— Chodź z nami, panie Dollinger, nie zostawaj tutaj, przez pamięć naszej tak dawnej przyjaźni.

Ale Dollinger nie może powstać ze swego fotelu. Wysila się, woła; kondukt idzie i idzie godzinami całymi, a kiedy oddalili się i zniknęli w zmierzchu dnia, doliny te cudowne, pełne kościelnych wieżyc i kominów fabrycznych, cisza zalega nieskończona. Cała Alzacya odeszła, pozostał tylko sędzia trybunału z Kolmaru, na górze, pod przegierzem, siedzący na swoim fotelu sędziowskim i ze swego miejsca niewywłaszczalny.

...Nagle widzenie się zmienia: gaje drzew cyprysowych, krzyże czarne, szeregi grobów, tłumy w żałobie. To ementarz miasta Kolmaru w dniu jakiegoś wielkiego pogrzebu.

Wszystkie dzwony miasta żałobnie dzwonią. Umarł sędzia Dollinger.

Czego nie mogło dokazać poczucie honoru, tego dokazała śmierć. Odśrubowała ona z „kółka safianowego“ tego niewywłaszczalnego ze swego miejsca urzędnika — i wyciągnęła na marach człowieka, który się uparł nie wstawać ze swego fotelu.

Snić swoją własną śmierć i płakać nad sobą samym — to straszne!

Z sercem wzdętem od żalu Dollinger patrzy na swój własny pogrzeb, a więcej jeszcze, niż śmierć sama, przywodzi go do rozpaczony to, że w tym tłumie niezliczonym, który się ciśnie około jego trumny, nie widać ani jednego przyjaciela, ani jednego członka rodziny. Nikt z Kolmaru, sami tylko Prusacy! Pruscy żołnierze stanowią eskortę i tworzą szpaler, pruscy urzędnicy idą za karawanem, i mowy, wygłoszone nad jego grobem, także są pruskie, i ziemia ta, którą rzucają na trumnę i która mu się tak zimną wydaje, jest także pruską — niestety!

Nagle tłum cały rozstępuje się z uszanowaniem, do grobu zbliża się kirasyer w białym mundurze, chowając pod obszernym swoim płaszczem coś — jakby wielki wieniec nieśmiertelników. Dokoła wszyscy szepcą, pokazując sobie kirasyera:

— Oto Bismarck, patrzcie, Bismarck!

A nieszczęsny sędzia z Kolmaru myśli sobie, smutnie wdychając:

— Wielki to zaszczyt dla mnie, mości księżę... ale... gdyby tu był mój Michalek...

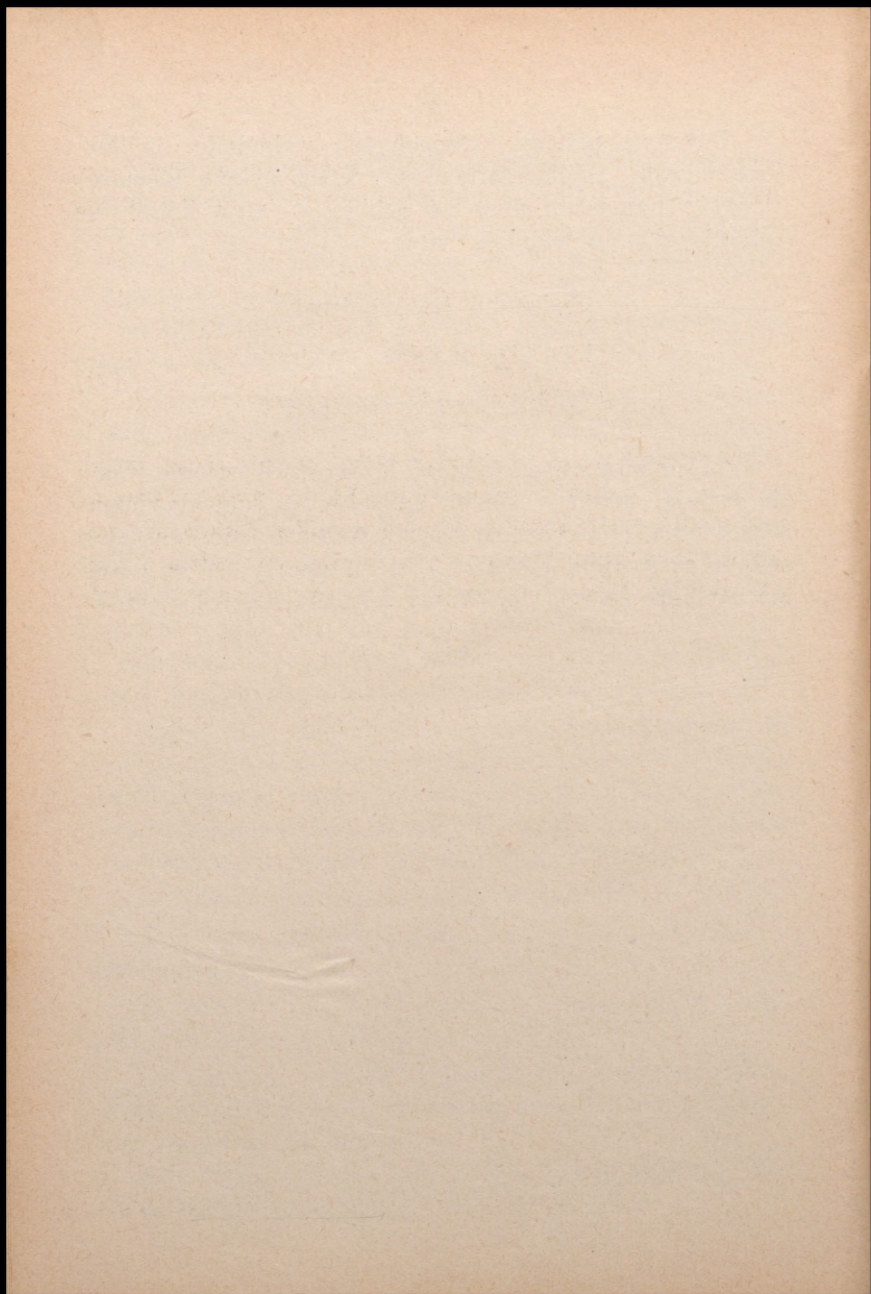
Gwałtowny wybuch śmiechu całego tłumu nie pozwalała mu dokończyć. Śmiech to szalony, skandaliczny, dziki, niepohamowany.

„Z czego oni się tak śmieją?“ zapytuje się sam siebie sędzia przerażony.

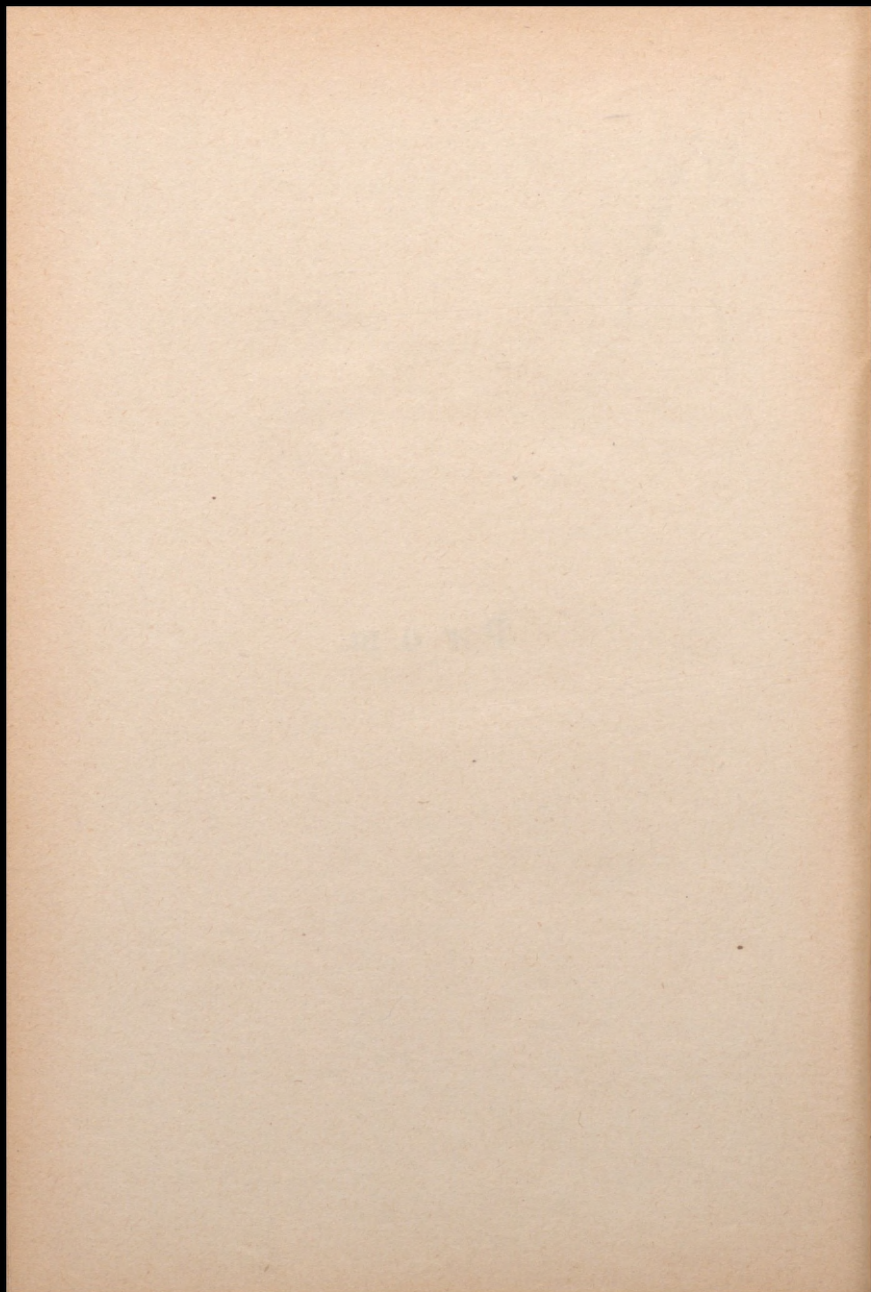
Powstaje, patrzy... Śmiech ten wzbudziło „kółko“ jego własne, „kółko safianowe“, które ksiązę Bismarck złożył z namaszczeniem na grobie — a na kółku, na safianie, dokoła widnieje napis:

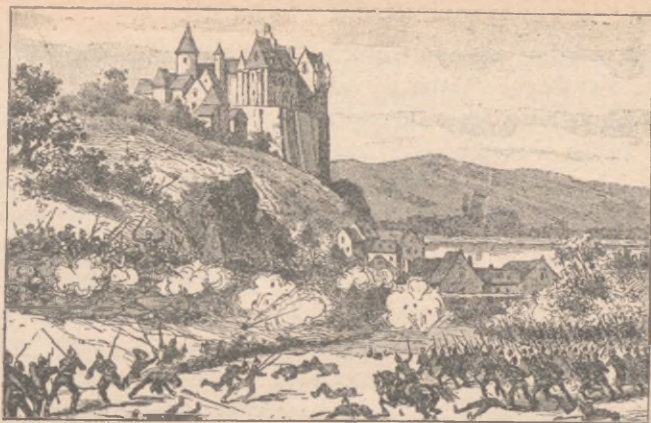
Sędziemu Dollingerowi,
Chlubie Magistratury,
Żal i wspomnienie.

Na cmentarzu, od jednego końca do drugiego, wszyscy śmieją, wszyscy się od śmiechu za boki trzymają, a ta wielka, nieokrzesańska pruska wesolość odbija się, jak echem, aż w głębi grobu, w którym zmarły sędzia z Kolmaru płacze ze wstydu, okryty wieczną śmiesznością.



P r o m.





Obrona Châteaudun 18 października 1870 roku.

Przed wojną był w tem miejscu piękny most wiszący; dwa wysokie filary murowane z kamienia białego i liny smółcowane przecinały horyzont Sekwany. Wszystko to razem miało ten pozór powietrzny, który tak pięknymi czyni balony i okręty. Pod wielkim łukiem środkowym przechodziły dwa razy na dzień statki jeden za drugim całymi łańcuchami w dymie holownika parowego, który nawet nie potrzebował uchylać swych kominów, tak wysoko nad wodą łuk ten się wznosił. Przy brzegach, z jednej strony i z drugiej, łańcuchami przytrzymywane, stały galary, statki praczek i małe statki rybaków, sznurkiem przeciągniętym przez ucho do wbitego w ziemię pala przywiązane.

Wyniosłe topole, dwoma rzędami po dwu stronach drogi wznoszące się wysmukle ku niebu, tworzyły wielką aleję, prowadzącą do mostu między łakami, i wyglądały

jakby wielka zielona kotara, kolyszająca się pod powiewem świeżego wiatru z nad rzeki.

Miejsce to było przesłiczne.

Teraz wszystko się zmieniło. Topole wyniosłe tworzą, jak dawniej, wielką aleję, ale aleja ta do niczego nie prowadzi. Niema już mostu. Obydwa filary, wysadzone w powietrze, rozpadły się w białe kamienie, które też leżą porozrzucane tam, gdzie upadły; mały domek strażnika, napół zniszczony przez wstrząśnienie, ma pozór świeżej, nowopowstałej ruiny, wygląda jakby jaka barykada albo jakby rozpoczęta rozbiórka domu. Liny i druty zanurzone w wodzie, pokład mostu, opadły na piasek, formuje wśród wody jakby wielką jakąś zaporę, na której zatknięta jest czerwona chorągiew dla zwrócenia uwagi marynarzy. I wszystko, co Sekwana z sobą niesie, trawa skoszona, deski zwęglone, zatrzymują się w tem miejscu w nagłym zwrocie wody, tworzącym liczne kręgi i wiry.

Krajobraz jest jakby rozdarty, jest w nim jakaś przerwa, czuć, że tędy przeszła klęska!

Na domiar tego wszystkiego, aleja topolowa, która prowadziła do miasta, przeredziła się i czyni horyzont jeszcze smutniejszym. Wszystkie te piękne topole, niegdyś tak gęsto zielonymi liśćmi pokryte, rozpościerają nad drogą teraz gałęzie brunatne bez liści i pączków, zbiedzone jakieś, wycieńczone, pożarte przez gąsienice; drzewa również, jak kraje, napadom i najazdom swoich nieprzyjaciół podlegają. W całej tej bezużytecznej dzisiaj alei pusto i glucho; tylko wielkie białe motyle ciężkim swym lotem przeryniają powietrze.

Zanim most będzie odbudowany, urządzono tutaj przeprawę przez rzekę na promie. Jest to wielki statek wiosłowy, na który ładują się całe wozy razem z końmi,

woly robocze z pługami i krowy, które jeszcze bardziej, niż zwykle, otwierają swoje wielkie spokojne oczy na widok wiosłami poruszanej wody. Zwierzęta i zaprzęgi stają na środku promu, po bokach zaś piesi przecho-dnie, wieśniacy, dzieci, idące do szkółki do miasta, Paryżanie, przebywający na letnim mieszkaniu. Łby koni ubrane są we wstążki i kwiaty; cały statek zdaje się wieść rozbitków.

Prom ten posuwa się ciężko i powolnie. Przeprowa trwa tak długo, że Sekwana wydaje się o wiele szerszą, niż dawniej, a ponad ruinami mostu zawałonego między dwoma brzegami, prawie obcymi sobie nawzajem, horyzont zdaje się rozszerzać i powiększać smutnie jakoś i uroczyście.

Pewnego ranka przyszedłem nad brzeg bardzo ra-no. Chciałem przeprowić się na drugą stronę wody. Na brzegu nie było jeszcze nikogo. Domek przewoźnika, a raczej stary wagon unieruchomiony w wilgotnym pia-sku, który biednym tym ludziom za domek służył, był jeszcze zamknięty. Wilgotna mgła zrosiła jego ściany zewnątrz; wewnątrz słychać było dzieci kaszlące.

— Ohe! Eugeniuszu! — krzyknąłem.

— Idę, idę! — odezwał się przewoźnik, zbliżając się powoli.

Ten Eugeniusz był to wysoki, przystojny marynarz, jeszcze dosyć młody, ale po ostatniej wojnie, gdzie słu-żył jako artylerzysta, wrócił uniedołączony przez reu-matyzm, z odłamkiem granatu w nodze i twarzą pokrytą szwami.

Zobaczywszy mnie, poczciwy człowieczyna uśmiechnął się i rzekł:

— Nie będzie pewno tłoku dziś rano!

I rzeczywiście byłem sam jeden na promie; ale zanim Eugeniusz odczepił cumę*), nazbierało się trochę osób.

Naprzód przyszła jakaś wieśniaczka, tęga, zdrowa kobieta o jasnych wesołych oczach, idąca na targ do Corbeil, z dwoma wielkimi koszami na rękach, które, równoważąc się z obu stron pełnej figury, zmuszały ją do trzymania się prosto i stawiania pewnych kroków. Za nią z mgły porannej wynurzali się inni podróżni, których przez mgłę widzieliśmy zdaleka na drodze wgłębionej. Głosy ich dochodziły już do nas. Słyszeliśmy więc jakiś głos kobiecey, łagodny, proszący, pełen łez.

— Panie Chachignot, miej pan litość, nie czyni nam pan tak wielkiej krzywdy... przecież pan widzisz, jak on teraz pracuje... Daj mu pan czas... pozwól mu pan zarobić... On zapłaci! Tylko o przedłużenie terminu prosi...

— Dostyc już było czasu, dostyc zwłóczyłem... już dostyc tego — odpowiadał okrutny głos starego, bezzębnego jakiegoś wieśniaka — to już teraz nie moja sprawa, tylko komornika. Niech sobie robi, jak chce... Ohe! Eugeniusz!

— To ten łotr Chachignot — szepnął mi przewoźnik do ucha. — Jestem, jestem!

W tej chwili zobaczyłem przybywającego starca, wysokiego, przybranego w długi surdut z sukna czarzonego i w kapelusz cylindrycznej formy, nowiusieńki,

*) Lina z osobnego rodzaju nici, służąca do przytrzymania statku.

bardzo wysoki. Ten wieśniak, opalony, z twarzą pomarszczoną, którego kościste ręce, pracą około roli zmęczone, dziwne jakieś przybrały kształty, wydawał się jeszcze czarniejszym, jeszcze bardziej opalonym w tym mieszczańskim stroju. Czoło wypukłe — oznaka uporów, nos duży, zakrzywiony, haczykowaty, jakby pochodził z indyjskiego plemienia Atabasów, usta zaciśnięte ze zmarszczkami, które złośliwość wyryła, czyniły fizjonomię jego okrutną, dobrze przystającą do tego nazwiska Chachignot.

— No, Eugeniuszu, dalej w drogę, prędko! — wołał, wskakując do promu, a głos jego drżał od gniewu.

Wieśniaczka z koszami zbliżyła się do niego, gdy Eugeniusz odbijał od brzegu, i zapytała:

— Na kogoż się tam tak gniewacie, ojczy Chachignot?

— A! to wy, Blanche!?... Co wam tam będę gadał!... Wściekły jestem na tego lajdaka Maziliera!

I pięścią wskazywał niknący we mgle cień wątlej jakiejś istoty, wracającej łkając drogą ku wiosce.

— Cóż oni wam zrobili takiego, ci biedni ludziska?

— Co mi zrobili? o! co mi zrobili!? Winni mi za komorne już cztery raty i za wino nie płacą! Złamanego grosza nie mogę od nich odebrać!... To też wybrałem się już i idę właśnie do komornika, niech ich wyrzuci na ulicę!

— Jednakże to pocziwy człowiek ten Mazilier. Pewno on temu nie winien, że zapłacić nie może... Tylu ludzi wszystko straciło w tej strasznej wojnie.

Stary wieśniak wybuchnął gniewem.

— Głupiec jakiś! — zawołał. — Mógł zrobić majątek na Prusakach. Sam nie chciał, jego wina!... Jak tylko weszli, zamknął swoją oberżę i zdjął szyld... Inni oberżyci złote interesa porobili we wojnę, a on za grosz

jeden nie sprzedał... głupiec jakiś! A jeszcze tego nie dosyć. Jak zaczął wygadywać a wygadywać, to go jeszcze do więzienia wsadzili. Głupiec jest... mówię wam! Czy to do niego należało? Co go to obchodziło!? Czy to on żołnierz, czy co!? Jego rzeczą było sprzedawać wino i wódkę tym, coby do karczmy przyszli; mógłby mi teraz zapłacić... Poczekaj, łotrze jeden, nauczę ja cię bawić się w patryotyzm!...

I zaczerwieniony od gniewu i oburzenia stary Chachignot rzucał się i wygrażał pięściami, gestykulując swobodnie, jak zwykle wieśniacy przyzwyczajeni do bluzy, co tem dziwniej odbijało przy czarnym surducie i wysokim kapeluszu.

W miarę jak mówił, jasne oczy Blanche, przed chwilą tak pełne współczucia dla biednego Maziliera, przybrały jakiś wyraz suchy, prawie pogardliwy. I ona też, biedna kobieta ze wsi, jak i inni wieśniacy, nie lubiła słyszeć, że ktoś mógł zarobić, a nie zarobił.

Z początku myślała sobie:

„To prawdziwe nieszczęście dla tej biednej kobiety“.

A w chwilę później, pod wrażeniem słów starego:

„To prawda! nie trzeba szczęścia odpychać od siebie, kiedy samo w garść lezie!“

I wyraziła myśl swoją w odpowiedzi ojcu Chachignot.

— Macie rację, ojcze, kto winien, płacić powinien.

Stary Chachignot ciągle przez ściśnięte wargi pomrukiwał pod nosem:

— Głupiec jakiś! Łotr jeden!

Przewoźnik, który słuchał ich rozmowy spokojnie,

kierując promem, uważał teraz za swój obowiązek także się odezwać.

— Nie sroźcie się tak, nie udawajcie takiego złego, ojcie Chachignot — rzekł — na co wam się zda chodzić do komornika? I cóż wam z tego przyjdzie, jak zlicytujecie tych biedaków, i na bruk ich wyrzucą? Poczekajcie jeszcze trochę, przecież wam nie pilno, możecie!

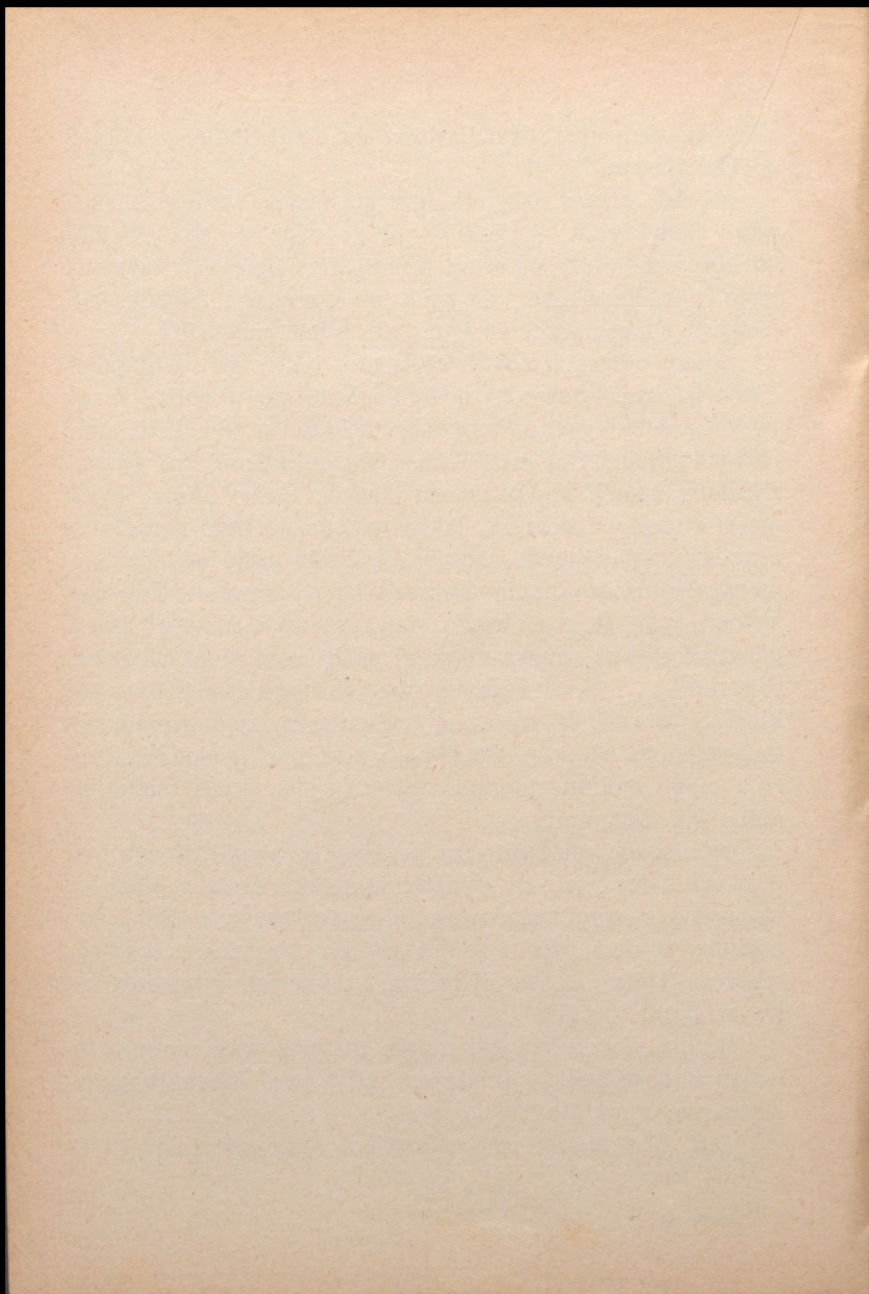
Stary odwrócił się gwałtownie, jakby go co ukąsiło.

— A tobie też nie radzę mieszać się w cudze sprawy! Co tobie gadać, nicponiu! Komu to tu! Taki sam patriota, jak i tamten... Litość bierze patrzeć na was!... Pięcioro dzieci, żona, grosza nie ma przy duszy, i poleciał strzelać z armaty, jakby go kto do tego zmuszał... I niech mi pan powie (zdaje się, że do mnie nędznik się zwracał), proszę pana, co im z tego przyszło? Ten oto zarobił tyle, że mu twarz pokiereszowali i basta! A co przytem stracił: dobre miejsce, na którem nie dosiedział, to stracił!... I teraz mieszka oto, jak cygan, w budzie jakiejś, wystawionej na cztery wiatry, z dziećmi, którym to pewno na zdrowie nie idzie, i z kobieciną biedną, która z biedy bieliznę pierze i zamęczy się... Taki sam głupiec, jak i tamten!

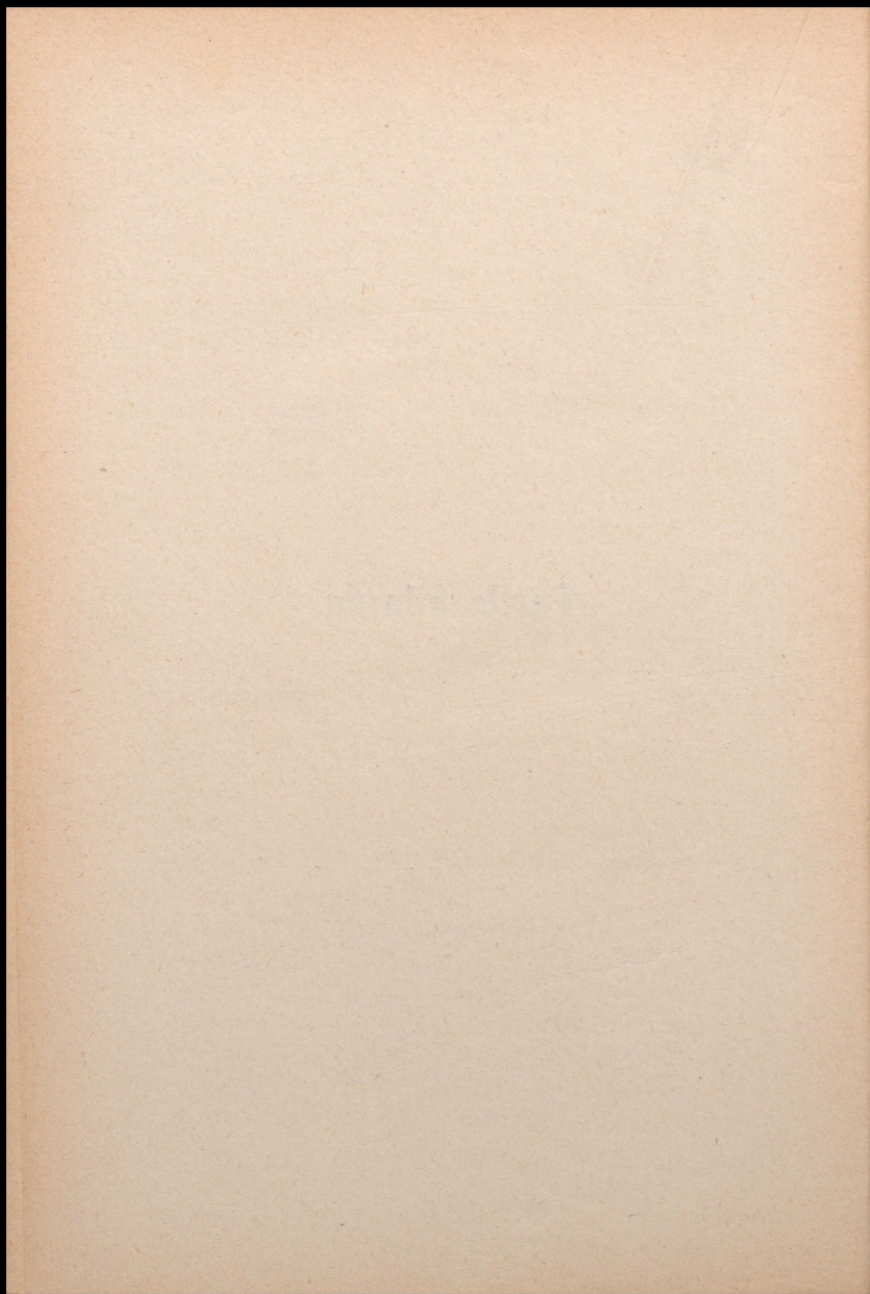
W oczach przewoźnika przebiegła błyskawica gniewu; widziałem, jak na wynędzniałej jego twarzy mocniej się przez chwilę zarysowała blizna głęboka i biała, ale zapanował nad sobą i zdołał się powstrzymać, zemściwszy się tylko na swojej żerdzi, którą wbił w piasek, aż się w pałąk zgięła.

Jedno słówko więcej mogło go przyprawić o utratę i tego jeszcze nędznego miejsca, gdyż pan Chachignot ma znaczenie w okolicy.

Pan Chachignot jest członkiem rady miejskiej.



Partja bilardu.





W Montretout 19 stycznia 1871 roku.

Ponieważ walczono od dwóch dni i żołnierze noc całą przepędzili na deszczu ulewnym z torbą na plecach, byli przeto wyczerpani. A jednakże każą im już trzy śmiertelnie długie godziny moknąć z bronią u nogi w kałużach gościńców, w błocie pól rozmiękłych.

Upadając ze znużenia, po nocach nieprzespanych, w mundurach przemoczonych, cisną się jedni do drugich, chcąc się rozgrzać i podtrzymać. Są tacy między nimi, którzy śpią stojąc oparci o torbę sąsiada, a na twarzach, obwisłych we śnie, widać wyraźnie ślady śmiertelnego zmęczenia i znoszonych niewygód. Deszcz, ślota, brak ognia, brak pożywienia, niebo opuszczone nisko, ciemne, nieprzyjaciel, którego odczuwa się dokoła. Takie to ponure...

Co tam robią? Co się dzieje?

Armaty z paszczami zwróconymi ku lasowi wyglądają, jakby na coś czyhały. Mitralki z zasadzki ba-

dają pilnie widnokrag. Wszystko wydaje się przygotowane do ataku. Dlaczegoż nie atakują? Na co czekają?...

Czekają na rozkazy, a główna kwatera ich nie wysła.

Niezbyt stąd daleko do głównej kwatery. To tam, gdzie ten piękny zamek z czasów Ludwika XIII, którego czerwone cegły, splókanne deszczem, lśnią na pagórku wśród gęstwy drzew. Prawdziwie książęca siedziba, godna nosić u szczytu sztandar marszałka Francyi. Za wielkim rowem z wałem kamiennym, które oddzielają je od drogi, murawy ciągną się aż do podjazdu bez przerwy, zielone, okolone rabatami kwiatów. Z drugiej strony, od budowli wewnętrznej, w strzyżonym szpalerze widać jasne przerwy, stawy, po których pływają łabędzie, błyszczą jak zwierciadła, a pod dachem ogromnej ptaszarni w kształcie pagody, pawie i złote bażanty, wydając ostre krzyki wśród liściastej gęstwiny, biją skrzydłami i rozwijają przepyszne ogony. Jakkolwiek gospodarze dom porzucili, nie czuć tu opuszczenia, zaniedbania powszechnego podczas wojny. Sztandar wodza armii uchronił od uszkodzenia wszystko, do najdrobniejszego kwiatka na klombach, a panujący tu, tak blisko pola bitwy, zbytko wny spokój, ma w sobie coś przejmującego; ten spokój, który wynika z porządku rzeczy, z prawidłowej linii grup drzewnych, z milczącej głębi szpalerów.

Deszcz, który tam, na drogach, gromadzi wstrętne błota i takie głębokie złobi bruzdy, tutaj spada wytworną, arystokratyczną falą, ożywiając czerwień cegły, zieleni murawy, lśniącą warstwą pokrywając liście drzew pomarańczowych, białe pióra łabędzi. Wszystko błyszczy, tonie w spokoju. Prawdziwie, gdyby nie sztandar, powiewający u szczytu dachu, nie dwaj żołnierze, na warcie przed kratą, nie możnaby wcale uwierzyć, że tutaj

znajduje się główna kwatera. Konie odpoczywają w stajniach. Tu i owdzie kręcą się stajenni, ordynansi w mundurach codziennych wałęsają się u drzwi kuchennych, albo ogrodnik w czerwonych spodniach gracuje spokojnie wysypane piaskiem drogi dziedzińca.

W jadalni, której okna wychodzą na podjazd, wi- dać stół nawpół opróżniony, butelki odkorkowane, kie- liszki pełne i puste, które błyszczą na zmiętym obru- sie. Po skończonej uczcie, biesiadnicy odeszli. W po- koju przyległym słychać głosy, śmiechy, szelest toczą- cych się bil bilardowych, trącania się kieliszków. Marszałek kończy właśnie partycę i dlatego to armia czeka na rozkazy. Gdy marszałek zacznie partycę, niebo może runąć na ziemię, nic na świecie nie zdoła go oderwać od bilardu, dopóki gry nie skończy.

Bilard!

To niepokonana słabość tego wielkiego wojaka. Stoi tam poważny, jak podczas bitwy, w pełnym mundurze, z gwiazdami na piersiach, z okiem błyszczącym, za- czerwionionemi białkami, podniecony ucztą, grą i gro- giem. Otaczają go adjutanci, pochyleni w postawie, peł- nej szacunku, wyrażając podziw po każdym uderzeniu. Gdy marszałek robi punkt, wszyscy rzucają się do za- markowania; gdy marszałek poczuje pragnienie, wszy- scy chcą mu przyrządzić grog. Szlify i szamerowania ocierają się o siebie, z cichym szmerem brzęczą krzyże i akselbanty. A patrząc na piękne uśmiechy, na wytwor- ne dworskie ukłony, hafty i eleganckie mundury, w tej sali, wyłożonej boazeryą dębową, otwartej na park i pod- jazdy paradne, człowiekowi zdaje się, że patrzy na jesien- ne uroczystości w Compiègne i zapomina o zabłoconych płaszczach, co tam mokną wzdłuż dróg, tworząc takie ciemne grupy na deszczu.

Partnerem marszałka, jest mały kapitan sztabu, strojny, wymuskany, w białych rękawiczkach, pierwszorzędnym bilardzista, który na tem polu potrafił by pobić wszystkich marszałków na ziemi; ale umie on trzymać się na stanowisku, wskazanem przez szacunek dla szefa, i stara się nie wygrywać, ale i nie przegrywać zbyt łatwo. Jest to, jak nazywają, oficer z przyszłością.

Uwaga, młodzieńcze, trzymajmy się. Marszałek ma piętnaście a pan dziesięć. Jeśli przeprowadzisz partię do końca jak dotąd, zrobisz pan więcej dla swego awansu, niż gdybyś wraz z innymi stał tam na dworcu, wśród potoków wody, zalewających widnokrąg, niszcząc piękny mundur, czerniąc złoto szamerowań, czekając na rozkazy, które nie nadchodzą.

Jest to partya prawdziwie interesująca. Kule biegają, stykają się, mieszają swe kolory. Bandy odpychają je, sukno się rozgrzewa... Nagle płomyk wystrzału armaty przerzyna niebo. Głuchy huk wstrząsa szybami. Wszyscy zadrżeli, spoglądają na siebie z niepokojem. Tylko marszałek nic nie dostrzegł, nic nie słyszał: wsparty o bilard, kombinował właśnie wspaniale następstwa odbicia się kuli; w tych kombinacjach jest mistrzem nieporównanym.

Lecz znów mknie błyskawica, potem druga. Strzały armatnie następują po sobie coraz częściej. Adjutanci biegną do okien. Czyżby Prusacy atakowali?

— Dobrze, niech atakują — rzekł marszałek, uderzając w białą kulę. Na pana kolej, kapitanie.

Sztab zadrzał z podziwu. Turenusz śpiący na ławecie jest niczem wobec tego marszałka, takiego spokojnego przy bilardzie w chwili akcji wojennej... Tymczasem wrzawa się wzmacza. Z hukiem armat mieszają się ostre syki kartaczownic, trzask ognia plutonowego.

Chmura dymu czerwona, okolona czarnym pasem, podsuwa się pod klomby. Cały park w głębi zalany pożogą. Pawie, bażanty, przerażone, podnoszą wrzask w ptaszarni; konie arabskie, czując proch, wspinają się w stajniach. Kwatera główna poczyna się ozywiać. Depesza za depeszą. Sztafety pędzą na złamanie karku. Pytają o marszałka.

Marszałek jest niedostępny. Wspomniałem, że nie mogło mu przeszkodzić do ukończenia partyi.

— Na pana kolej, kapitanie.

Ale kapitan jest roztargniony. Co to znaczy być młodym! Traci głowę, zapomina o grze i robi raz po raz duże karambole, które prawie wygrywają partyę. Tym razem marszałek wpada w wściekłość. Zdumienie, oburzenie malują się na jego mężkiem obliczu. W tej właśnie chwili, koń w galopie wpada na podwórze. Adjutant, okryty błotem, wdziera się przemocą, przeskakuje podjazd jednym susem i woła: „Marszałku! marszałku!“... Trzeba było widzieć, jak został przyjęty... Nie posiadając się z gniewu, czerwony jak kogut, marszałek, z kijem bilardowym w rękę, ukazał się w oknie:

— Cóż to znaczy?... Co to jest?... Czyż tam nie ma szyldwacha?

— Ależ marszałku!...

— Dobrze... Za chwilę... niech czekają na moje rozkazy do diabła!

I zatrzaskuje okno gwałtownie.

Niech czekają na jego rozkazy!

Przecież to właśnie czynią, nieboracy, wiatr ciska im w twarz deszcz i kartacze. Całe bataliony rozbite, gdy inne stoją bezczynnie z bronią na ramieniu, nie mogąc sobie wytłómaczyć tej bezczynności. Niema rady. Czekają rozkazów. Ponieważ jednak umierać można bez

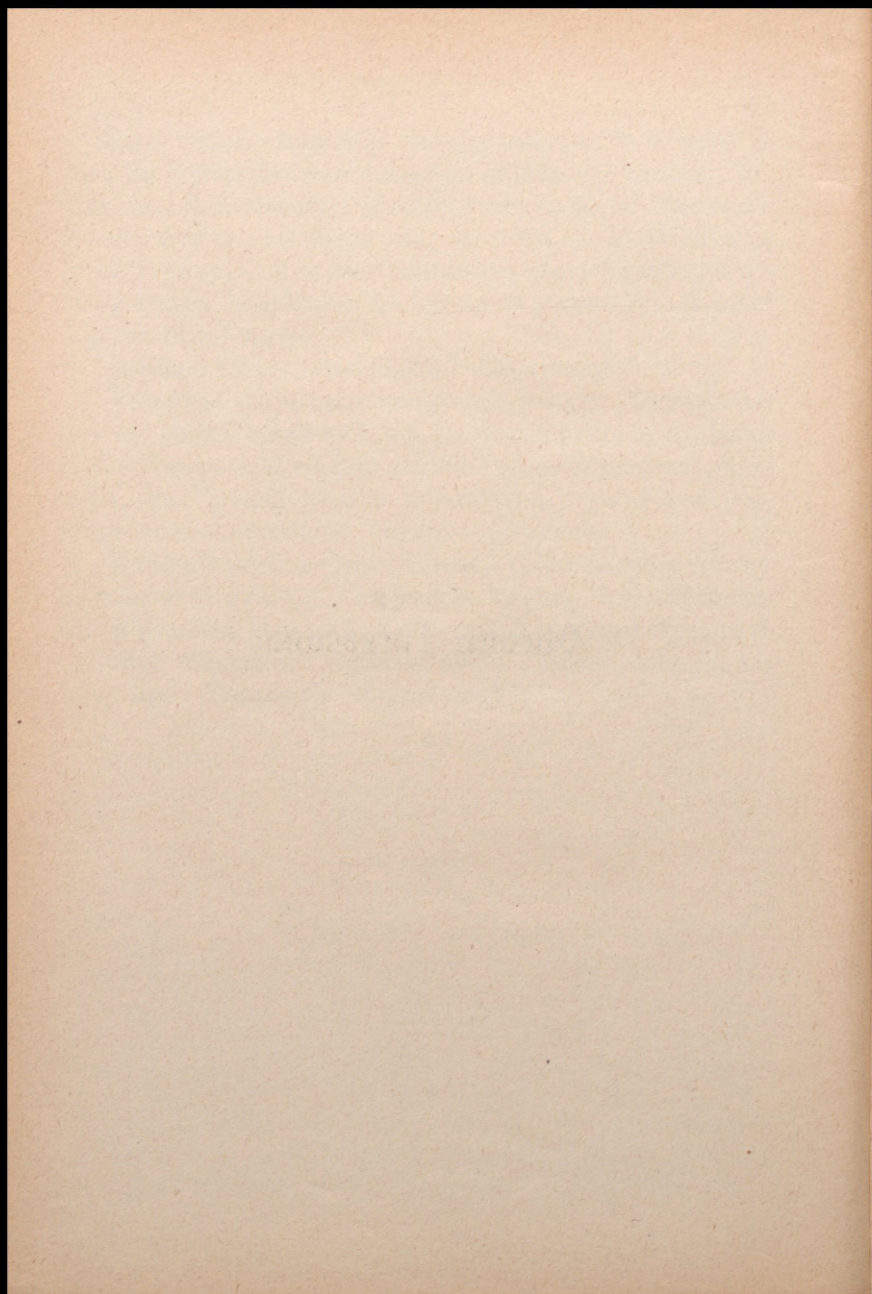
rozkazu, przeto żołnierze padają setkami do rowów za zaroślami, naprzeciwko wielkiego milczącego zamku. Choć już leżą martwi, jeszcze rozrywają ich kartacze, a z otwartych ran sączy się, wycieka cicho szlachetna krew Francyi... A w sali bilardowej atmosfera także coraz gorętsza: marszałek zdobył znów przewagę, ale mały kapitan broni się jak lew...

Siedemnaście! osiemnaście! dziewiętnaście!...

Zaledwie mają czas markować punkty. Wrzawa bitwy się zbliża. Marszałek ma już do zdobycia tylko jeden punkt. Już pociski sięgają parku. Toń zwierciadlana marszczy się: łabędź plynie, wystraszony, pióra ma rozwichrzone, skrwawione. Ostatnie uderzenie...

I zalega wielka cisza. Słyszać tylko padanie kropel deszczu wśród grabiny i zmieszane odgłosy toczących się kół u podnóża pagórka, a na drogach rozmokłych coś nakształt śpiesznego stąpania stada... Armia cofa się na całej linii. Marszałek wygrał partyę.

Obrona Tarasconu.





Bitwa w Bourget 30 października 1870 roku. 7

Chwała Bogu! Nareszcie mam wiadomości z Tarasconu. Od pięciu miesięcy umieram z niepokoju!... Znając zapal tego poczciwego miasta i waleczność mieszkańców, mówiłem sobie w duchu: Kto może wiedzieć, jak postąpił Tarascon? Czy rzucił się całą gromadą na barbarzyńców? Może jest zbombardowany, jak Strasburg, lub umiera z głodu jak Paryż, czy został żywcem spalony jak Chateaudun, czy też, w przystępie szalu patryotycznego, wysadził się w powietrze jak Laon, wraz ze swą nieustraszoną cytadelą?... Mylne przypuszczenia, moi przyjaciele. Tarascon nie jest spalony, nie wysadził się w powietrze. Tarascon jest ciągle na tem samym miejscu, spokojnie osiadły pośród winnic, ulice ma pełne słońca, a piwnice winogron; zaś Rodan, który obmywa tę miłą miejscowość, zanosi morzu obraz szczęśliwego miasta, odbicie zielonych żaluzji, pięknie gracowanych ogrodów i milicyi w nowych mundurach, ćwiczącej się wzdłuż wybrzeża.

Nie sądźcie jednak, że Tarascon nie działał podczas wojny. Przeciwnie, sprawował się nad podziw walecznie, a jego bohaterski opór, który postaram się wam opowiedzieć, będzie zapisany w historii, jako typ oporności lokalnej, jako żyjący symbol obrony Południa.

Orfeony.

Powiem wam tedy, że aż do bitwy pod Sedanem, nasi dzielni Taraskończycy trzymali się u siebie zupełnie spokojnie. Dla tych dumnych dzieci Alp niższych, to nie ojczyźnie groziła śmierć: szło tam tylko o żołnierzy cesarza, szło o samo cesarstwo. Skoro jednak nadszedł 4 września, Rzeczpospolita została ogłoszona, a pod Paryżem rozłożył się obozem Atylla, wówczas Tarascon się obudził, wówczas pokazało się, co to jest wojna narodowa... Zaczęło się to oczywiście od manifestacyi orfeonów. Wiadomo, jaką namiętność do muzyki mają wszyscy na Południu. Szczególniej w Tarasconie istny szal panuje w tym względzie. Kto idzie tam ulicą, słyszy wybiegające ze wszystkich okien i balkonów przeróżne melodye i romanse.

W każdym sklepiku, wzdycha gitara a nawet aptekarze przyrządzają lekarstwa, nucąc: „Słowik — i Lutnia hiszpańska — Trallala — lalala.“ Oprócz tych koncertów prywatnych, mają Taraskończycy jeszcze orkiestrę miejską, orkiestrę szkolną i całą masę towarzysztw orfeonów.

Orfeon św. Krzysztofa i jego przedziwny chór na trzy głosy: „Ratujmy Francję“, dał początek poruszeniu narodowemu.

— O tak, ratujmy Francję! — zawołali poczciwi Taraskończycy, powiewając z okien chustkami, mężczyźni bili oklaski, kobiety przesyłały pocałunki harmonijnym

szeregom, które ze sztandarem na czele maszerowały dumnie czwórkami przez miasto.

Impuls był dany. Od tego dnia miasto zmieniło swój wygląd: nie słyhać już dźwięku barkaroli ani gitary. Wszędzie, zamiast lutni hiszpańskiej, rozbrzmiewa Marsylianka, a dwa dni w tygodniu duszono się w strasznym tłoku na placu miejskim, żeby usłyszeć orkiestrę grającą: Pieśń pożegnania. Placono wtedy za miejsce szalone ceny!...

Ale Taraskończycy na tem nie poprzestali.

Kawalkady.

Po demonstracyach orfeonów, nastąpiły kawalkady historyczne na rzecz rannych. Czy może być coś wdzięczniejszego niż widok dzielnej młodzieży taraskońskiej, która, w słoneczną niedzielę, w miękkich butach i obcisłej odzieży o delikatnych barwach, kwestowała, chodząc od drzwi do drzwi i harcowała pod balkonami, trzymając w ręku wielkie halabardy i siatki na motyle. Ale najpiękniejszy był karuzel patryotyczny — Franciszek I w białym pod Pawią — urządzony przez panów z klubu, w ciągu trzech dni z rzędu na placu miejskim. Kto tego nie widział, to w ogóle nic nie widział. Teatr z Marsylii pożyczł kostyumów: złoto, jedwabie, plusze, haftowane sztandary, tarcze, hełmy, czapraki, wstążki, guzy, fontazie, lance, pancerze błyszczwały i migotały na placu. A silne podmuchy mistralu wstrząsały całą tą barwną pstrokacizną.

Było to wspaniałe. Kiedy jednak, niestety, po zażartej walce, Franciszek I (pan Bompard, prezes klubu) został otoczony przez oddział rajtarów, nieszczęsny Bompard wzruszył tak zagadkowo ramionami przy oddawaniu szpady, że zdawało się, iż zamiast: „Wszystko stracone,

prócz honoru“, mówi: *Digo—li que vengue, moun-bon!* Ale Taraskończycy nie przyglądali się tak blisko i lży patryotyczne błyszcząły w oczach wszystkich.

Wyłom.

Te widowiska, śpiewy, słońce, wspaniałe powiewy z nad Rodanu wystarczyły najzupełniej do zawrócenia głowy wszystkim. Obwieszczenia rządu spotęgowały uniesienie do najwyższego stopnia. Na placu miejskim witano się z groźnem obliczem, z zaciśniętymi zębami, a słowa wyrzucano z siebie jak pociski. W rozmowach czuć było proch. W powietrzu unosiła się woń saletry. Trzeba było posłuchać tych wrzących Taraskończyków z rana przy śniadaniu w kawiarni Teatralnej: „Co oni wyprawiają, ci Paryżanie, z tym swoim niezdara, generałem Trochu? Skończy się na tem, że nie wyjdą wcale z miasta. Do kroćset! gdyby to było w Tarasconie! Trrr!... Wyłom byłby już dawno gotów!“

I gdy Paryż dławił się chlebem owsianym, ci panowie pochłaniali soczyste kuropatwy i zakrapiali je doskonałem papieskiem winem. I lśniący, nasyceni, opływający we wszystko, krzyczeli jak głusi, uderzając w stół: „Ależ zróbcie nareszcie ów wyłom!...“

I dalibóg mieli zupełną słuszność!

Obrona klubu.

Tymczasem najście barbarzyńców zbliżało się coraz bardziej ku Południowi. Dijon poddało się, Lyon zagrożony, już wonne trawy z doliny Rodanu pobudzały konie ulańskie do pożądanego rżenia. „Gotujmy się do obrony!“ powiedzieli sobie Taraskończycy i wszyscy zabrali się do dzieła. Od jednego zamachu całe miasto zostało otoczone wałami, zabarykadowane, oszańcowane. Każdy dom stał się fortecą. Przed sklepem rusznikarza Costecalde'a

wyrósł przekop, szerokości co najmniej dwóch metrów, z mostem zwodzonym, coś poprostu wrzuszącego. W klubie roboty około obrony posunięte zostały tak daleko, że chodzono je podziwiać. Pan Bompard, prezes, stał u szczytu klatki schodowej, z szaspotem w rękę, i udzielał wyjaśnień damom: „Jeżeli przyjdą z tej strony, — paf, paf!... Gdyby zaś spróbowali wejść tamtędy, paf, paf!...“ Pozatem na wszystkich rogach ulic spotkać można było ludzi, którzy zatrzymywali przechodniów, i oświadczały im z miną tajemniczą: „Kawiarnia Teatralna jest niezdożyta“, albo też: „Esplanada została podminowana!...“ Barbarzyńcy mieli istotnie nad czem się zastanowić.

Wolni strzelcy.

Jednocześnie kompanie wolnych strzelców tworzyły się gorączkowo. Bracia Śmierci, Szakale Narbońscy, Muszkieterowie Rodanu, pełno ich tam było rozmaitych nazw i wszystkich barw; — i były pićropusze, kogucie pióra, olbrzymie kapelusze, pasy, szerokości niebywale!... Chcąc nadać sobie wygląd jak najgroźniejszy, każdy wolny strzelec zapuszczał brodę i wąsy, tak, że na spacerze ludzie się już nawzajem nie poznawali. Zdaleka widzę jakiegoś rozbójnika z Abruzów, który idzie prosto ku mnie, z wąsami jak haki, z oczami jak pochodnie, a przytem dzwoni szablą, rewolwer, jatagan; tymczasem zblizka okazuje się, że to subjekt Pégoulade. Innym razem spotykasz na schodach Robinsona Kruzoego we własnej osobie: w śpiczastym kapeluszu, z kordelasem o zębach piły, z dubeltówką na każdym ramieniu; a to był poprostu rusznikarz Costecalde, idący na miasto na obiad. I stało się w końcu, że dopóty usiłowali nadawać sobie groźne pozory, aż wreszcie Taraskończycy zaczęli się bać siebie wzajemnie, i niebawem nikt nie ośmielił się wysunąć nosa z domu.

Króliki z zagajnika i króliki z kapusty.

Wydany w Bordeaux dekret o organizacji straży narodowej zakończył tę kłopotliwą sytuację. Pod potężnym podmuchem tryumwiratu, frrrt! kogucie pióra załopotaly i wszyscy wolni strzelcy z Tarasconu — szakale, muszkietierowie i reszta — utworzyli batalion pocziwej milicyi, pod naczelnym dowództwem dzielnego generała Bravida. Ale tu zaszły nowe komplikacje. Dekret, wydany w Bordeaux, tworzył, jak wiadomo, dwie kategorie w gwardyi narodowej: gwardzistów czynnych i siedzących w domu: „Królików z zagajnika i królików z kapusty“, jak dość oryginalnie wyrażał się subjekt Pégoulade. W pierwszym okresie formowania się gwardziści narodowi z zagajnika mieli naturalnie bardzo piękną rolę. Co rano dzielny generał Bravida prowadził ich na Esplanadę, na ćwiczenia w strzelaniu: „Na ziemię! Wstawać!“ i tak dalej. Te małe wojny przyciągały stale dużo ciekawych. Z pań taraskońskich nie brakło nigdy ani jednej, i nawet damy z Beaucaire przekraczały niekiedy most, ażeby podziwiać nasze króliki. W tym samym czasie biedni gwardziści narodowi z kapusty pełnili skromnie służbę na mieście i zmieniali wartę przed muzeum, gdzie mieli do strzeżenia tylko wielką jaszczurkę, wypchaną mchem i dwie małe armatki z czasów zacnego króla René. Oczywiście damy z Beaucaire nie przechodziły przez most dla takiej drobnostki... Jednakże po upływie trzech miesięcy tych ćwiczeń w strzelaniu, kiedy się spostrzeżono, że gwardziści narodowi z zagajnika nie wyruszyli ani razu po za obręb Esplanady, entuzjazm powszechny zaczął stygnąć.

Dzielny generał Bravida napróżno wołał na swoje króliki: „Na ziemię! Wstawać!“ nikt już na nich nie pa-trzył. Wkrótce te małe wojny dostały się na wszystkie języki. Bóg widzi, że nieszczęsne króliki nie z własnej

winy nie wyruszyły w pole. Wszyscy oni byli z tego powodu wprost wściekli. Pewnego dnia, odmówili nawet wykonywania ćwiczeń.

— Dość tej parady! — krzyczeli w zapale patryotycznym; — jesteśmy przeznaczeni do maszerowania; niech nam każą maszerować!

— Wyruszyście wszyscy, albo ja zrzeknę się swego stanowiska! — powiedział im na to dzielny generał Bravida; i, aż płonąc z gniewu, udał się do merostwa, gdzie zażądał wyjaśnień.

Na merostwie odpowiedziano, że niema żadnych rozkazów i że to chyba rzecz prefektury.

— Udajmy się do prefektury! — rzekł Bravida. I pojechał ekspresem do Marsylii na poszukiwanie prefekta, co nie było sprawą błahą, ponieważ w Marsylii było zawsze czynnych pięciu, lub sześciu prefektów, a nikt nie umiał udzielić objaśnień, który z nich był właściwy. Dzięki szczególnemu trafowi Bravida przyłapał odrazu prefekta właściwego i na zbiorowej naradzie w prefekturze, dzielny generał zabrał głos, w imieniu swoich żołnierzy.

Ale prefekt przerwał mu po pierwszych słowach:

— Przepraszam generale... czem się to dzieje, że pańscy żołnierze proszą pana o wyruszenie w pole, a mnie błagają, żebym ich pozostawił w spokoju?... Niech pan sam czyta.

I z uśmiechem na ustach podał mu płaczącą prośbę, którą dwóch królików z zagajnika, najgłośniejszemu domagających się wyruszenia w pole, wysłało do prefektury, wraz ze świadectwami lekarza, proboszcza, rejenta, błagając, aby ich z powodu słabego zdrowia przemianowano na królików z kapusty.

— Takich próśb mamy przeszło trzysta, — dodał prefekt, z tym samym wciąż uśmiechem. — Pojmuje pan teraz, generale, dlaczego nie śpieszymy z wyprawianiem w pole

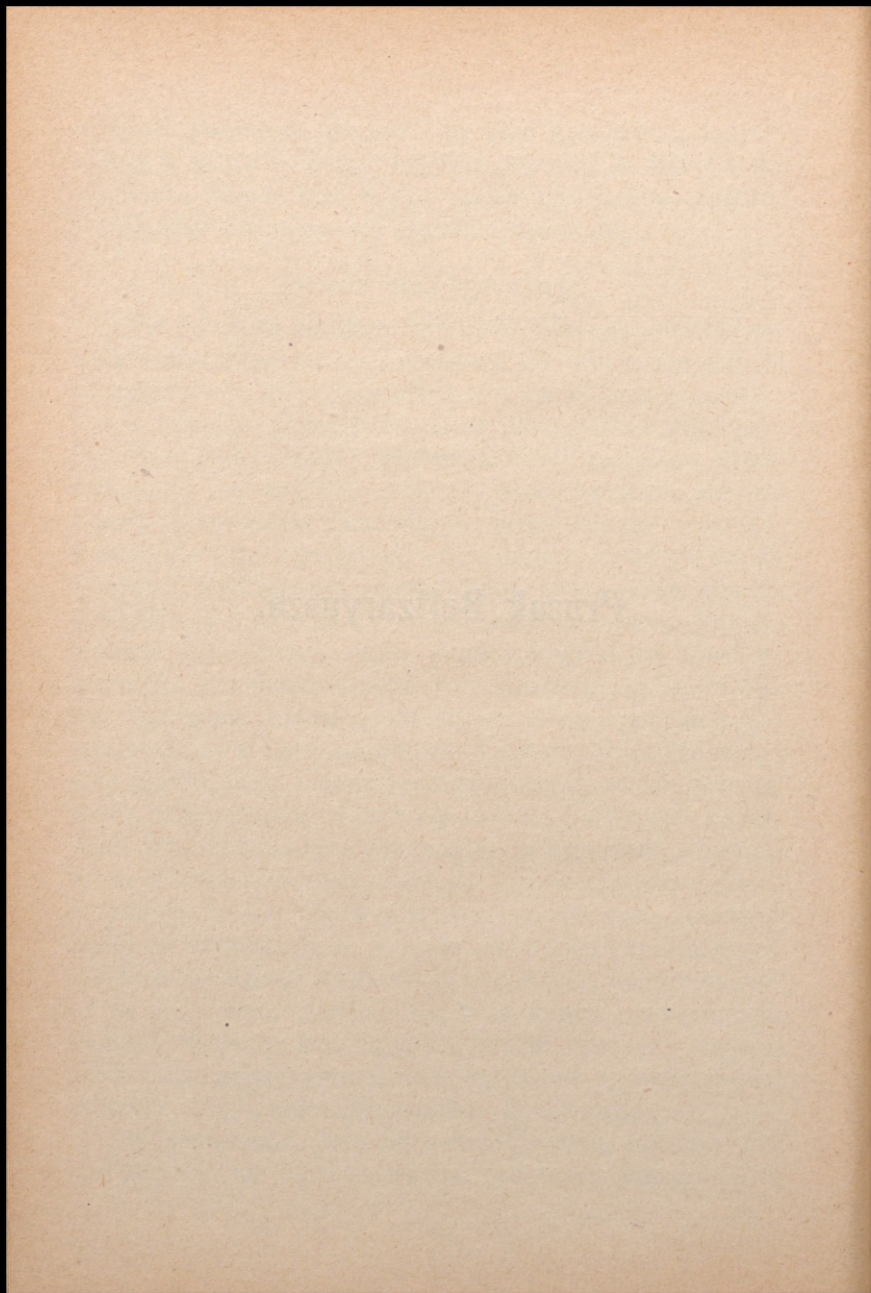
pańskich żołnierzy. Już i tak za dużo wysłaliśmy takich, którzy w gruncie rzeczy woleliby pozostać w domu. Dość już tego... Niech Bóg zatem czuwa nad Rzeczpospolitą, a tymczasem kłaniam się pańskim królikom.

Poncz pożegnalny.

Nie potrzeba chyba mówić, jak dalece generał był zawstydzony, wracając do Tarasconu. Ale oto, co się jeszcze zdarzyło. Podczas jego nieobecności Taraskończycy postanowili urządzać poncz pożegnalny dla królików, wyruszających w pole! Dzielny generał Bravida napróżno dowodził, że nie potrzeba tyle zachodu i że nikt w ogóle nie wyrusza; poncz został zamówiony i przyrządzony; pozostało tylko wypić go, co też i uczyniono... Pewnego zatem wieczora niedzielnego wzruszająca uroczystość ponczu pożegnalnego odbyła się w salonach merostwa i aż do białego dnia drżały okna municypalności od toastów, wiwatów, przemówień i śpiewów patryotycznych. Wszyscy naturalnie wiedzieli, co myśleć o tym ponczu pożegnalnym; gwardziści narodowi z kapusty, którzy za wszystko płacili, mieli mocne przeświadczenie, że ich koledzy wcale nie wyruszają, a ci z zagajnika, którzy pili poncz, mieli również to samo przekonanie, zaś szanowny adjutant, który wzruszonym głosem składał tym wszystkim zuchom przysięgę, że jest gotów wyruszyć na ich czele, wiedział lepiej od wszystkich, że w ogóle nikt nigdzie nie wyrusza; ale co to właściwie mogło kogo obchodzić! Ci Południowcy są tacy nadzwyczajni, że, przy końcu pożegnalnego ponczu, wszyscy, bez wyjątku płakali, wszyscy się ścisnęli i, co najciekawsze, wszyscy robili to najzupełniej szczerze, nie wyłączając samego generała!...

W Tarasconie, jak i na całym Południu Francji często zdarzało mi się obserwować podobne złudzenia.

Prusak Belizaryusza.





Wzięcie Orleanu przez Niemców 5 grudnia 1870 roku.

Oto historia, którą słyszałem w pewnej szynkowni na Montmartre, w tym tygodniu. Ażeby wam to dobrze powtórzyć, trzebaby gwary podmiejskiej majstra Belizarjusza, jego wielkiego fartucha stolarskiego i dwóch lub trzech kieliszków tego dobrego wina białego z Montmartre'u, które potrafi nadać akcent paryski, nawet Marsylczykowi. Jestem pewny, że wtedy wywołałbym to samo wrażenie, jakiego sam doznałem, słuchając Belizarjusza, opowiadającego towarzyszom przy kieliszku tę ponurą, a prawdziwą historię:

„...Było to nazajutrz po zawieszeniu broni. Żona wysłała mnie z malcem na przechadzkę w stronę Villeneuve-la-Garenne, skąd niedaleko znajdowała się nasza zagroda, nad brzegiem rzeki leżąca. Od początku oblężenia nie mieliśmy stamtąd żadnych wieści. Trochę mi było nie na rękę brać ze sobą malego w takich niespokojnych czasach. Wiedziałem, że mogę natknąć się na Prusaków

po drodze, a ponieważ do tej pory nie zdarzyło mi się widzieć ich zblizka, obawiałem się niemiłego spotkania. Matka jednak obstawała przy swoim, powtarzając ciągle: „Ależ idź, idź koniecznie, malec potrzebuje trochę świeżego powietrza“.

„To prawda, po pięciomiesięcznem obleżeniu, i siedzeniu w domu, dzieciakowi przydało się powietrze!

„Wyruszyliśmy tedy we dwóch na przełaj przez pola. Nie wiem, czy malcowi sprawiało radość, że widział znów drzewa i ptaki, że mógł grzęznąć w zoranej ziemi. Mnie ta swoboda nie cieszyła, za dużo spotykałem śpiczastych hełmów po drodze. Od kanału aż do wyspy miałem to tylko przed oczyma. A jacy zuchwali! Trzeba było dobrze nad sobą panować, aby się na nich nie rzucić. Złość moja nie miała jednak granic, gdym doszedł do miasteczka Villeneuve. Nasze śliczne ogródki były zupełnie zniszczone, domy splądrowane i zrabowane, a ci bandyci rozgospodarowali się w nich tak wygodnie i swobodnie, że nawoływali się nawzajem z okien i na żaluzjach i altankach suszyli swoje wełniane trykoty. Na szczęście malec szedł przy mnie i za każdym razem, kiedy uczułem zbyt silne świerzbieńnię ręki, powtarzałem sobie w duchu: „Pilnuj się Belizarjuszu, abyś nie ściągnął nieszczęścia na dziecko!“ To jedno powstrzymywało mnie od szalonego kroku. Teraz dopiero zrozumiałem, dlaczego matka tak koniecznie nalegała, by mi malec towarzyszył.

„Nasz domek znajdował się na samym końcu miasteczka, na prawo przy głównej ulicy. Wewnątrz był taki zniszczony, że nie znalazłem ani jednego sprzętu, ani jednej całej szyby. Na podłodze leżało parę wiązek słomy, w kominie zaś dopalała się ostatnia noga od wielkiego fotela. Na każdym kroku, czuło się tutaj pruską gospodarke, ani jednego jednak Prusaka dostrzedz ni-

gdzie nie mogłem. Nagle zdawało mi się, że słyszę lekki szmer w suterenie, w której przy małym warsztacie spędzałem niekiedy niedzielne popołudnia. Poleciewszy dziecku, by zaczekało na mnie, zeszedłem pośpiesznie na dół.

„Jeszcze nie zdążyłem drzwi otworzyć, kiedy z ziemi porwał się olbrzymi żołnierz Wilhelma i z groźnym spojrzeniem, darząc mnie całą masą przekleństw, których nie rozumiałem, zaczął zbliżać się do mnie. Widocznie przebudzenie tej bestyi musiało być bardzo niemiłe, gdyż na moje pierwsze słowa począł pośpiesznie wyciągać szablę z pochwy...

„Wtedy krew zakipiała mi w żyłach. Cała żółć, która zbierała się we mnie od godziny, buchnęła nagle... Chwytałem wielką śrubę stolarską z warsztatu i uderzam na wroga... Wszak znacie, towarzysze, zwykłą siłę pięści Belizaryusza; tym razem atoli miałem piorun Boży w dłoni... Już po pierwszym uderzeniu mój Prusak rozciągnął się jak długi na podłodze. Przypuszczałem na razie, że go oghuszył tylko, a jakże, zaraz!... Martwy był, moje dzieci... Ani już zipnął!

„Nie zabiłem w życiu swoim nic, nawet skowronka, to też szczególne ovladnęło mną uczucie, na widok tego wielkiego ciała, powalonego u moich stóp... Przy stojny był z niego blondyn... bródkę miał małą, fryzowaną, niby wiórki jesionu. Nogi drżały podemną, gdym patrzył na niego. Tymczasem malec mój, znudziwszy się długim czekaniem, począł wołać na mnie co mu sił starczyło: „Tatusiu! tatusiu!!!...“

„Oddział Prusaków przechodził drogą; widziałem ich szablę i wielkie nogi, patrząc przez okienko sutereny. Nagle przyszła mi myśl: jeśli wejda, dziecko jest zgubione, z pewnością wszystko tu rozwała. Oprzytomniałem odrazu, pochwyliłem trupa i, wsunawszy go pod warsztat,

zacząłem przykrywać wszystkim, co znalazłem pod ręką, więc deskami, wiórami, trocinami i, skończywszy swoje dzieło, pobiegłem co tchu po malca.

„ — Pójdź, wracajmy...

„ — Co ci jest, tatusiu? Czemuś taki blady? ”

„ — Pójdź, pójdź. ”

„Mogę was zapewnić, że żołnierze mogliby mnie potrać i naigrawać się nademną dowoli, nie byłbym się odezwał nawet. Zdawało mi się bowiem ciągle, że gonią mnie, że krzyczą na nas. Raz nawet słyszałem wyraźnie tentent pędzącego konia; ach! sądziłem, że padnę z przerażenia. Jednakże już za mostem oprzytomniałem zupełnie. Saint Denis było pełne ludzi. Nie było obawy, żeby nas złowiono w tłumie. Wtedy dopiero pomyślałem o naszej zagrodzie. Dom nasz będzie napewno podpalony, skoro tylko Prusacy odnajdą w nim zabitego towarzysza, podejrzenie zaś mogło spaść na najbliższego sąsiada Jacquot'a, jedyne go Francuza w okolicy. Taki sposób ocalenia siebie nie był, doprawdy, zaszczytny.

„Powinienem był uprzątnąć go chociaż... W miarę jak zbliżałem się do Paryża, myśl ta prześladowała mnie coraz bardziej. Dręczyło mnie to, że zostawiłem Prusaka w piwnicy. To też przy wale miejskim już nie wytrzymałem:

„ — Idź naprzód! — mówię do malca. — Mam jeszcze w Saint Denis coś do załatwienia ”.

„I, uściskawszy go, zawróciłem z miejsca. Serce biło mi wprawdzie przyśpieszonym tętnem; ostatecznie wszystko mi było jedno, byłem dużo swobodniejszy, nie mając chłopca przy sobie.

„Ciemno już było zupełnie, gdy wchodziłem do Ville-neuve. Posuwałem się krok za krokiem, z trudnością różniąc przedmioty. Miasto miało jednak wygląd spo-

kojny, a dom mój stał na swoim miejscu. We mgle zauważyłem, w oddali, na drodze czarny szpaler. To Prusacy stawiali się do apelu. Najlepsza sposobność, aby w domu nikogo nie znaleźć. Przesuwając się wzdłuż ogrodzeń, spostrzegłem w podwórzu ojca Jacquot'a. Widocznie nic jeszcze nie spostrzeżono. Idąc ciągle poomacku, wchodzę do domu, docieram do sutereny i znajduję mego Prusaka w tem samym miejscu pod trocinami; już nawet dwa wielkie szczury gospodarowały przy jego pikelhaubie. Szczególnego doznałem uczucia na ten widok. Przez chwilę sądziłem, że nieboszczyk wraca do życia... ale nie! głowa jego była bezwładna, ciężka i zimna. Przyczaiwszy się w kącie, czekałem, aż żołnierze usną, chciałem bowiem wtedy wynieść trupa z mego domu i wrzucić go do Sekwany. Nie wiem, czy to blizkie sąsiedztwo śmierci tak na mnie oddziało, że powrót Prusaków do obozu tego wieczora wydał mi się nad wyraz smutny. Wtem dobiegły mnie trzy głośne pobudki na trąbce: Ta! ta! ta! Iście żabia muzyka! Nie przy takim to akompaniamencie nasi żołnierze udają się na spoczynek...

„Przez pięć minut następnych, słyszałem brzęk szabli, trzaskanie drzwiami; potem żołnierze wyszli na podwórze i zaczęli wołać:

„ — Hofmann! Hofmann!“

„Biedny Hofmann nie poruszył się pod wiórami... Ja jednak byłem pewny, że lada chwila wejdą żołnierze do sutereny i, podniósłszy szablę, stałem w pogotowiu, mówiąc do siebie po cichu: „Jeśli ci się, kochanku, uda stać wymknąć, będziesz musiał dać piękną świecę przed obraz św. Jana Baptysty w Belleville!...“

„Tymczasem moi lokatorzy, nie doczekawszy się Hofmanna, weszli do domu. Słyszałem ich ciężkie kroki

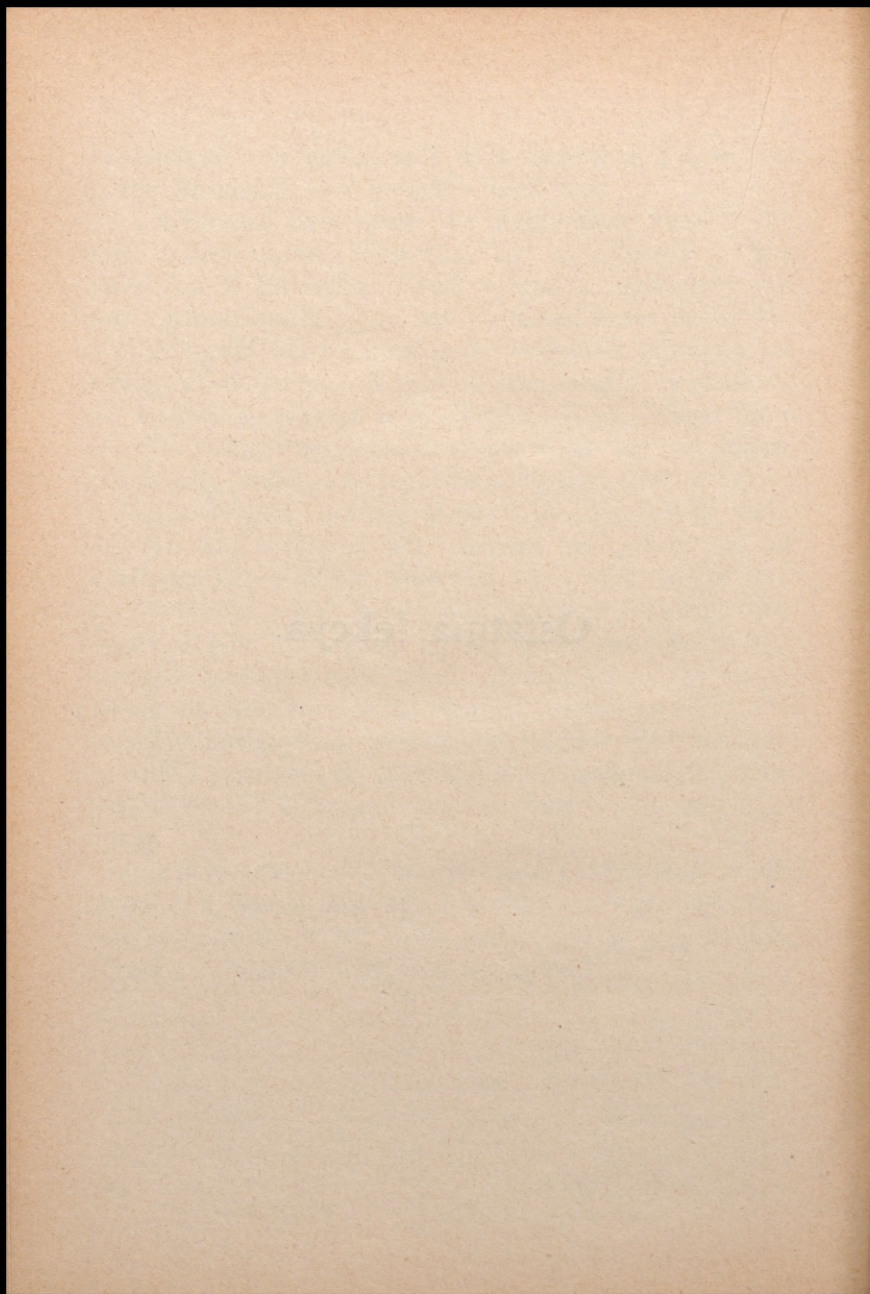
na schodach i po chwili cały dom zachrapał, jak wiejski dzwon kościelny. Na to tylko czekałem.

„Wybrzeże było puste, we wszystkich domach ciemno. Dobra nasza. Wysuwam się pośpiesznie z kąta, ciągnę mego Hofmanna z pod warsztatu, stawiam go na nogi i zarzucam na plecy, jak posłaniec nosze na barki... O jakież ciężki był ten rozbójnik! Sądziłem, że nigdy nie zdołam go dociągnąć. Nagle na środku ulicy wydało mi się, że ktoś śpieszy za mną. Odwracam się. Niema nikogo... To księżyc wschodził... Mówię sobie tedy w duchu: „Baczność, niebawem szyldwach będzie strzelał“.

„Na dobitkę, poziom wody w Sekwanie był niski. Gdybym mój ciężar zsunął z brzegu, zanurzyłby się jak w miednicy... Wchodzę, posuwam się... woda wciąż płytką... W końcu jużem dalej iść nie mógł. Członki mi zdrętwiały. Kiedy już wydało mi się, że się dość posunąłem naprzód, puściłem mój ciężar... Ruszaj sobie. Ale on pozostaje na miejscu. Nie ma sposobu pchnąć go dalej... Na szczęście powiał wiatr ze wschodu, woda w rzece nieco się uniosła i uczułem, że Machabeusz pomalenku odpływa. Dobrej drogi! Łyknąłem trochę wody i powróciłem na brzeg.

„Kiedy przechodziłem z powrotem przez most w Villeneuve, ujrzałem pośrodku Sekwany coś czarnego. Zdaleka wyglądało to jak mała łódka. Był to mój Prusak, płynący z biegiem wody ku Argenteuil“.

Ostatnia lekcyja.





Garibaldi w powozie na polu bitwy w r. 1870.

Opowiadanie małego Alzaczyka.

Tego poranka spóźniłem się bardzo do szkoły i bałem się mocno, że mnie spotka nagana, tembardziej, iż pan Hamel zapowiedział, że nas będzie pytał o imiesłowach, a ja nie umiałem nawet pierwszego wyrazu. Przez chwilę przyszło mi na myśl, żeby opuścić lekcję i udać się na przechadzkę w pola.

Czas był taki ciepły i pogodny.

Słychać było, jak kosy gwizdały na polance leśnej, a na łące w Rippert, za tartakiem, musztrowali się Prusacy. Wszystko to pociągało mnie daleko więcej, niż reguły o imiesłowach; ale miałem dość siły, aby się temu oprzeć i pobiegłem prędko do szkoły.

Mijając merostwo, ujrzałem, że ludzie stali przed kratką od afiszów. Od dwóch lat przychodziły ztamtąd do nas wszystkie złe wiadomości, o bitwach przegranych, rekwizycjach, rozporządzeniach komendantury; pomyślałem więc sobie, nie zatrzymując się:

— Co tam jeszcze?

Gdy przebiegałem przez plac, kowal Wachter, który stał wraz ze swoim czeladnikiem i czytał ogłoszenie, zawołał do mnie:

— Nie śpiesz się tak, mały, zdążysz jeszcze wczas do szkoły.

Myślałem, że sobie ze mnie żartuje i wbiegłem zadyszany na małe podwórze domostwa pana Hamel.

Zazwyczaj, przy rozpoczęciu zajęć, powstawał wielki hałas, który słyhać było aż na ulicy; otwierano i zamykano pulpity, wszyscy razem przepowiadali sobie głośno lekcye, zatykając uszy, aby łatwiej się rozumieć, nauczyciel uderzał w ławki dużą liną, wołając:

— Nieco ciszej!

Liczyłem na to wszystko, spodziewając się, że mi się uda dostać do ławki niepostrzeżenie; ale właśnie dnia tego panował spokój, jak rankiem w niedzielę. Przez otwarte okno widziałem, że moi koledzy siedzieli już w porządku na swoich miejscach, a pan Hamel przechadzał się przed nimi ze straszłą liną żelazną pod pachą. Trzeba było otworzyć drzwi i wejść śród tej wielkiej ciszy. Można sobie wyobrazić, jaki byłem czerwony i w jakim strachu. Ale pan Hamel spojrzął na mnie bez gniewu i rzekł bardzo łagodnie:

— Idź prędko na miejsce, Franku; mieliśmy już zaczynać bez ciebie.

Wskoczyłem do ławki i zasiadłem niezwłocznie przed pulpitem. Dopiero teraz, ochłonawszy nieco ze strachu, spostrzegłem, że nasz nauczyciel miał na sobie piękny surdut zielony, cienki gors w zakładki i czapeczkę jedwabną czarną, haftowaną, które nosił tylko w dniach inspekcji, lub rozdawania nagród. Zresztą cała klasa wyglądała jakoś niezwykle i uroczyście. Ale co

mnie najwięcej zdziwiło, to widok, jaki przedstawiały puste zazwyczaj ławki w głębi sali. Siedzieli na nich wieśniacy, milcząc, jak i my: stary Hauser w trójgraniastym kapeluszu, dawny mer, dawny listonosz, a potem inni jeszcze. Wszyscy wydawali się smutni; Hauser przyniósł stary postrzępiony elementarz, trzymał książkę otwartą na kolanach a okulary położył w poprzek na jej stronicach.

Nie przestawałem się dziwić, a tymczasem pan Hamel wszedł na katedrę i tym samym głosem łagodnym i poważnym, jakim mnie przyjął, przemówił do nas:

— Moje dzieci, po raz ostatni mam z wami lekcję. Przyszło rozporządzenie z Berlina, aby uczyć tylko po niemiecku w szkołach Alzacyi i Lotaryngii... Nowy nauczyciel przybywa jutro. Dzisiaj jest wasza ostatnia lekcya francuskiego. Proszę was, żebyście byli uważni.

Te słowa wzburzyły mnie do głębi. Ach! nędznicy, to takie ogłoszenie wywiesili na merostwie.

Moja ostatnia lekcya francuskiego!

A ja zaledwie z trudnością umiałem pisać! Nie nauczę się już nigdy! Trzeba będzie poprzestać na tem!... Jakże żałowałem teraz czasu straconego, lekcyi opuszczanych dla wybierania gniazd lub dla ślizgawek na Saarze! Książki, które przed chwilą jeszcze wydawały mi się takie nudne, takie ciężkie do noszenia, moja gramatyka, historia święta, teraz stały się dla mnie staremi przyjaciółkami, które przykro bardzo byłoby porzucić. Tak samo, jak pan Hamel... Myśl, że ma nas opuścić, że go więcej nie zobaczę, sprawiła, że zapomniałem o karach jakie mi wymierzał, o tej strasznej linii.

Biedny człowiek!

Na cześć tej to ostatniej lekcyi włożył na siebie strój świąteczny i teraz zrozumiałem, dlaczego ci sta-

rzy wieśniacy przyszli i zajęli miejsca w kącie sali szkolnej. Chcieli przez to wyrazić, iż żałują, że nie odwiedzali tej szkoły częściej. A także podziękować naszemu nauczycielowi za usługi czterdziestoletnie i spełnić obowiązek względem ojczyzny, którą tracili...

Tonałem w tych rozmyślaniach, gdy usłyszałem swoje nazwisko. Na mnie wypadła kolej wydawania lekcji. Czegóż bym nie dał za to, aby mózż wypowiedzieć całą regułę o imiesłowach głośno, wyraźnie, bez omyłki; ale zmieszałem się przy pierwszych słowach i stanąłem, kołyszac się machinalnie w ławce; serce moje wezbrało wzruszeniem, nie śmiałem podnieść głowy. Usłyszałem, że pan Hamel rzekł do mnie:

— Nie będę cię karmił, Franku, sądzę, że jesteś dosyć ukarany... tak to bywa. Codzień mówi się sobie: Ba, mam czas. Nauczę się jutro. I oto potem widzisz, co się dzieje... Ach! to było wielkie nieszczęście naszej Alzacyi, że zawsze odkładała naukę do jutra. Teraz tamci ludzie mają prawo nam powiedzieć: Jakto! Utrzymujecie, że jesteście Francuzami, a nie umiecie ani mówić, ani pisać w swoim języku!... Jednakże, biedny Franku, nie ty jesteś jeszcze najwinniejszy. My wszyscy powinniśmy robić sobie te same wyrzuty. Wasi rodzice mało dbali o to, abyście otrzymali wykształcenie. Woleli posyłać was w pole do roboty, lub do przędzalni, aby mieć o kilka sousów więcej. Ja sam czyż nie mam sobie nic do wyrzucenia? Czy nie kazałem wam często polewać mego ogródka, zamiast się uczyć? A gdy chciałem iść łowić pstrągi, czy krępowałem się? Czy nie uwalniałem was od lekcji?

I od słowa do słowa pan Hamel zaczął nam mówić o języku francuskim, wywodził, że jest to język najpiękniejszy na świecie, najjaśniejszy, najpoważniejszy; zalecał, żebyśmy go nigdy nie zapominali, bo, gdy naród

dostaje się do niewoli, dopóki strzeże pilnie mowy ojczystej, to jakby miał w ręku klucz od swego więzienia*).

Potem wziął do ręki gramatykę i odczytał nam zadaną lekcję. Byłem zdziwiony, że wszystko rozumiem. Wszystko, co mówił wydało mi się takie łatwe, takie łatwe. Sądzę także, że nigdy tak uważnie nie słuchałem i że on nigdy nie objaśniał z taką cierpliwością. Zdawało się, że biedny człowiek chciał przed rozstaniem przelać w nas całą swoją wiedzę, wbić ją nam w głowy od jednego zamachu.

Gdy skończył wykład, zabraliśmy się do pisania. Na ten dzień pan Hamel przygotował dla nas zupełnie nowe wzory, na których było napisane pięknem rondem: Francya, Alzacya, Francya, Alzacya. Wzory te wyglądały, jak małe chorągiewki, zawieszono dookoła klasy na pulpitych. Trzeba było widzieć, jak pilnie każdy je przepisywał i w jakim milczeniu! Nie słychać było nic, prócz skrzypienia piór na papierze. Do sali wpadły chrabąszcze; ale nikt nie zwrócił na nie uwagi, nawet najmniejsi z pośród nas, którzy stawiali kreski, z taką gorliwością, z takim przejęciem, jakgdyby to także była francuzczyzna. Na dachu szkoły gruchały zcicha gołębie, a słuchając ich mówiłem sobie w duchu:

„Czy ich nie zmuszą także gruchać po niemiecku?“

Od czasu do czasu, odrywając wzrok od kajetu, widziałem pana Hamela siedzącego nieruchomie na katedrze i wpatrującego się pilnie we wszystko, co go otaczało, jakby chciał umocnić w swej pamięci całą swoją szkółkę... Pomyślcie! Od lat czterdziestu przebywał tu

*) „Jeśli język swój zachowuje — trzyma klucz, który go z więzów uwalnia.
Fr. Mistral.

na jednym miejscu, patrząc na podwórko i podobną do niego izbę szkolną. Tylko ławki i pulpity świeciły się, wypolerowane, wytarte przez zużycie; drzewa orzechowe na podwórzu urosły duże, a chmiel, który pan Hamel sam zasadził, okalał girlandami okna aż do dachu. Jaki to ból dla biednego człowieka porzucać wszystko, słuchać, jak siostra biega po pokoju na piętrze, pakując kufry! Musieli bowiem wyjechać, oddalić się z kraju na zawsze już nazajutrz.

Mimo to pan Hamel miał tyle siły, że odbył lekcję z nami do końca. Po pisaniu przeszliśmy do lekcji historii, a potem malcy śpiewali wszyscy razem ba, be, bi, bo, bu. W głębi salki stary Hauser włożył na nos okulary i, trzymając elementarz w dłoniach, powtarzał litery wraz z nimi. Widać było, że skupiał całą uwagę; głos jego drżał ze wzruszenia, i taki był przytem zabawny, że mieliśmy wszyscy ochotę i śmiać się i płakać. Ach! nie zapomnę nigdy tej lekcji ostatniej...

Nagle zegar na kościele wybił południe, potem zadzwoniono na Anioł Pański. W tejsze chwili trąbki Prusaków, powracających z musztry, zabrzmiały pod naszymi oknami... Pan Hamel, bledy jak chusta, powstał na katedrze. Nigdy nie wydał mi się taki duży.

— Dzieci — rzekł — dzieci moje, ja.... ja...

Ale coś go dusiło. Nie mógł skończyć zdania.

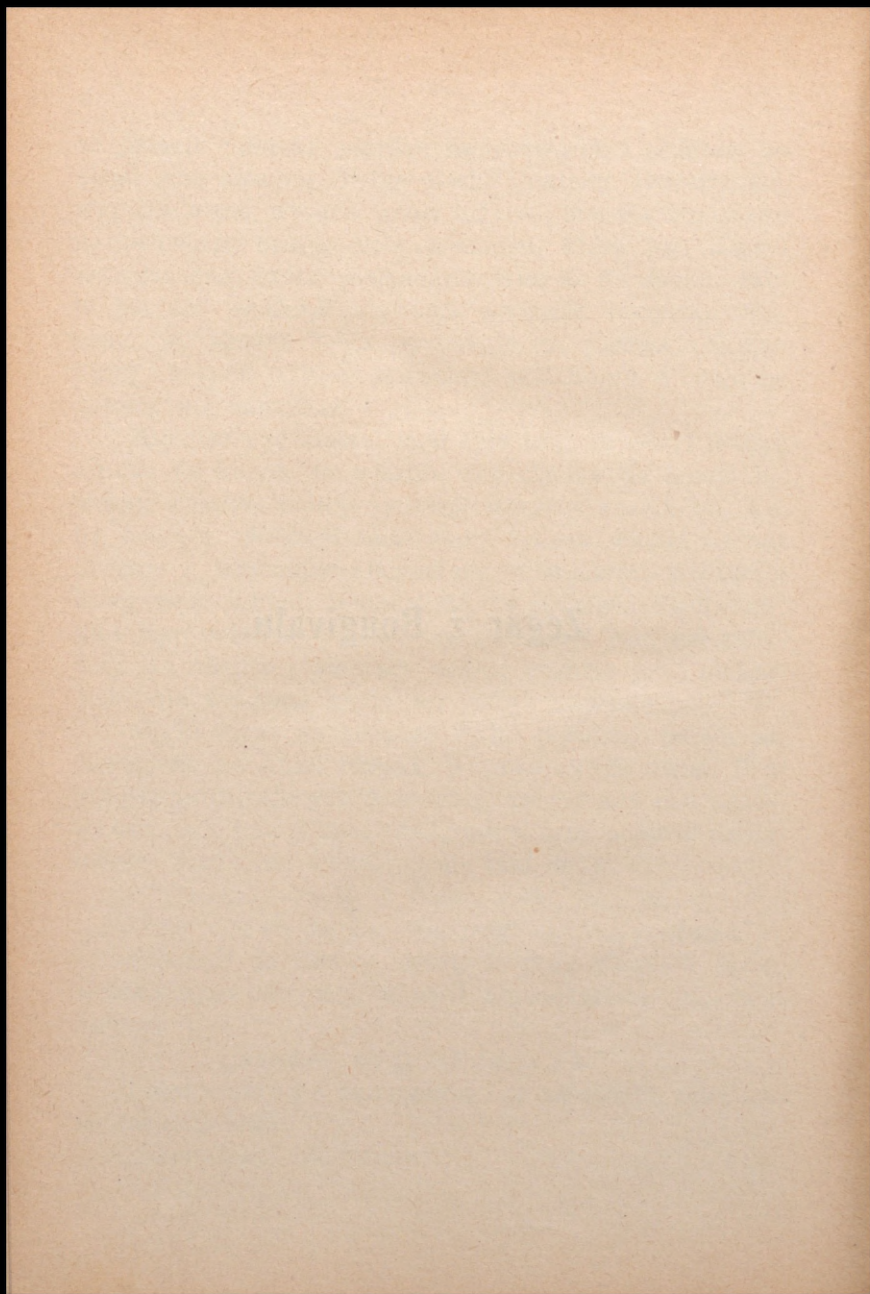
Podszedł do tablicy, wziął w rękę kawałek kredy i, naciskając całą siłą, napisał największemi, jak mógł literami:

„Niech żyje Francya!“

I stał z głową o mur opartą i w milczeniu, ręką tyłko dał nam znak:

„Skończone... odejdźcie!“

Zegar z Bougivalu.





Obrona bramy w Longboyau 21 października 1870 roku.

Był to zegar z epoki drugiego cesarstwa, jeden z tych zegarów z onyxu algierskiego, ozdobiony rysunkami Campany, z kluczykiem połączonym, zawieszonym na różowej wstążeczce, zegar taki, jakie się kupuje na bulwarze des Italiens. Śliczny, zupełnie nowoczesny, typowy article de Paris. Prawdziwy zegarek teatralny, który miał dźwięk czysty, donośny, ale był pełen kaprysów, wydzwaniał godziny, jak mu przyszła fantazyja, omijał połowy i wskazywał dokładnie tylko godzinę giełdy panu i godzinę miłości pani. Gdy wybuchła wojna, był na wilegiaturze w Bougivalu, sporządzony umyślnie do tych pałacyków letnich, takich kruchych, do tych ładnych klatek, jakby wycinanych z papieru, jako dopełnienie mebli jednosezonowych, z jasnego jedwabiu pod pokryciem z koronek i powiewnego muślinu. Bawarczy-cy, przybywszy na miejsce, przedewszystkiem porwali

ten zegar; i, dalibóg! trzeba przyznać, że ci ludzie z tamtej strony Renu, są bardzo zręczni, gdyż opakowali tak dobrze ten zegareczek, nie większy od jaja synogarlicy, że odbył między armatami Kruppa i furgonami, pełnymi kartaczy, podróż z Bougivalu do Monachium bez najlżejszego szwanku i świeży, zalotny, zachowawszy swoje dwie skazówki, cienkie, czarne, wygięte, jak rzęsy, z kluczykiem na świeżej wstążeczce, mógł już nazajutrz pokazać się w wystawie sklepowej Augusta Cahna, handlarza osobliwości na placu Odeonu.

Znakomity profesor doktor Otton von Schwanthaler.

Było to wydarzenie doniosłe w Monachium. Nie widziano tam jeszcze zegara z Bougivalu i każdy szedł go oglądać z takim samem zaciekawieniem jak muszle japońskie w muzeum Siebolda. Przed sklepem Augusta Cahna trzy szeregi wielkich fajek dymiły od rana do wieczora, a pocziwy ludek monachijski, otworzywszy wielkie oczy, zapytywał siebie, wdychając „Mein Gott“ z podziwu, do czego też może służyć ta osobliwa maszynka. Pisma ilustrowane umieściły wizerunek zegarka, a jego fotografie widniały we wszystkich wystawach sklepowych; wreszcie znakomity profesor doktor Otton von Schwanthaler napisał na jego cześć sławny „Paradoks o zegarach“ — studium filozoficzne, humorystyczne na sześciuset stronicach, traktujące o wpływie zegarów na życie narodów i wykazujące logicznie, że naród, który jest taki szalony, iż reguluje czas swój według chronometrów równie waryackich jak ten zegarek z Bougivalu, musi być przygotowany na wszystkie klęski, podobnie jak okręt, który udaje się na morze z busołą, wskazującą niepra-

widłowy kierunek. (Zdanie jest nieco przydługie, ale tłómaczę je dosłownie).

Ponieważ Niemcy nie robią nic lekkomyślnie, przeto znakomity doktor i profesor, zanim napisał swój „Paradoks“, chciał zbadać przedmiot gruntownie, zanalizować go drobiazgowo, jako entomolog, i kupił zegar, by go mieć ciągle przed oczyma. W taki to sposób zegar dostał się z wystawy sklepowej Augusta Cahna do salonu znakomitego profesora i doktora Ottona von Schwanthalera, konserwatora Pinakoteki, członka Akademii nauk i sztuk pięknych, który mieszkał przy Ludwigstrasse nr. 24.

Salon Schwanthalerów.

Każdy, kto przestąpił próg salonu Schwanthalerów, akademickiego i uroczystego, jak sala obrad, zwracał przedewszystkiem uwagę na wielki zegar, o surowych motywach marmurowych, z Polihymnią z brązu i bardzo skomplikowanym werkiem. Cyferblat główny, otaczały cyferblaty mniejsze a były tam godziny, minuty pory roku, porównanie dnia z nocą, wszystko aż do zmian księżyca w obłoku lazurowym na środku cokółu. Hałas tej potężnej maszyny rozlegał się w całym domu. U stóp schodów słychać było odgłos ciężkiego wahadła, kołyszącego się ruchem poważnym, rytmicznym, który jakby krajał i odmierzał życie na małe, zupełnie jednakowe kawałki; śród tego donośnego chodu wahadła drgająca skazówka obiegała sekundnik z gorączkową pracowitością pająka, który zna wartość czasu.

Potem były godziny, ponuro, wolno, jak w zegarze szkolnym, a ilekroć godzina wybiła, zdarzało się coś w domu Schwanthalerów. Albo pan von Schwanthaler szedł do Pinakoteki, objuczony papierzyskami, albo wysoka

pani von Schwanthaler, wracała z kazania ze swemi trzema pannami, trzema długimi dziewczynami, które wyglądały, jak tyki chmielowe; albo odbywały się lekcye na gitarze, lekcye tańca, gimnastyki, otwierały się klawicymbały, rozkładano krośna do haftu, wysuwano na środek salonu pulpity do muzyki zbiorowej, a wszystko było tak dobrze uregulowane, tak systematycznie ułożone, że na widok tych wszystkich Schwanthalerów, puszczających się w ruch, przy pierwszym dźwięku zegara, wchodzących i wychodzących przez drzwi, otwarte na oścież — przychodził na myśl pochod Apostołów w zegarze strasburskim i człowiek czekał zawsze, żeby wraz z ostatniem uderzeniem rodzina Schwanthalerów znikła wewnątrz zegara.

Osobliwy wpływ zegara z Bougivalu na przyzwoitą rodzinę z Monachium.

Obok tej budowli pomnikowej postawiono zegar z Bougivalu i łatwo sobie wyobrazić wrażenie, jakie wywierała jego zalotna powierzchowność. Pewnego wieczora panie von Schwanthaler haftowały w wielkim salonie, a znakomity profesor i doktor czytał kilku kolegom z Akademii nauk pierwsze stronicie „Paradoksu“, przerywając sobie od czasu do czasu, by sięgnąć po zegarek, celem ilustrowania, że tak powiemy, swoich wywodów... Nagle, Ewa von Schwanthaler, ulegając jakiejś przekłętej ciekawości, rzekła, rumieniąc się, do ojca:

— Papo, niech ten zegarek bije.

Doktor odwiązał kluczyk, nakręcił zegarek i wnet rozległ się dźwięk kryształowy, taki czysty, taki żywy, że dreszcz wesołości rozbudził poważne grono. We wszystkich oczach zabłyśły promienie:

— Jakie to ładne! jakie to ładne! — mówiły panny von Schwanthaler, z nieznanem dotąd u nich ożywieniem twarzy i drżeniem warkoczy.

A wtedy pan von Schwanthaler zawołał z tryumfem:

— Patrzcie na tego waryata Francuza! Bije ósmą a wskazuje trzecią!

Wszyscy śmieli się z tego do rozpuku i, pomimo spóźnionej pory, panowie zatopili się w teoryach filozoficznych i nieskończonych rozważaniach nad lekkomyślnością narodu francuskiego. Nikt nie myślał już o odejściu. Nie słyszano nawet, jak zegar z Polihymnią wybił godzinę dziesiątą, której straszny odgłos rozpraszał zazwyczaj całe towarzystwo. Wielki zegar nie rozumiał co się dzieje. Nie widział nigdy takiej wesołości w domu Schwanthalerów, ani gości tak późno w salonie. I stało się, że, gdy panny von Schwanthaler udały się do swojego pokoju, uczuły czczość w żołądku po tym śmiechu i długim czuwaniu i zapragnęły kolacyi; a nawet, sentymentalna Mina, przeciągając się, rzekła:

— Ach! zjadłabym chętnie łapkę homara.

Wesołości, dzleci, wesołości.

Raz nakręcony, zegarek z Bougivalu powrócił do swego życia rozwiązłego, do swych swywolnych obyczajów. Początkowo śmiano się z jego kaprysów; ale stopniowo, wsłuchując się w ten ładny dźwięk, który odzywał się na chybił trafił, poważny dom Schwanthalerów utracił poszanowanie czasu i zaczął spędzać dni z miłą niefrasobliwością. Myślano tylko o zabawie; życie wydawało się takie krótkie teraz, kiedy wszystkie godziny były pomieszane! Nastąpił ogólny zamęt. Precz z kazaniem, precz z lekcjami! Obudziła się potrzeba wrzawy, ruchu.

Mendelssohn i Schumann wydali się zbyt jednostajni; miejsce ich zajęła „Wielka księżna Gerolstein“ i „Mały Faust“, a panny grały, tańczyły, a znakomity profesor i doktor, ogarnięty również jakimś szałem, nie przestawał nawoływać: „Wesołości, moje dzieci, wesołości!...“ O wielkim zegarze nie było już wcale mowy. Panny zatrzymały wahadło, utrzymując, że przeszkadza im spać, i cały dom stosował się do kaprysu małego zegara, który tak naigrawał się z czasu.

Wówczas to ukazał się znakomity „Paradoks o zegarach“. Dla uczczenia tego faktu Schwanthalerowie wydali wielki wieczór, nie jeden z tych dawnych wieczorów akademickich, umiarkowanie oświetlonych i powściągliwie wesołych, ale wspaniały bal kostiumowy, na którym pani von Schwanthaler i jej córki ukazały się przebrane za wioślarki z Bougivalu, z obnażonymi rękoma, w krótkich spódnicach i w płaskich kapeluszach, opasanych jaskrawą wstążką. Całe miasto mówiło o tym balu, ale to był dopiero początek. Oburzone Monachium patrzyło całą zimę, jak przedstawienia amatorskie, żywe obrazy, kolacye, bakarat przeciągały przez salon akademika. „Wesołości, moje dzieci, wesołości!...“ powtarzał nieborak, coraz większym ogarnięty szałem i wszyscy w jego domu byli istotnie bardzo weseli. Pani von Schwanthaler, po tryumfach, odniesionych w charakterze wioślarki, nabrała upodobania do sportu wodnego i spędzała życie na Izarze, w cudacznych strojach. Panny, same teraz w mieszkaniu, brały lekcyje francuskiego od oficerów huzarów, którzy byli jeńcami w mieście; a zegarek, który miał wszelkie powody do przypuszczania, że jest jeszcze w Bougivalu, rzucał godziny w lot, bijąc zawsze ósmą, gdy wskazywał trzecią... Wreszcie, pewnego ranka, ten huragan szalonej wesołości

poniósł rodzinę Schwanthalerów do Ameryki a najpiękniejsze Tycyany z Pinakoteki towarzyszyły w ucieczce swemu znakomitemu konserwatorowi.

Zakończenie.

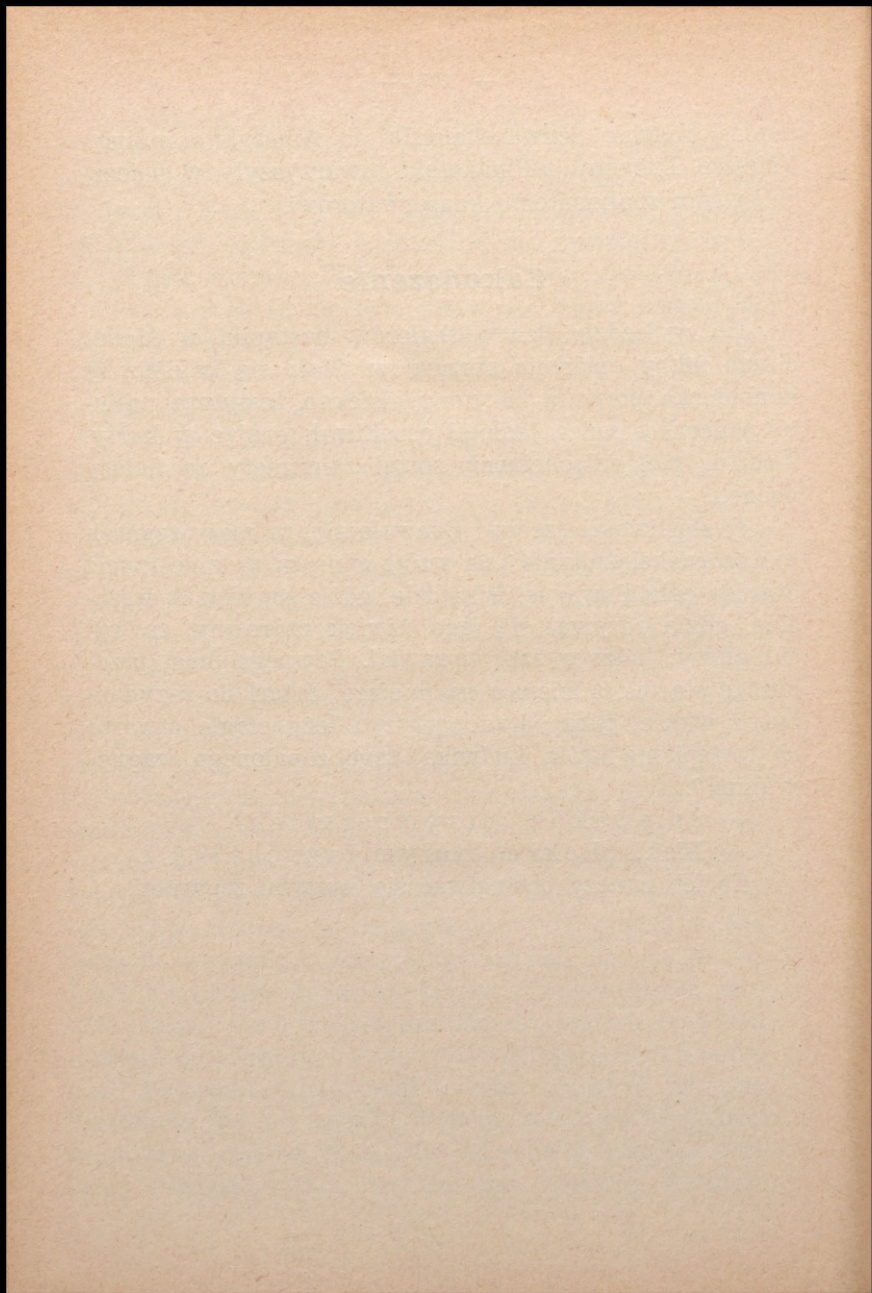
Po wyjeździe Schwanthalerów nastąpiła w Monachium jakby epidemia skandalów. Stało się kolejno, że kanoniczka porwała barytona, dziekan Instytutu poślubił tancerkę, radca teologii oszukiwał, grając w karty, klasztor pań szlachcianek został zamknięty za hałasy nocne...

O złośliwości rzeczy! Zdawało się, że mały zegarek był czarnoksiężnikiem i że wziął sobie za zadanie rzucić czar na całą Bawaryę. Wszędzie, gdzie się ukazał, wszędzie, gdzie odzywał się jego dźwięk czarowny, zawracał głowy, ludzi w szal wprawiał. Pewnego dnia, przenosząc się tak z miejsca na miejsce, dotarł do rezydencji, i wiecie, jaka odtąd partycja leży ciągle otwarta na fortepianie króla Ludwika, tego zapalonego wagneryanina?...

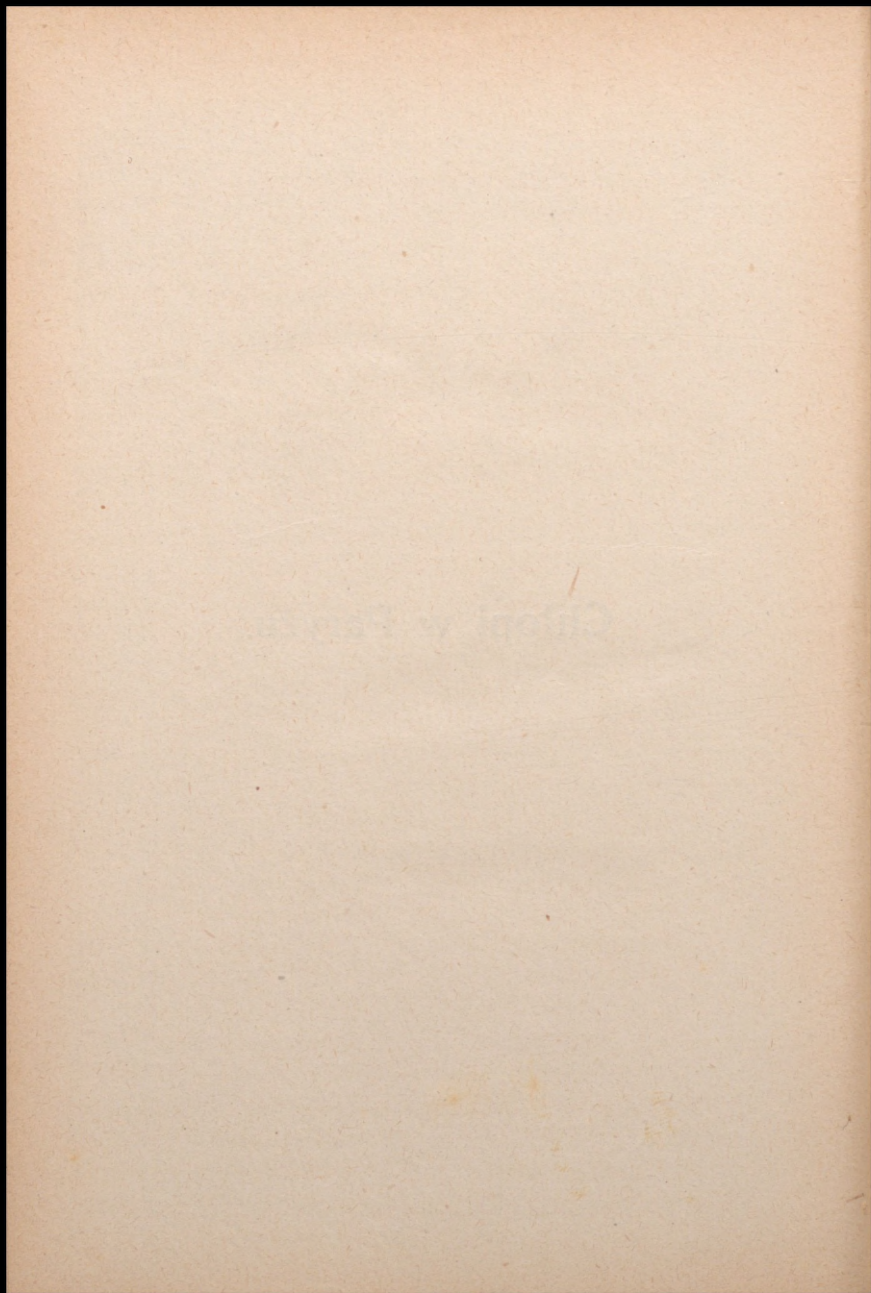
— Śpiewaków norymberskich?

— Nie!... Foki o białym brzuchu!!

To ich nauczy posługiwać się naszymi zegarami.



Chłopi w Paryżu.





Bitwa pod Artenay — 3 dn. grudnia 1870 roku.

Podczas oblężenia.

W Champrosay ludzie ci byli bardzo szczęśliwi. Miałem ich podwórze tuż pod oknami i przez sześć miesięcy w roku życie ich było potrosze w moje wplątane. Skoro świt, słyszałem, jak mąż wchodził do stajni, jak zaprzęgał wózek i odjeżdżał do Corbeil, gdzie sprzedawał swoje warzywa; potem żona wstawiała, ubierała dzieci, zwolywała kury, doila krowę i przez cały ranek rozlegał się tupot dużych i małych sabotów na drewnianych schodach... Po południu zalegała cisza. Ojciec był w polu, dzieci w szkole, matka, w milczeniu, rozwieszała bieliznę na podwórzu albo szyla przede drzwiami dając baczenie na najmłodszego... Od czasu do czasu ktoś przechodził drogą, zagadnął i matka gawędziła, nie wypuszczając igły z palców...

Pewnego razu, ku końcowi sierpnia — zawsze ten sierpień! — usłyszałem żonę, jak mówiła do sąsiadki:

— A jakże, Prusacy!... Alboż to oni są we Francyi?

— Są w Châlons, matko Janowo!... — krzyknąłem ze

swego okna. Śmiała się z tego do rozpuku... W tym małym zakątku departamentu Seine-et-Oise, chłopci nie wierzyli w najazd.

Codziennie wszakże przejeżdżały wozy, naładowane kuframi i meblami. Mieszczanie zamykali swe domy i w tym nudnym miesiącu, kiedy dni są takie długie, kwiaty wędły w ogrodach pustych i ponurych za zamkniętymi kratami... Stopniowo sąsiedzi moi zaczęli się niepokoić. Smucili się każdym nowym wyjazdem w okolicy. Bolało ich to opuszczenie... Naraz, pewnego ranka, rozległ się odgłos bębna na czterech krańcach wioski. A potem rozkaz merostwa. Trzeba jechać do Paryża, sprzedać krowę, paszę, nie zostawiać nic dla Prusaków... Mąż pojechał do Paryża, a podróż to była smutna. Na gościńcu ciężkie wozy przeprowadzkowe jechały gęsiego, razem ze stadami prosiąt i owiec, które błakały się między kołami, z wołami, które ryczały spętane na wózkach; na skraju drogi, wzdłuż rowów, biedni ludzie szli piechotą, popychając znów wózki ręczne, pełne mebli z dawnych czasów, spłowiałych foteli, stołów z epoki cesarstwa, zwierciadeł, przybranych płótnem kolorowem; jakaż rozpacz musiała wtargnąć do mieszkania, żeby poruszyć ten cały pył, te wszystkie relikwie i zniewolić właścicieli do wleczenia ich stosami po gościńcach.

U bram Paryża ludzie się dusili. Trzeba było czekać dwie godziny... Przez ten czas nieborak, przyciśnięty do swojej krowy, patrzył z przerażeniem na lufy dział, na rowy, wodą zapelnione, na fortyfikacye, które powstawały w oczach i na smukłe topole włoskie, powalone i zwiędłe na skraju drogi... Powrócił wieczorem przerażony i opowiedział żonie wszystko, co widział. Żona się przelękała, chciała ruszyć w drogę zaraz nazajutrz. Ale odkładali wyjazd z dnia na dzień... Trzeba było jeszcze tu coś zebrać z pola, tam zorać jeszcze parę

zagonów... kto wie, może zdążyłoby się nawet zebrać wino?... A nadto, w głębi duszy żywili słabą nadzieję, że może Prusacy nie przejdą przez ich miasteczko.

Pewnej nocy potężny huk zbudził ich ze snu. To most w Corbeil wyleciał w powietrze. W całej okolicy mężczyźni chodzili od drzwi do drzwi, pukali i wołali:

— Ułani! ułani! uciekajcie!...

Mąż i żona wstali co tchu, zaprzęgli konia do wózka, ubrali rozespiane dzieci i uciekli drogą boczną z kilku sąsiadami. Gdy stanęli na krańcu drogi, zegar na dzwonnicy wybił trzecią. Odwrócili się po raz ostatni. Sadzawka, plac kościelny, ich zwykłe drogi, ta, która schodzi do Sekwany i ta, która wije się między winnicami, wszystko wydawało im się już obce, a w obłokach białej mgły porannej opuszczona wioska tuliła w objęciach swoje domy, jakby drząc w pełnym grozy oczekiwaniu.

* * *

Są już w Paryżu. Zajmują dwa pokoje na czwartym piętrze w smutnej ulicy... Mąż nie rozpacza. Dano mu robotę; należy też do gwardyi narodowej; strzeże wałów, odbywa ćwiczenia i oszalał się, jak może, by zapomnieć o pustym śpichrzu i nieobsianych zagonach. Żona, dziksza, desperuje, nudzi się, nie wie co ze sobą począć. Dwie starsze córeczki umieściła w szkole, w ponurym budynku bez ogrodu, a dziewczątka duszą się, przypominając sobie ładny klasztor wiejski, gdzie było soło i rojno, jak w ulu i drogę przez las, którą szły codziennie, dążąc do klasztornej szkoły. Matka cierpi, widząc, że są smutne, ale najwięcej niepokoi ją mały.

Tam, na wsi, chodził, biegał, dreptał za nią wszędzie, na podwórzu, w domu, przeskakując przez próg tyle razy co i ona, zanurzał czerwone rączyny w balii,

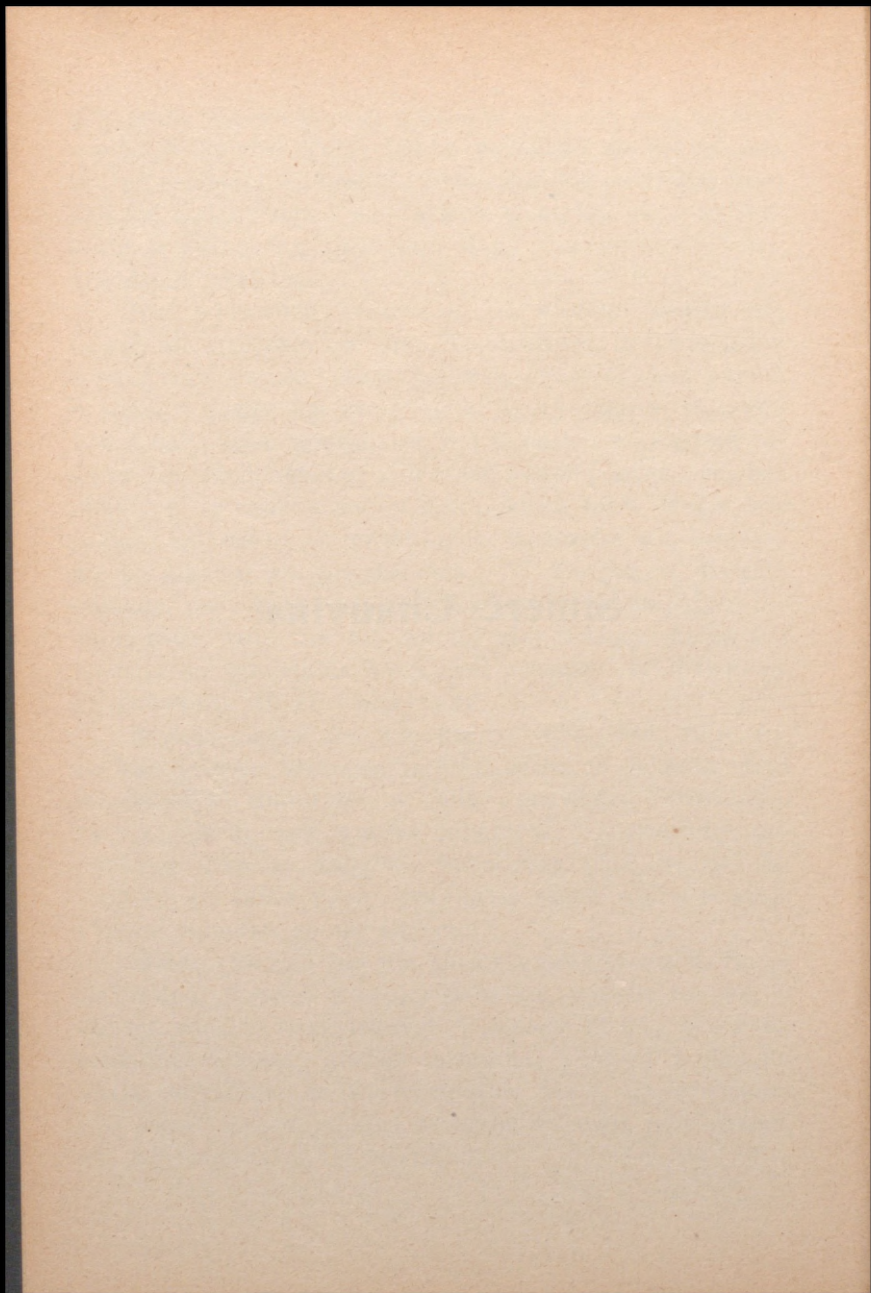
gdy prała, siadywał przy drzwiach gdy, dla odpoczynku, robiła pończochę. Tutaj trzeba wchodzić na cztery piętra, po schodach ciemnych, gdzie nogi się potykają, tutaj pali się nędzny ogień na wąskim kominku, okna są wysokie, a widnokrąg zasłaniają słupy szarego dymu i mokre dachy szyfrowe...

Jest wprawdzie podwórze, na którym mógłby się bawić, ale stróżowa nie chce. Te stróżowe, to także jeden z pomysłów miasta! Tam, na wsi, człowiek jest panem u siebie i każdy ma swój kącik, który strzeże się sam. Przez cały dzień mieszkanie jest otwarte; wieczorem zasuwana się wielki skobel z drzewa i dom pogrąża się bez obawy w tę czarną noc wiejską, która takie błogie sny zsyła. Od czasu do czasu pies zaszczeka na księżyc, ale to nikomu nie przeszkadza... W Paryżu, w ubogich domach, prawdziwą właścicielką jest stróżowa. Mały nie śmie zejść sam, tak się boi tej złej kobiety, która ich zmusiła do sprzedania kozy, pod pozorem, że rozwłóczy po podwórku słomę i obierzyny.

Biedna matka nie wie już co wymyśleć, żeby zerwać dziecko, które się nudzi; zaraz po obiedzie otula je, jakgdyby mieli iść w pole i prowadzi, trzymając za rękę, po ulicach, wzdłuż bulwarów. Wystraszony, popychany dzieciak zaledwie śmie rozglądać się dokoła. Zajmują go tylko konie; jedyna to rzecz, którą poznaje i która pobudza go do śmiechu.

Matce również nic nie sprawia przyjemności. Snuje się wolno, myśląc o swoim dobytku, o domu swoim, a kto ich widzi przechodzących, kobietę o twarzy uczciwej, schludnie ubraną, gładko uczesaną, i malca z okrągłą buzią, odgaduje, że są w mieście obcy, na wygnaniu i że całym sercem tęsknią za orzeźwiającym powietrzem, za samotnością dróg wiejskich.

Śmierć Chauvina.





Szarża kirasyerów pod Reishoffen dn. 6 sierpnia 1870 r

W niedzielę sierpniową, w wagonie, na samym początku wypadków, które nazywano zajściem hiszpańsko-pruskim, spotkałem go po raz pierwszy. Nie widziałem go nigdy, a mimo to poznałem go od razu. Wysoki, suchy, siwawy, twarz miał rozplomienioną, nos jak dziób krogulca, oczy okrągłe, zagniewane, przybierające miłe spojrzenie tylko dla pana z orderem, który siedział w kącie; czoło jego było niskie, wąskie, uparte, jedno z tych, na których ta sama ciągle myśl, pracując nieustannie na tem samym miejscu, wyźłobi w końcu jedną tylko bruzdę, bardzo głęboką; w obejściu miał coś dobrodusznego; nadewszystko zaś zwracał uwagę straszliwy sposób, w jaki grzechotał rr, mówiąc o „Francyi“ i o „sztandarze ffrancuskim“. Powiedziałem sobie: „To Chauvin!“

Był to istotnie Chauvin i Chauvin w najlepszych czasach, deklamujący, giestykulujący, policzkujący Prusy

dziennikiem, wkraczający do Berlina, z laską, w górę wzniesioną, pijany, głuchy, ślepy, wściekły szaleniec. Wojna! trzeba mu było wojny za jakąbądź cenę!

— A jeśli nie jesteśmy gotowi, panie Chauvin?...

— Panie, Francuzi są zawsze gotowi!... — odpowiadał Chauvin, prostując się, a z pod najeżonych wąsów owe rr wybiegały takie groźne, że szyby drżały...

Glupi, drażniący człowiek! Jak dobrze rozumiałem wszystkie drwiny, wszystkie piosenki, które, krążąc dookoła jego nazwiska, wytworzyły mu śmieszłą sławę!

Po tem pierwszym spotkaniu, przysiągłem sobie, że go będę unikał; ale szczególny fatalizm stawiał go prawie nieustannie na mojej drodze. Najpierw w senacie, tego dnia, kiedy pan de Gramont przybył oznajmić uroczyste naszym senatorom, że wojna została wypowiedziana. Naraz w trybunach rozległ się krzyk potężny: „Niech żyje Francya!“ i ujrzałem tam, wysoko, pod fryzem, wymachujące wielkie ręce Chauvin'a. Wkrótce potem spotkałem go znów w Operze—stał przed lożą Girardin'a, domagał się by śpiewano Ren niemiecki i do śpiewaków, którzy go jeszcze nie umieli, krzyczał: „Dłużej zatem potrwa ta nauka, niż zabranie Renu!...“

Niebawem zaczął mnie poprostu prześladować. Wszędzie, na rogu ulic, bulwarów, sterczący na ławce, na stole, ten głupi Chauvin ukazywał mi się wśród powiewających sztandarów, wśród dźwięków Marsylianki; rozdawał cygara wyruszającym w pole żołnierzom, zęgnął oklaskami ambulanse, przewyższał tłum całą swoją rozplomioną głową, a taki był hałaśliwy, taki wrzeszczący, tak go wszędzie było pełno, iż zdawało się, że krążyło po Paryżu sześćset tysięcy Chauvin'ów. Doprawdy, brała ochota zamknąć się u siebie, zatarasować drzwi i okna, by się uchronić od tej wizyi nieznośnej...

Ale jak tu wytrzymać w domu po Wissemburgu, Forbachu i całym szeregu klęsk, które zamieniły nam ten smutny sierpień na długą, nieprzerwaną prawie, zmore, na zmore letnią, gorączkową i ciężką! Jak nie przyłączyć się do tego, pełnego niepokoju, tłumu, który chwycił nowiny, biegł czytać plakaty, ukazując przez całą noc w świetle płomieni gazowych, twarze przerażone, wzburzone? I w ciągu tych wieczorów również spotykałem Chauvin'a. Chodził po bulwarach, od jednego grona ludzi do drugiego, przemawiał do milczącego tłumu, pełen nadziei, dobrych nowin, pewien powodzenia, mimo wszystko, powtarzając dwadzieścia razy z rzędu, że „biali kirasyerzy Bismarck'a zostali wycięci w pień...”

Rzecz szczególna! Chauvin nie wydawał mi się już taki śmieszny. Nie wierzyłem ani słowa z tego, co mówił, ale wszystko mi było jedno — słuchałem go z przyjemnością. Pomimo całego jego zaślepienia, pomimo jego szalu pychy, nieuctwa, czuć było w tym dyabelnym człowieku siłę żywą i wytrwałą, niby płomień wewnętrzny, który rozgrzewał serce.

Potrzeba nam było bardzo tego płomienia podczas długich miesięcy obleżenia, podczas tej strasznej zimy, spędzanej o psim chlebie i końskim mięsie. Wszyscy Paryżanie mogą to poświadczyć: gdyby nie Chauvin, Paryż nie byłby się ostał nawet tygodnia. Od początku Trochu mówił: „Wkroczą, gdy zechcą”.

— Nie wkroczą — mówił Chauvin.

Chauvin miał wiarę, Trochu jej nie miał. Chauvin wierzył we wszystko, wierzył w sporządzone plany, w Bazaine'a, w wymarsze; co noc słyszał armatę Chanzy'ego od strony Etampes, strzały karabinowe Faidherbe'a za Enghien, a co najdziwniejsze, że słyszeliśmy je także —

tak dalece w końcu udzieliła nam się dusza tego bohaterskiego głupca.

Dzielny Chauvin!

On pierwszy spostrzegał zawsze na tle nieba niskiego, żółtawego, brzemienneo chmurami śniegowemi, białe skrzydełka gołębi. Gdy Gambetta przysłał nam jedną ze swoich wymownych taraskonad, Chauvin, swoim donośnym głosem, deklamował ją u drzwi merostw. Podczas mroźnych nocy grudniowych, gdy długie, dygocące z zimna szeregi czekały w ponurem milczeniu przed jatkami, Chauvin stawał wraz z nimi i, dzięki jemu, wszyscy ci zgłodniaли mieli jeszcze siłę śmiać się, śpiewać, tańczyć po śniegu...

Le, lon, la, laissez - les passer, les Prussiens dans la Lorraine, intonował Chauvin, a kalosze klapały w takt, a poblądłe twarze pod wełnianymi kapturkami odzyskiwały na chwilę rumieńce. Niestety! wszystko to na nic się nie przydało. Pewnego wieczora, przechodząc mimo ulicy Drouot, ujrzałem tłum wylekły, który tłoczył się w milczeniu dokoła merostwa i w tym wielkim Paryżu, bez pojazdów, bez światła, usłyszałem głos Chauvin'a, który nabrzmiewał uroczyście: „Zajmujemy wzgórze Montretout.“ W tydzień później nastąpił koniec.

Odtąd Chauvin ukazywał mi się już tylko w długich przerwach. Kilka razy spostrzegłem go na bulwarze, jak, giestykulując, mówił o odwecie; ale nikt go już nie słuchał. Paryż wytworny rad był coprędzej wrócić do rozrywek, Paryż robotniczy do swych uraz i żalów, a biedny Chauvin napróżno wymachiwał wielkimi rękoma, gromady ludzi zamiast się zbierać, rozpraszały się za jego zbliżeniem.

-- Gaduła -- mówili jedni.

— Szpicel! — mówili drudzy.

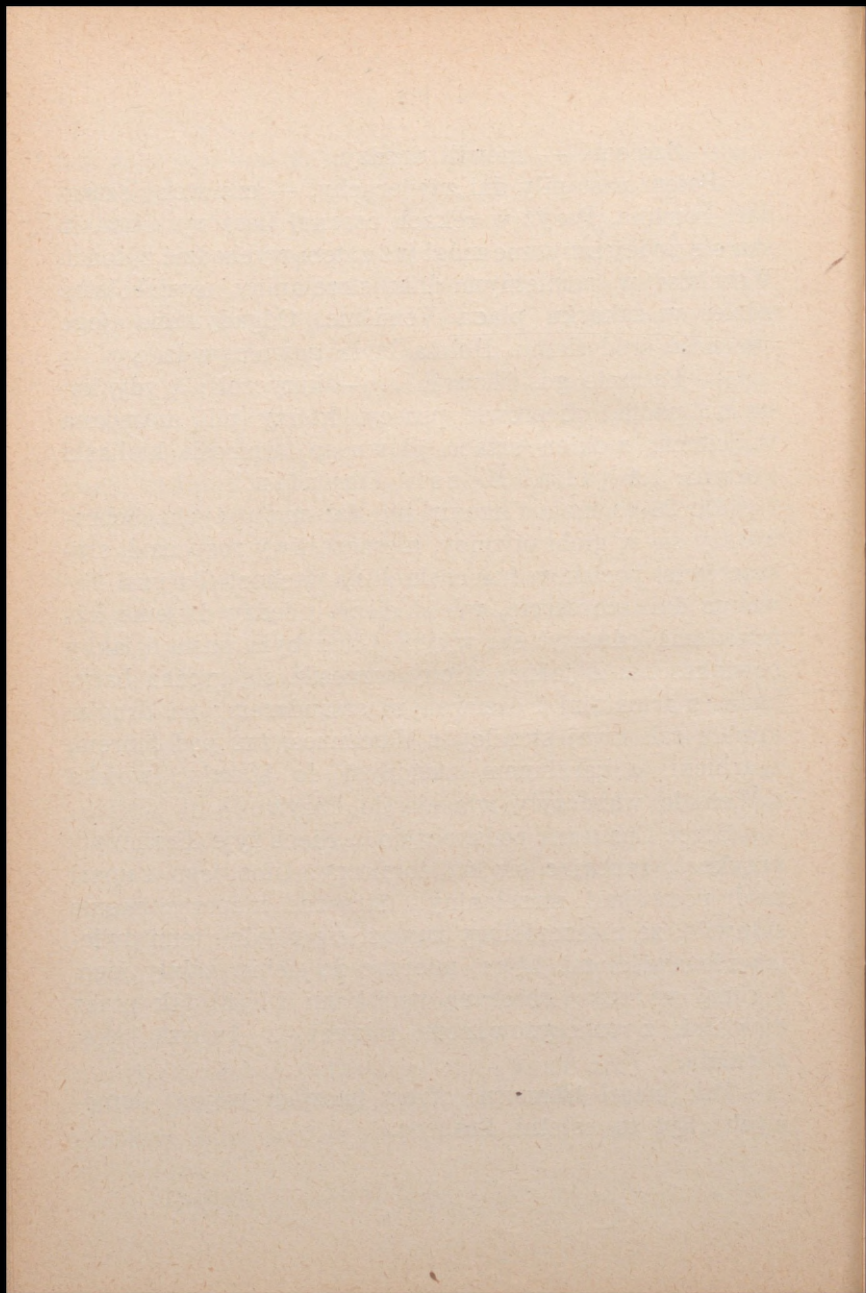
Potem nastąpiły dni zawieruchy, — czerwony sztandar, komuna, Paryż w rękach czarnej tłuszczy. Chauvin stał się podejrzany, nie mógł już zatem wychodzić z domu. Wszelako w pamiętnym dniu strzelaniny musiał stać gdzieś w zakątku placu Vendôme. Odgadywano jego obecność wśród tłumu. Hołota lżyła go, nie widząc.

— Patrzcie go, Chauvin!... — krzyczeli; a gdy kolumna padła, oficerowie pruscy, którzy pili szampana w jednym z okien sztabu głównego, wzniesli kieliszki i drwili: „A! a! a! Mossié Chauvin!”

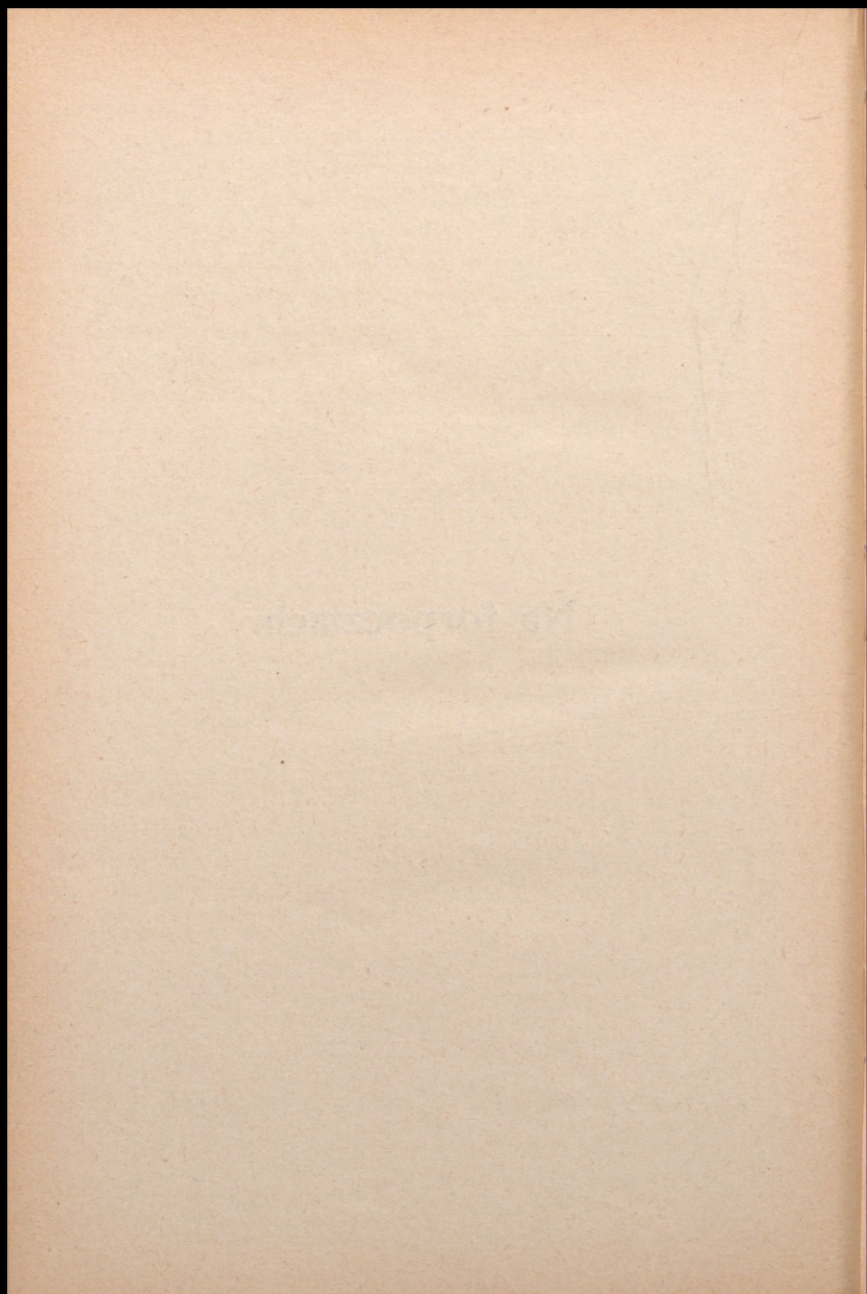
Do 23-go maja Chauvin nie dał znaku życia. Schroniwszy się w głębi piwnicy, nieszczęśliwy rozpaczał, słysząc świst pocisków francuskich na dachach Paryża. Pewnego dnia nareszcie, wśród ciszy, między dwiema kanonadami, odważył się wyjść. Ulica była pusta i jakby powiększona. Z jednej strony wznosiła się groźna barykada, z armatami i czerwonym sztandarem; na drugim krańcu szli dwaj strzelcy z Vincennes, tuż pod murem, zgarbieni, z karabinem złożonym do strzału: wojska z Wersalu wkroczyły właśnie do Paryża...

Serce Chauvina podskoczyło: „Niech żyje Francya!” krzyknął, rzucając się na żołnierzy. Głos jego zamarł wśród podwójnej strzelaniny. Straszne nieporozumienie sprawiło, że nieszczęśliwy znalazł się między temi dwiema nienawiściami, które, mierząc do siebie, zabiły jego. I runął na szosę rozoraną pociskami i leżał tak przez dwa dni, z rozkrzyżowanemi rękoma, z twarzą skamieniałą.

Tak umarł Chauvin, ofiara naszych wojen domowych. Był to ostatni Francuz.



Na forpocztach.





Brygada Ricciottiego zdobywa sztandar nieprzyjacielski
dn. 13 listopada 1870 r.

Z czasów oblężenia.

Notatki niniejsze spisywałem z dnia na dzień, obiegając forpoczty. To kartka, którą wrywam ze swego notatnika, gdy wre jeszcze oblężenie Paryża. Wszystko to postrzępione, sklecone na kolanie, porozrywane, jakby od wybuchu granatu; ale nie zmieniam nic, nie odczytuję nawet tego, com pisał, bo się obawiam, że zdjęłaby mnie ochota improwizowania, dodania zajmujących a zmyślonych szczegółów i zepsułbym wszystko.

W Courneuve, pewnego poranku grudniowego.

Równina biała od mrozu, powietrze czyste, ostre, echo donośne. Po zmarzniętym błocie gościńca maszerują w nieładzie bataliony szeregowców z artylerią. Marsz to wolny i smutny. Mają się bić. Żołnierze, idąc, potykają się, pospuszczali głowy, szcękają zębami z zimna,

karabin przewiesili przez ramię a ręce wsunęli w kołdry, jak w mułki. Od czasu do czasu okrzyk:

— Stój!

Konie się płoszą, rżą. Jaszczyki podskakują. Artylerzyści unoszą się w siodłach i, zaniepokojeni, spoglądają po za wysoki biały mur Bourget'u.

— Widać ich? — pytają żołnierze, przytupując nogami...

I znów dalej naprzód!... Fala ludzka, przez chwilę powstrzymana, rozlewa się powolna, milcząca.

Na bastyonie fortu w Aubervilliers dowódca ze sztabem głównym tworzy niewielką grupę i odcina się na widnokręgu, na zimnem niebie, rozświetlonem wschodem słońca z przygaszonego srebra, jakby na tle japońskiej konchy perłowej. Bliżej mnie, na skraju gościńca wielki rój czarnych wron — to sami bracia sanitaryusze. Stoją, skrzyżowawszy ręce pod płaszczami i, pokorni, pełni poświęcenia, smutni przyglądają się marszowi tej „strawy armatniej“.

Tego samego dnia. — Puste, opuszczone wioski, otwarte domy, podziurawione dachy, okna bez okienic, które patrzą niby oczy umarłych. — Chwilami w ruinach, w których wszystko donośnem odzywa się echem, słyhać, jak coś się rusza, odgłos kroków, skrzypnięcie drzwi; i gdy mijasz ruinę, wychodzi na próg szeregowiec, z okiem zapadłem, nieufnem — maruder, który szuka lupu, albo dezercer, który usiłuje się ukryć...

Około południa, wszedłem do jednego z tych domów chłopskich. Pusty był i ogołocony, jakby odrapany paznokciami. Izba parterowa, wielka kuchnia bez drzwi i okien, wychodziła na podwórze; w głębi podwórza żywopłot, a za nim wieś, równina bez końca. W jednym z rogów domu wiły się kręte schodki kamienne. Usia-

dłem na stopniu i siedziałem tak długo. To słońce i ta wielka cisza takie były błogie. Kilka wielkich much, pozostałych z lata, ożyło pod wpływem światła i brzęczało na belkach sufitu. Przed kominem, gdzie widniały jeszcze ślady ognia, leżał kamień, zaczerwieniony od krwi zamarzętej. Kamień okrwawiony obok ciepłych jeszcze popiołów opowiadał o ponurej nieprzespanej nocy.

Wzdłuż Marne'y

Wyszedłem 3-go grudnia bramą od Montreuil. Niebo stało nisko — zimny wicher, mgła.

W Montreuil nikogo. Drzwi i okna zamknięte. Z za parkanu dobiegło mnie gęganie stada gęsi. Stąd chłop nie uciekł. Ukrywa się. Nieco dalej otwarta szynkownia. Ciepło, piec huczy. Trzej rezerwiści z prowincyi jedzą śniadanie. Nieboracy oczy mają obrzękłe, twarz rozpromienioną, oparli łokcie na stole, śpią i jedzą jednocześnie...

Opuściwszy Montreuil, przechodzę przez lasek Vincennes, cały błękitny od dymu biwakowego. Stoi tam armia Ducrot'a. Żołnierze, dla rozgrzania się, ścinają drzewa. Litość bierze patrzeć na unoszone osiny, brzozy, młode jesiony; korzenie ich sterczą w powietrzu, cienkie, złociste włosy wloką się za nimi po drodze.

W Nogent znów żołnierze. Artylerzyści w wielkich płaszczach, rezerwiści z Normandyi, pyzaci i okrągli, jak jabłka, mali, zwinni zuawi w kapturach, szeregowcy, zgarbieni, złamani we dwoje, z pod kepi wygląda im niebieska chustka, którą owiazali dokoła uszu; ulice roją się od nich — wszystko to popycha się i tłoczy do drzwi dwóch sklepów korzennych, które pozostały otwarte. Jakby w miasteczku algierskiem.

Nareszcie znów wieś. Długa prosta droga, schodzą-

ca do Marne'y. Przedziwny widnokrąg barwy perłowej, drzewa ogolococone, drżące wśród oparów. W głębi wielki wiadukt kolejowy ponury przedstawia widok ze swymi przeciętymi łukami, jakgdyby mu brakło zębów. Przechodząc przez le Perreux, w jednej z małych willi, stojących na skraju drogi, wśród spustoszonych ogrodów i zniszczonych domów, dostrzegłem za kratą trzy wielkie białe złocenie, w pełni rozkwitu; uszły rzezi. Pchnąłem kratę, wszedłem, ale były takie piękne, że nie śmiałem ich zerwać.

Na przełaj, przez pola, zeszedłem do Marne'y. Gdy stanąłem nad brzegiem rzeki, słońce, otrząsnawszy się z obłoków, padało całym blaskiem na powierzchnię wody. Cudny widok. Naprzeciwko Petit-Bry, gdzie stoczono dnia poprzedniego taką walną bitwę, rozpościera w spokoju swoje białe domeczki na wybrzeżu wśród winnic. Z tej strony rzeki łódka stoi w sitowiu. Na brzegu grono mężczyzn rozmawia, patrząc na brzeg przeciwległy. To wywiadowcy, których wysyłają do Petit-Bry, żeby zobaczyć, czy też Saksończycy powrócili. Przeprowadzam się z nimi. Podczas jazdy baczkiem jeden z nich, siedzący z tyłu, mówi mi pocichu:

— Jeśli pan chce mieć szaspoty, pełno ich na me-rostwie w Petit-Bry. Zostawili tam też pułkownika piechoty; wysoki blondyn, cerę ma białą, jak kobieta, i nowiuteńkie żółte buty.

Buty nieboszczyka zwłaszcza utkwily mu w pamięci. Powracał do nich.

— Do stu katów! co to za buty! — i oczy iskrzyły mu się na to wspomnienie.

Wchodzimy do Petit-Bry, a tu marynarz, niosąc pod pachami cztery czy pięć szaspotów, wypada z uliczki i, biegnąc ku nam, woła:

— Baczość! Prusacy.

Chowamy się za niski murek i patrzymy.

Nad nami, na szczycie winnic, zarysowuje się najpierw melodramatyczna sylwetka jeźdźca, pochylonego naprzód w siodle, kask ma na głowie a muszkiet w pięści. Po chwili nadjeżdżają inni jeźdźcy, a potem piechury, którzy, czołgając się, rozpraszają się po winnicach.

Jeden z nich — tuż przy nas prawie — zajął pozycję za drzewem i nie rusza się; wielki chłop w długiej kapocie brązowej, z głową owiazaną kolorową chustką. Z miejsca, w którym staliśmy, możnaby go świetnie ustrzelić. Ale poco?... Wywiadowcy już wiedzą, co chcieli wiedzieć. A teraz prędko do łódki; przewoźnik zaczyna kłać. Przeprowadzamy się z powrotem Marne'ą, bez przeszkody... Ale zaledwie dobiliśmy do brzegu, stłumione głosy wołają ze strony przeciwległej:

— Hola! łódka!...

To mój amator butów z kilku towarzyszami próbowali dotrzeć do merostwa i wracają śpiesznie. Na nieszczęście niema już nikogo, któryby pojechał po nich. Przewoźnik znikł.

— Nie umiem wiosłować — mówi do mnie żalśnie sierżant, wsunawszy się wraz ze mną w jakąś rozpadlinę nad brzegiem rzeki. A tymczasem tamci się niecierpliwia:

— Przyjeżdżajcie! przyjeżdżajcie!

Trzeba jechać. Ciężka sprawa. Nielatwo płynąć po Marnie. Wiosłuję co siła a przez cały czas czuję za plecami Saksończyka na górze, który się na mnie patrzy, nieruchomy za drzewem...

Gdy dobiliśmy do brzegu, jeden z czekających wskoczył do łódki z takim impetem, że napelniła się wodą. Niepodobna było zabrać wszystkich, nie narażając się na zatonięcie. Na brzegu pozostaje najodważniejszy — ka-

pral wolnych strzelców, ładny chłopiec, w niebieskim mundurze, z ptaszkiem, przypiętym do kaszkietu na przodzie. Radbym był powrócić, by go zabrać; ale zaczynała się już strzelanina z brzegu na brzeg. Czekał przez chwilę, nie mówiąc; poczem umknął w stronę Champigny, sunąc tuż pod murem. Nie wiem, co się z nim stało.

Tego samego dnia.—Gdy pierwiastek dramatyczny przyłącza się do pierwiastku groteskowego, zarówno w rzeczach jak i w ludziach, powstają stąd efekty grozy lub wrzszęcia iezwynnkłej siły. Czy wielki bbl, malujący się na twarzy śmiesznej, nie wzrusza stokroć głębiej niż na innem obliczu? Czy wyobrażacie sobie filistra Daumier'a wobec grozy śmierci albo płaczącego gorącemi łzami nad zwłokami syna, które mu przyniesiono? Czy nie jest to szczególnie rozdzierające?... Otóż, wszystkie te wille mieszczkańskie na wybrzeżu Marne'y, te domki zabawne a barwne, bladoróżowe, jasnozielone, żółte, jak kanarki, z wieżyczkami średniowiecznymi, pokrytymi cynkiem, te kioski, te ogródki rokokowe, gdzie migocą kule z białego metalu — teraz w dymie bitwy z dachami podziurawionymi przez granaty, z połamanymi chorągiewkami, potrzaskanymi murami, ze smugami krwi mają dla mnie taką przerażającą fizyonomię...

Dom, do którego schroniłem się, by osuszyć ubranie, był domem tego typu właśnie. Wszedłem do saloniku z czerwonym obiciem i złoceniami. Nie zdążono go nawet wytapetować. Na ziemi leżały rolki tapet i kawałki złotych listewek; zresztą ani śladu mebli, same skorupy butelek a w kącie siennik, na którym spał człowiek w bluzie. A nad tem wszystkiem unosiła się woń prochu, wina, świecy, zbutwiałej słomy... Grzeją się przed kominem głupim, z różowego stiuku. Chwilami, gdy na niego patrzę, wydaje mi się, że spędzam popołudnie niedzielne na wsi u poczciwych małomieszczan. Czy to nie

grają w kości za mną, w salonie?... Nie! to wolni strzelcy ładują i wyładowują szaspoty. Pominawszy huk, ten sam zupełnie szmer: tryk — trak... Na każdy strzał odpowiadają nam strzałem z przeciwległego wybrzeża. Odgłos pada na wodę, odbija się i rozbrzmiewa bez końca między pagórkami.

Przez strzelnicę w salonie widać iskrzącą się Marnę, wybrzeże w słońcu skąpane i Prusaków, którzy wystawiają, jak wielkie charty, po przez tyki w winnicach.

Wspomnienie z fortu Montrouge.

Na samej górze fortu, na bastyonie, we framudze długie działa marynarki wznosiły się dumnie, wyprostowane niemal w swoich łożyskach, stawiały czoło Chatillon'owi. Patrząc na ich paszcze rozwarte, na antaby z obu stron odstające, niby para uszu, możnaby mniemać, że to wielkie psy myśliwskie, które szczekają na księżyc, wyją na śmierć... Nieco niżej, na płaszczyźnie, marynarze dla rozrywki urządzili, jakby w zakątku okrętu, miniaturowy ogród angielski. Były tam, ławka, altanka, trawniki, skały a nawet drzewo bananowe. Niewielkie oczywiście, nie wyższe od hyacintu, ale mniejsza o to! Rozwijało się a zielony jego pióropusz radował oko, odcinając się mile śród worków z ziemią i stosów grnatów.

Ach! ten ogródek fortu Montrouge! Chciałbym, żeby go otoczono kratą i żeby tam ustawiono nagrobek, na którym byłyby wyrte nazwiska Carvès'a, Desprez'a, Saisset'a i wszystkich dzielnych marynarzy poległych tam, na tym bastyonie honorowym.

W Fouilleuse.

Dzień 20-ty stycznia rano.

Pogoda ładna, powietrze łagodne, mgliste. Przedemną

wielkie obszary ziemi ornej, falującej w dali jak morze. Na lewo wysokie pagórki piaszczyste, które służą za szaniec fortowi Mont-Valérien. Na prawo młyn Gibet'a, mały młyn z kamienia, o skrzydłach złamanych, z baterią na platformie. Przez kwadrans dążyłem długą drogą, która prowadzi do młyna i na której unosi się jakby lekka mgła od rzeki idąca. To dym z biwaków. Żołnierze skuleni przyrządzają kawę i dmuchają w stos gałęzi zielonych, a dym ich oslepia i dławi. Przez całą drogę biegnie przeciągły, głuchy kaszel...

Fouilleuse. Ferma podszyta lasem. Przybyłem wczas, by widzieć jeszcze cofanie się naszych ostatnich szeregów. To trzeci paryski pułk rezerwy. Maszeruje w porządku z dowódcą na czele. Po niezrozumiałej rozsypce, której jestem świadkiem od wczorajszego wieczora, dodaje mi to nieco otuchy. Za szeregami żołnierzy mijają mnie dwaj mężczyźni konno — generał i jego adjutant. Konie idą stępa; mężczyźni rozmawiają, głosy dźwięczą. Słysząc głos adjutanta, głos młody, uniżony:

— Tak, generale... O! nie, generale... Niewątpliwie, generale.

A generał mówi tonem łagodnym, rozdzierająco smutnym:

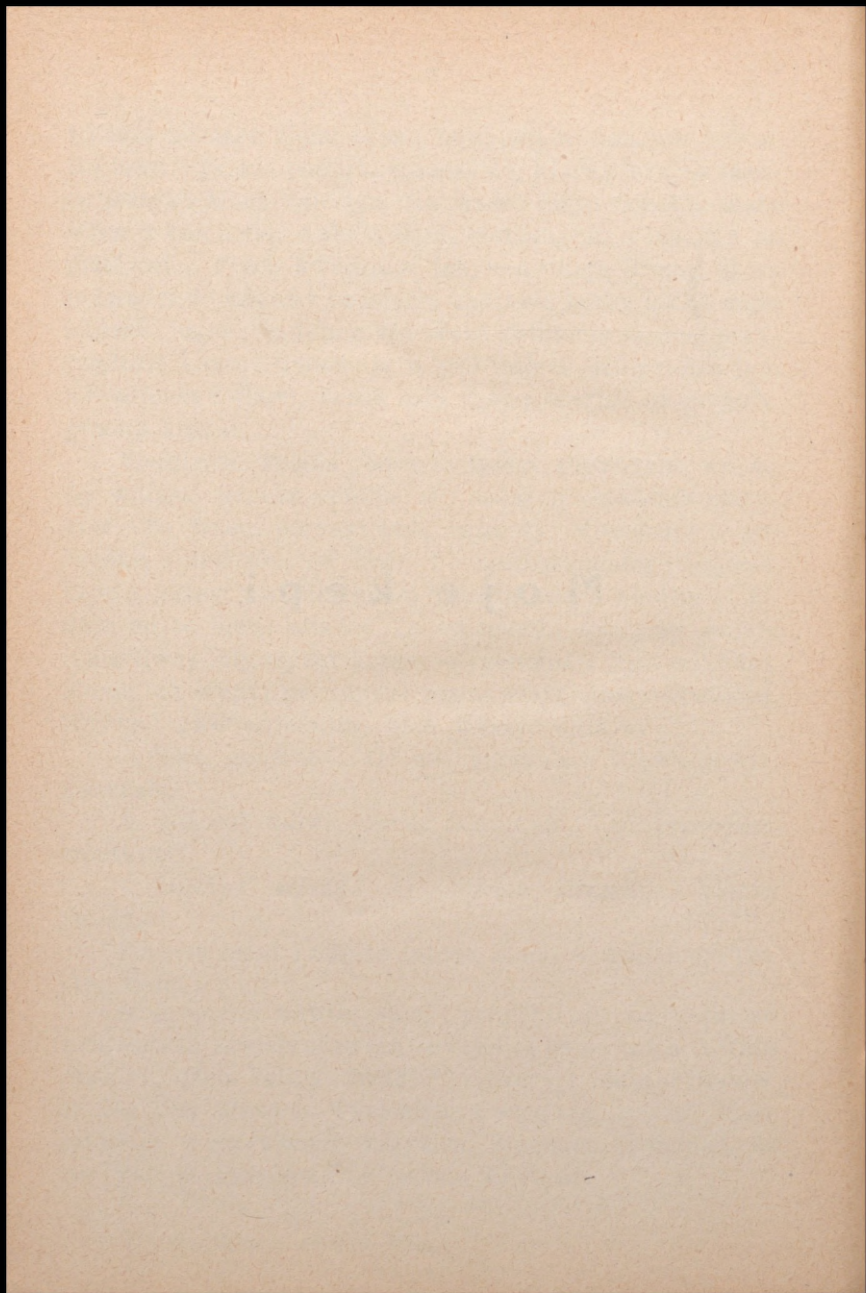
— Jakto! zabity! O! biedne dziecko... biedne dziecko!...

Poczem cisza i odgłos tupotu kopyt końskich na tłustej ziemi...

Stoję przez chwilę sam i przypatruję się pełnemu melancholii krajobrazowi, który ma w sobie coś z równin Mitidży, albo doliny Szelifu*). Szeregi sanitaryuszów w szarych bluzach wychodzą z wąwozu, niosąc biały sztandar z czerwonym krzyżem. Możliwy mniemać, że się jest w Palestynie w epoce krucyat.

*) W Algierze. (Przyp. tłóm.)

M o j e k e p i .





Bitwa pod Champigny dn. 2 grudnia 1870 roku.

Znalazłem je dzisiaj rano w głębi szafy, gdzie spoczywało zapomniane, zniszczone, zakurzone, wystrzępione na brzegach, z rdzą na cyfrach, prawie bez barwy i bez kształtu. Spojrzawszy na nie, nie mogłem się powstrzymać od śmiechu...

— Patrzcie! moje kepi!...

I niezwłocznie przypomniałem sobie ów dzień pod koniec jesieni, gorący od blasku słońca i od zapału powszechnego, ów dzień, kiedy dumny z nowego stroju głowy, uderzając karabinem o wystawy sklepowe, śpieszyłem ulicą, by połączyć się z batalionami swojej dzielnicy i spełniać obowiązek żołnierza-obywatela. Ach! ten, który byłby mi powiedział, że ja sam jeden nie ocaleę Paryża, nie oswobodzę Francji, byłby z pewnością naraził się na to, że wpakowałbym mu w brzuch cały bagnet swego karabinu...

Ludzie tak wierzyli w tę gwardyę narodową! W ogrodach publicznych, na skwerach, w alejach, w zaułkach, kompanie ustawiały się w szereg bojowy, numerowały się, bluzy stawały w szeregu z mundurami, kaszkiety z ke-

pi; pośpiech bowiem był wielki. My zaś, co rano, zbieraliśmy się na placu okolonym niskimi arkadami, szerokiemi drzwiami, pełnym mgieł i przeciągów. Po apelu, gdy już zapisano setki nazwisk do komicznej książki, zaczęły się ćwiczenia. Z łokciami przy bokach, z zaciśniętymi zębami, oddziały ruszały krokiem marszowym: Lewa, prawa! lewa, prawa! I wszyscy, wielcy i mali, kalecy i pozerzy, i ci, którzy nosili mundur, jak na scenie, i prostacy, oplątani wysokimi pasami niebieskimi, które im nadawały pozór dzieci z chóru, maszerowaliśmy dokoła naszego placyku z takim zapalem, z taką wiarą...

To wszystko byłoby bardzo śmieszne, gdyby nie głęboki bas armaty, nie ten ciągły akompaniament, który dodawał powagi naszym manewrom, surowości zbyt łagodnej komendzie, tłumił niezręczność, zacierał brak wprawy i w wielkim melodramacie obleżonego Paryża odegrywał rolę muzyki, stosowanej w teatrze dla dodania patosu sytuacyom scenicznym.

Najlepiej podobało nam się wchodzenie na wał... Widzę siebie jeszcze, przechodzącego dumnie w owe mgliste ranki przed kolumną lipcową i oddającego jej honory wojskowe: Na ramię broń! I te długie ulice Charonne'y, pełnej ludzi, śliskie bruki, na których z taką trudnością utrzymywaliśmy się w szeregach; a potem, zbliżając się do bastyonów, bębny nasze były: Trrr! trrr!... Zdawało mi się, że już jestem na polu bitwy... Takie to było przejmujące, ta granica Paryża, te zielone zbocza, pełne bruzd od kół armatnich, ożywione rozstawionymi namiotami, dymem biwaków i te sylwetki zmniejszone, które błąkały się na samej górze, przewyższając stosy worków czubkiem kepi i ostrzem bagnetów.

Ach! moja pierwsza warta nocna, ten marsz po omac-

ku śród ciemności, w deszcz, kiedy patrol, tłocząc się i popychając wzdłuż przemokłych stoków, rozpraszał się po drodze i zostawił mnie ostatniego, przy bramie Montreuil, na znacznej wysokości. Co za psi czas mieliśmy owej nocy! Śród wielkiej ciszy, rozpostartej nad miastem i nad wsią, słychać było tylko świst wichru, który hulał dokoła szańców, uginał wartę, porywał hasła i trzaskał szybami starej latarni w dole na drodze warty nocnej. Licho nadało z tą latarnią! zdawało mi się za każdym razem, że słyszę wlokącą się szablę ułana i stałem z bronią do strzału złożoną, z okrzykiem: kto idzie! na ustach... Nagle deszcz stawał się coraz zimniejszy. Niebo zaczęło świtać nad Paryżem. Z ciemności wyłaniała się wieża, kopuła. Dorożka toczyła się w dali, dzwon rozbrzmiewał Miasto-olbrzym budziło się i w pierwszym dreszczu porannym strząsało nieco życia naokół. Kogut zajął po drugiej stronie zbocza... U moich stóp, na czarnej jeszcze drodze warty nocnej, rozlegał się odgłos kroków, brzęk żelaza; i na moje: Stój! kto idzie? rzucone głosem straszonym, głosik cienki, nieśmiały i drżący dobiegł mnie przez mgłę:

— Handlarka kawy!

Trudno! Były to pierwsze dni oblężenia i wyobrażaliśmy sobie, my, biedni, naiwni milicyjanci, że Prusacy, pod ogniem fortów, przyjdą aż do stóp szańców, przystawią drabiny i wdrapią się pewnej pięknej nocy śród okrzyków: hurra! rozpraszając ciemności lancami... Wobec tak podnieconej wyobraźni, popłochu bywało co niemiara... Co noc prawie rozlegały się okrzyki: „Do broni! do broni!“; zrywaliśmy się nagle ze snu, potykaliśmy się, przewracając broń ustawioną w kozły a oficerowie, przerażeni, krzyczeli: „Zimnej krwi! zimnej krwi!“, próbując w ten sposób sobie samym jej dodać; a potem, gdy

nadszedł dzień, spostrzegaliśmy nieszczęsnego konia, który, wyrwawszy się, skakał wielkimi susami po fortyfikacjach i gryzł trawę na stoku, nie przypuszczając, że sam jeden wyobrażał dla nas szwadron białych kirasjerów i służył za cel całemu bastyonowi pod bronią...

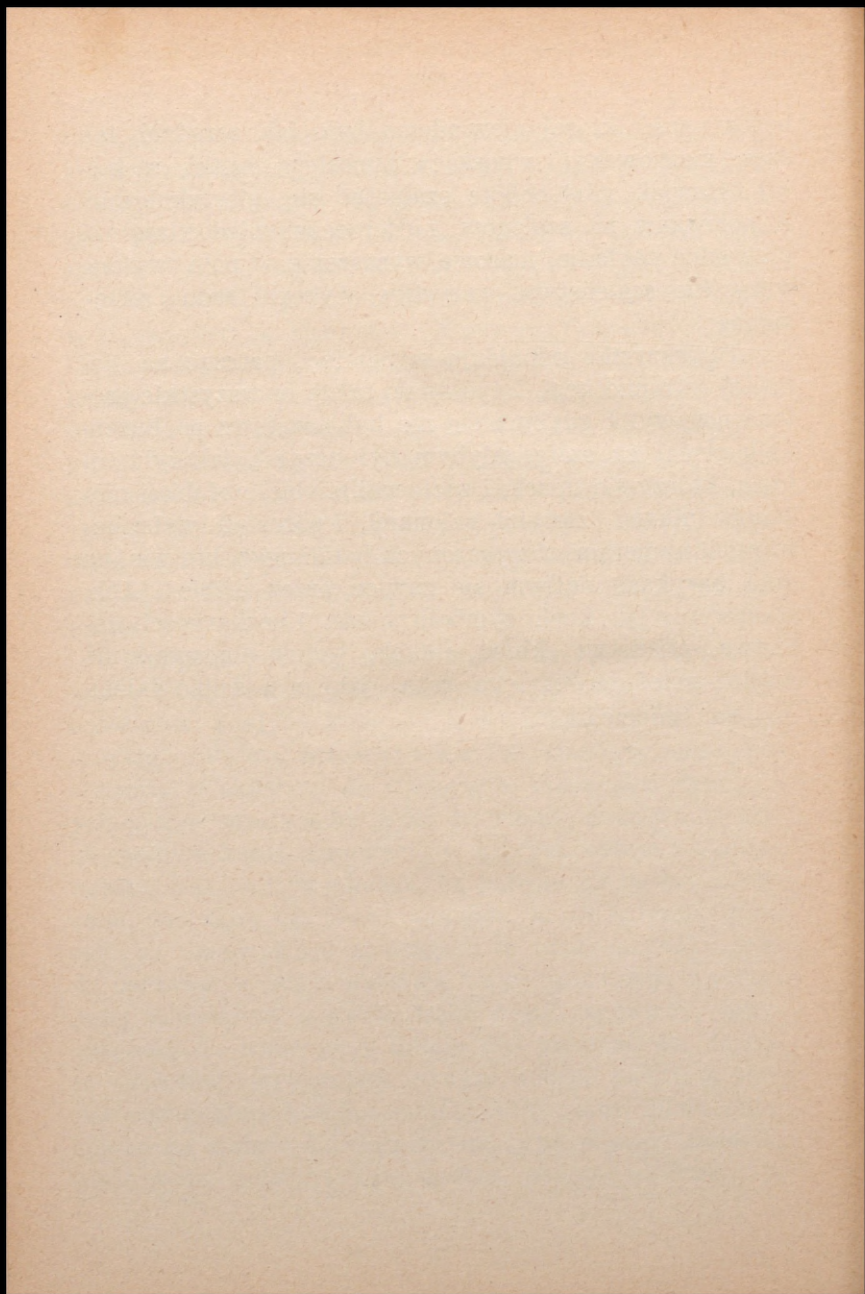
To wszystko przypomina mi moje kepi; cały rój wzruszeń, przygód, krajobrazów. Nanterre, Courneuve, Moulin-Saquet i ten ładny zakątek nad Marne'ą, gdzie waleczny pułk 96-ty widział ogień po raz pierwszy i ostatni. Baterie pruskie stały naprzeciwko nas, na skraju drogi, za laskiem; na tor kolei żelaznej, odsłonięty, gdzie zapomnieli o nas wodzowie, granaty padały z ogłuszającym hukiem, rozsypując snopy ponurych iskier... Ach! moje biedne kepi, nie było ono zbyt odważne dnia tego i składało wielokrotnie ukłon wojskowy niżej, niż należało.

Mniejsza o to! te wspomnienia są ładne, niepozbawione może pewnej groteskowości, ale mają odcień bohaterstwa; i gdyby kepi nie przywodziło mi na pamięć innych... Na nieszczęście są też w Paryżu warty nocne, posterunki w sklepach do wynajęcia, gdzie piec dymi, są jednostajne szyldwachy przed drzwiami merostwa na placu, pełnym kałuż zimowych, w których odbija się obraz miasta, jest policja uliczna, są patrole na mokrych ulicach, włóczący się, pijani żołnierze, których trzeba zbierać, są dziewczyny, złodzieje i te blade poranki, kiedy człowiek wraca z warstwą kurzu na twarzy, wyczerpany znużeniem, z wonią fajki, nafty, zgnilizny, przyczepioną do odzieży. A długie dni próżniactwa, wybory oficerów, wywołujące zawsze spory, plotki, a poncze pożegnalne, kolejka szklaneczek, plany bitwy, objaśniane na stołach kawiarnianych, przy pomocy zapalek, głosowanie, polityka i jej siostra, święta włóczęga, ta

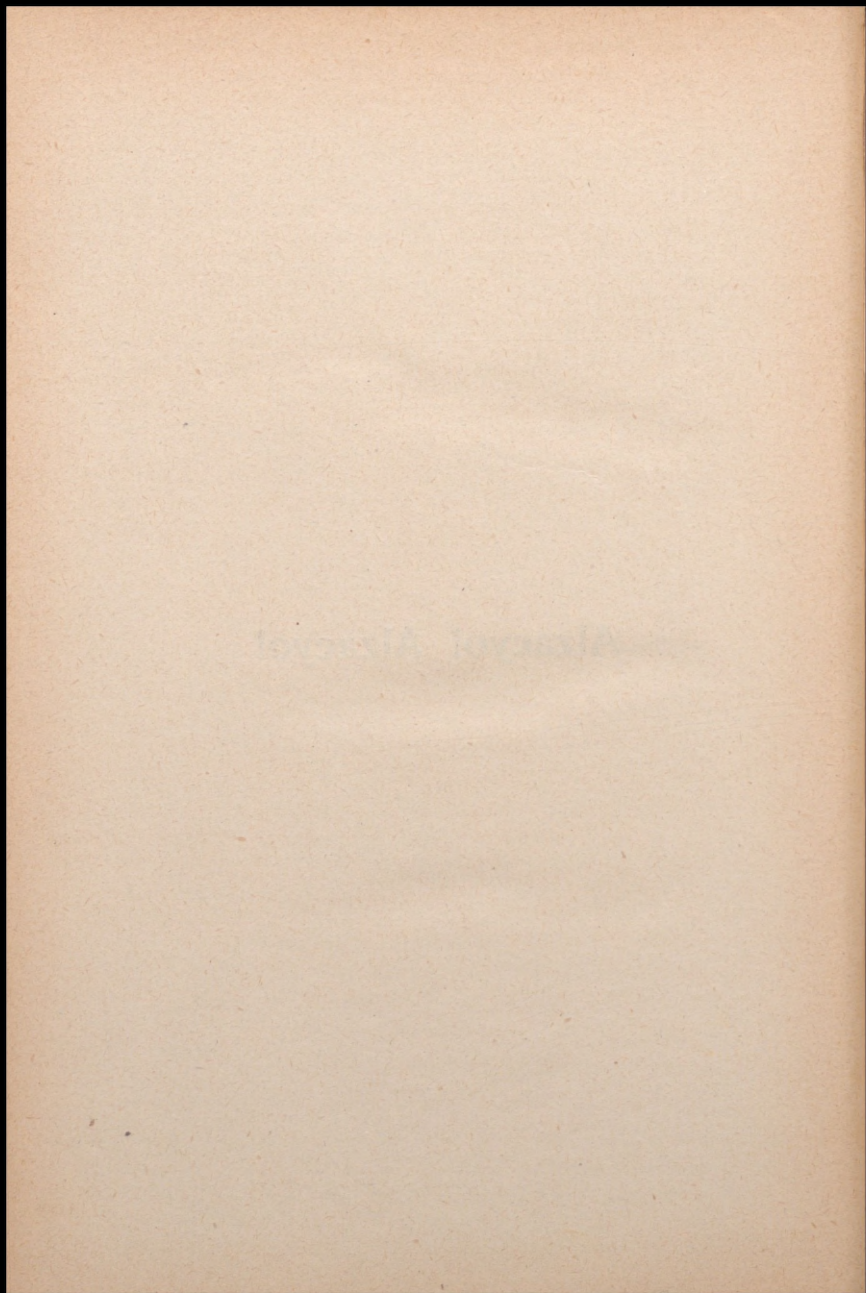
bezczytność, której niewiadomo było jak zaradzić, ten czas marnowany, wnoszący atmosferę pustki, w której człowiek miał ochotę szamotać się, giestykulować. A polowanie na szpiegów, nedorzeczne niedowiarstwo, przesadne zaufanie, masowe wyruszenie w pole, wyłom, wszystkie szaleństwa, wszystkie wybryki ludu uwięzionego.

To wszystko odnajduję w pamięci, patrząc na ciebie, ty okropne kepi. I tyś miało także te wszystkie szalone porywy. I gdybym cię nie był nazajutrz po Buzenvalu cisnął na szafę, gdybym był uczynił, jak tyłu innych, którzy się uparli, i zachowali ciebie, ozdabiali nieśmiertelnikami, złotymi galonami, i pozostali wybrakowanymi numerami rozproszonych batalionów, kto wie, na jaką barykadę dałbym się zawlec przez ciebie... Ach, stanowczo, ty, kepi, symbolu huntu i bezkarności, lenistwa, pijaństwa, klubu, plotek, wojny domowej, nie warte jesteś nawet tego kąta, jaki ci u siebie dałem.

Na śmiecie!...



Alzacyo! Alzacyo!





Bitwa na cmentarzu w Saint-Privat dn. 18 sier. 1870 roku.

Przed kilku laty odbyłem po Alzacyi podróż, która mi pozostała jednym z najmilszych wspomnień. Nie była to głupia podróż koleją żelazną, z której pozostają tylko wizye krajobrazu, pociętego przez szyny i druty telefoniczne, ale podróż piechotą, z workiem na plecach, z mocnym kijem w rękę i z niezbyt natrętnym gawędziarzem, jako towarzyszem... Najlepszy sposób podróżowania—a jak wszystko, co się podczas takiej podróży widzi zostaje długo w pamięci!

Teraz zwłaszcza, kiedy Alzacya jest zamurowana, przypominają mi się wszystkie dawne wrażenia z tego kraju utraconego, niespodzianki, jakie mnie spotykały podczas długich wycieczek po uroczych równinach, gdzie lasy wznoszą się jak wielkie firanki zielone na cichych wioskach, w słońcu skąpanych, gdzie na skrócie pod górą widać dzwonnice, osady, fabryczne, przecięte strumykami, tartaki, młyny, jaskrawe plamy, jakie tworzy-

ły stroje nieznane, ukazujące się wśród świeżej zieloności płaszczyzny...

Co rano, o świcie, byliśmy już na nogach.

— Panie!... Panie!... już czwarta! — krzyczał na nas chłopiec w gospodzie.

Wyskakiwaliśmy co tchu z łózek, zapinaliśmy worki i schodziliśmy poomacku ze schodów drewnianych, skrzypiących i chwiejnych. Na dole, przed odejściem, wychylaliśmy kieliszek wiśniówki w tych wielkich kuchniach zajazdowych, gdzie ogień rozpalają wcześniej. A potem w drogę!

Ciężko było w pierwszej chwili. O tej godzinie powraca całe znużenie z dnia poprzedniego. W oczach i w powietrzu tkwi jeszcze sen. Stopniowo wszakże zimna rosa ginie, mgła ulatnia się ku słońcu... I człowiek idzie, maszeruje... Gdy upał stawał się zbyt dokuczliwy, zatrzymywaliśmy się na śniadanie w pobliżu źródła albo strumienia i zasypialiśmy w trawie, przy odgłosie wody bieżącej, a potem budził nas wielki bąk, który przelatywał nam tuż nad uchem, brzęcząc, jak kula... Gdy upał minał, ruszaliśmy znów w drogę. Niebawem słońce zaczynało zachodzić i zdawało się, że droga stopniowo się skraca. Szukaliśmy celu, schronienia i kładliśmy się, wyczerpani, bądź do łóżka, w gospodzie, bądź w otwartej stodole, bądź pod stogiem siana, pod gołym niebem, wśród tych wszystkich odgłosów nocnych, które, przy wielkiem zmęczeniu, wydają się początkiem marzeń sennych...

Jak to nazywały się te wszystkie ładne wioski alzackie, które spotykaliśmy rozproszone na skraju gościńców? Nie pamiętam już teraz ani jednego nazwiska, ale podobne są wszystkie do siebie tak dalece, zwłaszcza wzdłuż górnego Renu, że, minawszy ich tyle o r-

znych godzinach, wydaje mi się, że widziałem tylko jedną; jedna duża ulica, małe szybki oprawione w olów, okolone chmielem i różami, drzwi z niskim okratowaniem, na którym, paląc wielkie fajki, opierali się starzy, za które wychylały się kobiety, wołając dzieci z gościńca...

Gdy przechodziliśmy rano, to wszystko spało. Zaledwie dochodził nas szmer poruszanej w oborach słomy, albo dyszenie psów pode drzwiami. Dwie mile dalej wioska się budziła. Rozlegał się odgłos otwieranych okienic, spuszcanych do studni wiader, krowy szły ciężkim krokiem do koryta z wodą, opędzając się od much długimi ogonami. Dalej jeszcze była to ciągle ta sama wioska, ale zalegała w niej wielka cisza popołudnia letniego, przerywana tylko brzęczeniem pszczół, które szły po pnących się gałęziach aż na szczyt domków, i przeciągłą melopeą szkoły. Niekiedy wchodziliśmy w zakątek, nie wioski, ale prowincyi — i widzieliśmy biały dom dwupiętrowy z tabliczką asekuracyjną, zupełnie nową, błyszczącą, z szyldem notaryusza albo z dzwonkiem lekarza. Przechodząc, słyszeliśmy walca granego na fortepianie, przestarzałą nieco melodyę, wybiegającą z za zielonych żaluzyi, na rozstłonecznioną drogę. Później, o zmierzchu, bydło wracało, ludzie wychodzili z przedziałni. Dokoła był hałas i ruch. Wszyscy stawali we drzwiach, gromady małych blondynek biegały po ulicy, a szyby rozpalaly się od wielkiego promienia zachodzącego słońca, który padał niewiadomo skąd...

Z błogiem uczuciem przypominam sobie wioskę alzaczką w niedzielę rano, podczas nabażeństwa. Ulice puste, domy opuszczone, tylko kilku starców wygrzewa się na słońcu, przede drzwiami; kościół pełen, szyby zabarwione tymi ładnymi tonami bladymi i różowymi,

jakie ma blask gromnie w biały dzień, fala śpiewu zasłyszana w przejściu i chłopiec z chóru w szkarłatnej sutannie, z gołą głową, z kadzielnicą w rękę, przebiegający szybko plac po ogień do piekarza...

Niekiedy też bywało, że całymi dniami nie wchodziliśmy do wioski. Szukaliśmy zarośli, dróg osłoniętych, tych wątych lasków, ciągnących się wzdłuż Renu, w których cudna zielona woda jego ginie w zakątkach błotnistych, rozbrzmiewających brzękiem owadów. Od czasu do czasu, w dali, przez rzadkie gałęzie ukazywała nam się wielka rzeka, obciążona tratwami, łodziami, które pełne były traw i ziół, poćcinanych na wyspach i same wydawały się rozproszonymi i przez prąd uniesionymi wysepkami. A potem widzieliśmy kanał, idący z Rodanu do Renu, w obramowaniu z topoli, zanurzających gałęzie w toni swojskiej i jakby prywatnej, uwięzionej między wąskimi wybrzeżami. Tu i owdzie na wybrzeżu stała chata dozorczy śluzy, dzieci biegały boso po jej belkach, a wielkie kłody drzewa, obryzane pianą, płynęły powoli, zajmując całą szerokość kanału.

Potem, gdy nam się już uprzykrzyła ta włóczęga, po krętych drogach bocznych, wracaliśmy na gościniec prosty i biały, wysadzony orzechami, i wznoszący się pomiędzy łańcuchem Wogezów i Szwarewaldem ku Bazylei.

Ach! jakie rozkoszne miewaliśmy przystanki w upały lipcowe, gdy słońce zsyłało na nas ocieźale promienie— wyciągałem się, jak długi, na suchej trawie w rowach, kuropatwy nawoływały się w polu, a nad naszemi głowami panował zwykły melancholijny ruch gościńca. Dochodziły nas przekleństwa woźnicy, odgłos dzwonka, skrzypienia osi, młota nieboraka, tłukącego kamienie, dobiegał galop żandarma i wrzask wystraszonego stada gę-

si, chód kolporterów, uginających się pod ciężarem towaru, listonosza w niebieskiej bluzie, z czerwonymi wypustkami, który nagle skręcał z gościńca w bok, na ścieżkę wśród dzikich żywopłotów; i nietrudno było wy czuć, że na krańcu tej ścieżki istnieje wioska, ferma, odosobnione zupełnie życie...

A miłe niespodzianki podróży pieszej, skróty drogi, które ją przedłużają, zwodnicze ścieżki, wyłobione kołami wózków, kopytami koni, a prowadzące na szczere pole, zabite drzwi, które nie chcą się otworzyć, pełne gospody i ulewa, ta rozkoszna ulewa dni letnich, której wilgoć ulatnia się tak szybko w ciepłym powietrzu, paruje na równinach, na wełniastej sierści owiec i nawet na opończy pasterza.

Przypominam sobie straszliwą burzę, która nas zaskoczyła w lesie, w drodze z Ballon d'Alsace. Gdy opuszczaliśmy gospodę na górze, chmury kłębiły się pod nami. Wyłaniały się z nich tylko tu i owdzie wierzchołki sosen; ale w miarę jak schodziliśmy niżej, wpadaliśmy poprostu w coraz większy wichur, deszcz, grad. Niebawem oplotła nas sieć błyskawic. Opodal runęła sosna, piorunem zdruzgotana; zesuwał się po drożynię ujrzelśmy przez zaslonę spływającej wody gromadkę dziewczynek, które schroniły się w wyłobienie skały. Wylękle, przytulone do siebie, trzymały fartuszki i koszycki czarnych jeryn, świeżo zerwanych. Owoce lśniły się, jak punkciki świetlne, a czarne oczęta, które spoglądały na nas z głębi skały, podobne też były do zmoczonych jeryn. Wielka sosna, wyciągnięta na zboczu, huk grzmotu, małe włóczęgi leśne, obdarte, pełne wdzięku — jak w bajce kanonika Schmidy...

Ale jaki rozkoszny wydał nam się ogień, gdy przybyliśmy do Rouge-Goutte! Ten płomień na kominie, przy

którym suszyliśmy odzienie, gdy omlet skwierczał na ogniu, nieporównany omlet alzacki, chrupiący i złocisty, jak ciastko.

Nazajutrz po tej burzy, ujrzałem widok przejmujący.

Na drodze do Dannemarie, na skřęcie, rozciągał się łań wspaniałego zboża, położony, ścięty, wyżłobiony przez grad i ulewę—połamane łodygi krzywiły się na ziemi na wszystkie strony. Ciężkie, dojrzałe kłosy osypywały się w błoto, roje ptaszków rzucały się w to dziwaczne żniwo, skakały w bruzdy mokrą słomą wypełnione i rozrzucały dokoła ziarna. To spustoszenie, ten rabunek, pełne były ponurej grozy śród blasku słonecznego, pod sklepieniem pogodnego nieba...

Wysoki, zgarbiony chłop, w stroju staro-alzackim, stał przed zniszczonem polem swoim i patrzył na nie w milczeniu. Na twarzy jego malował się ból prawdziwy, ale jednocześnie rezygnacya i spokój; jakaś nieokreślona nadzieja, jakgdyby sobie był powiedział, że pod leżącymi kłosami pozostała mu zawsze jeszcze ziemia żywa, płodna, wierna i że dopóki ta ziemia jest, rozpaczać nie należy.

„MODERNE” Wyborne MYDŁO.
TOW. AKC. **F. PULS.** w WARSZAWIE
DOSTAĆ MOŻNA WE WSZYSTKICH LEPSZYCH PERFUMERJACH.

15
035899 = 24.12.58



9805/
1.